



### Rozdział 1

## AS W RĘKAWIE

*1 Czerwca 2118 roku,  
powierzchnia Rigil Prime, trzysta kilometrów na pół-  
noc od równika*

Zimne, lodowe wzgórza oświetlał odległy blask gwiazd. Wyjątkowo niska temperatura sprawiała, że rzadkie powietrze stało się krystalicznie przejrzyste. Wokół panowała cisza. Jak gdyby natura, przytłoczona mrozem zamilkła. Sterylny obraz wymarłej planety zakłóciło kilka osypujących się grud lodu. Wydawało się, że bez powodu stoczyły się z niewielkiej śnieżnej czapy, która utworzyła się na zboczu jednego z większych, lodowych wzgórz. Drżenie nie powtórzyło się. Dopiero z bliska, potencjalnego obserwatora mogły zaskoczyć nadspodziewanie regularne kształty śniegowej górkki. Jej wnętrze zajmował niewielki namiot obserwacyjny. Rozbrzmiewały w nim monotonnie powtarzane, ciche przekleństwa. Na niewiele ponad dwóch metrach kwadratowych powierzchni spały dwie osoby odziane w lekkie kombinezony termiczne. Trzeci – niski i krępy mężczyzna, raz po raz przeklinał pod nosem swoją nieostrożność, gdy dotknął ściany ramieniem. Dokonując aktu słownego samobiczowania się, nie spuszczał oka z przenośnego zestawu rozpoznania taktycznego. Za pomocą kilkudziesięciu małych dron, kontrolował teren w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Na całe szczęście, nie dostrzegł nic podejrzanego. Na chwilę oderwał oczy od ekranu i sięgnął po żelazną rację żywności. Przełamał ją na pół, by uruchomić chemiczny podgrzewacz. Przymknął

oczy, by choć przez chwilę wymazać z umysłu obraz ciasnego schronienia, w którym tkwili od miesiąca.

- Co to takiego? - Rozległ się cichy kobiecy szept, przywracający mężczyznę do rzeczywistości. Spojrzał na ekran, sygnalizujący ruch przy dwudziestej ósmej sondzie. Natychmiast zapomniał o jedzeniu.

- Budź Williama - burknął, przesyłając sygnał uruchomienia systemów pokładowych drona. Z napięciem czekał na odzew urządzenia.

- Ej, spałem zaledwie dwie godziny - usłyszał protest mężczyzny, chrapiącego dotąd spokojnie na podłodze. Kobieta niewiele robiła sobie z jego protestów. Wręczyła gorący pojemnik z rozgrzewająco - pobudzającą papką.

- Mamy trzy pojazdy - głos operatora siedzącego przy komputerze zdradzał poruszenie. Gdy zgłaszali się na ochotnika do jednego z ośmiu takich posterunków, nie sądzili, że znajdą na powierzchni cokolwiek. Miał to być raczej urlop wypoczynkowy od uciążliwej służby na orbicie. William na dźwięk słów kolegi otrzeźwiał natychmiast. Trzy pojazdy to było coś. Zajrzał mu przez ramię. Kamera drona automatycznie śledziła niewielki konwój. Opancerzone pojazdy były ledwie widoczne na tle lodowej pustyni. Gdyby ekran obserwował człowiek, z pewnością by je przeoczył.

- Co najmniej jeden czołg, dwa transportery... - Wyliczał operator, ale William mu przerwał.

- Odległość Rick, interesuje mnie odległość?! - Kobieta nie czekając na odpowiedź, wsunęła się do wąskiego tunelu z nanotkaniny. Owiął ją chłód, bowiem ta część nie była ogrzewana. Dotarła do otwartego kokpitu zmechanizowanego pancerza bojowego, całkowicie ukrytego pod śniegiem. Uruchomiła źródło zasilania i procedury startowe. Trwało to zaledwie dwie minuty, ale nim wróci-

ła do namiotu, przemarzła na kość. Nawet kombinezon niewiele pomógł.

- ...Niecałe trzydzieści kilometrów - zdążyła usłyszeć odpowiedź Ricka. Tuż przy wyjściu z tunelu, William kończył w pośpiechu posiłek. Kątem oka dostrzegł ostrzyżoną na jeża głowę towarzyszki.

- Odpaliłam swoje małeństwo... - Mruknęła, z ulgą witając powiew ciepłego powietrza.

- Porucznik Gvert ma chęć na osobiste zdobycze - rzekł Rick z przekąsem, odsuwając się od aparatury. Z rozbawieniem na twarzy obserwował gęsią skórę na przedramieniu dziewczyny.

- Nie lubisz chłodu koleżanko? - Prześmiewczy ton mężczyzny obudził w niej kobiecego demona.

- Sierżant Warrick, nie koleżanko - odcięła się, patrząc wyczekująco na dowódcę. Ten nie zwlekał z odpowiedzią.

- Idziemy całym zespołem. Do momentu nawiązania kontaktu, obowiązuje całkowita cisza radiowa. Możemy ich spłoszyć - w krótkich, żołnierskich słowach wyjaśniał plan, jaki układał się, w ogolonej na łyso, głowie porucznika.

- Rick, ustawisz system łączności z posterunku na automatyczny raport za czterdzieści minut. Do tego czasu powinniśmy ich dopaść - ostatnie słowa zabrzmiały drapieżnie, niczym warczenie rozwścieczonego bulteriera.

- Może ich być więcej - zauważył Rick, zdalnie uruchamiając aktywację swojego M.A.V.E, tworzącego wraz z siatką maskującą sąsiedni, śnieżny pagórek.

- Więcej Chinoli, więcej zabawy - dowódca pokazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Natychmiast przeszli nad tym do porządku dziennego. Żadne z nich nie przekroczyło trzydziestki, byli spragnieni walki. Wizja nagłego ata-

ku, zniszczenia patrolu wroga, być może schwywania kilku jeńców w niewolę, przemawiała do wyobraźni.

Na rozkaz, ruszyli jak dobrze naoliwiony mechanizm. Gvert i Warrick wsunęli się przez wąskie tunele do pancerzy wspomaganych. Rick zabezpieczył wejścia i wyłączył wszystkie urządzenia. Westchnął cicho w zapadłych nagle ciemnościach. "Więcej Chinoli, więcej zabawy..." słowa porucznika wciąż brzmiały mu w uszach, nabierając ponurej wymowy. Dobrze wiedział, o jaką zabawę chodzi. Mimo nawyków wyniesionych ze szkoły podoficerskiej, wciąż nie potrafił myśleć o przeciwniku, jak o celu. Jego umysł podpowiadał, że tam, za warstwami kompozytowego pancerza, krył się człowiek....

- Gvert do sierżanta Demso, zasnąłeś tam? Marznijemy na kość! Może ruszysz łaskawie swoje cztery litery... - Sarkastyczny ton oficera nie pozostawał złudzeń, co do jego humoru.

- Natychmiast! - Odpowiedział mechanicznie Rick, wkładając lekki, hermetyczny hełm. Wgramolił się do niewielkiej śluzy i jednym ruchem otworzył zewnętrzny wąż. Mimo doskonałej izolacji termicznej ubrania, fala zimna wymiotła z płuc całe ciepłe powietrze. Termometr na osłonie wskazał ponad dziewięćdziesiąt stopni mrozu. Nie zwlekał ani chwili, wiedząc, czym może skończyć się dłuższy spacer w takiej temperaturze. Osłonił wyjście fragmentem siatki maskującej i zbiegł na dół, wpadając z rozpędu pod, sztywną od zimna, płachtę osłaniającą jego pojazd. Trzasnęła w kilku miejscach pod naporem ciała mężczyzny. Nie zwracał na to uwagi. Zwinnie wdrapał się po oblodzonych stopniach biegnących wzdłuż mechanicznej, zrobotyzowanej nogi. Odpowiednio uformowane klamry nie pozwoliły mu spaść. Chwilę czekał na uniesienie się osłony kokpitu. Ten zabieg rozdarł płachtę na pół. Nim zdążył się dobrze usadowić w fotelu, towarzysze

usunęli resztki tkaniny, uwalniając "Hellhonda" całkowicie. Potężny zapas energii w szybkim tempie oczyścił oblodzone szyby kokpitu. W rzadkiej atmosferze, głucho zabrzmiały uruchamiane turbiny napędowe pojazdu. Ryknęły głośno, pracując przez moment na pełnej mocy. Ciepły kokpit rozleniwiał sierżanta. Od niechcienia włączył trójwymiarowy interfejs sterujący. Natychmiast zabłysł na nim rozkaz podporządkowania wysłany z maszyny Gverta. Okiem fachowca ocenił trasę wyznaczoną przez porucznika na ekranie nawigacyjnym. Bez przekonania pchnął dźwignię mocy. Maszyna ociężale ruszyła do przodu, jak monstrum obudzone z leśnego snu. Przez osłonę kokpitu dostrzegł Warrwick, przemykającą tuż przed nim. Z satysfakcją obserwował, jak przechodzi wąskimi przejściami, nieustannie skanując przestrzeń przed sobą. Jego M.A.V.E, ważący dziesięć razy tyle, bez trudu utorowałby przejście obojgu. Nie potrafił odgadnąć intencji porucznika, każącego mu wędrować z tyłu. Czy chciał dać dodatkowy wycisk pani sierżant? Może to była zemsta za odrzucone zaloty Gverta? Rick na wspomnienie poprzedniego wieczora, uśmiechnął się krzywo. Yma Warrwick kojarzyła mu się ze wszystkim, tylko nie z seksem. Wysportowana, kanciasta i umięśniona sylwetka kobiety zawsze budziła w nim jedynie zawodową zazdrość. Nie miał tyle zaparcia, by tak dobrze wyrzeźbić swoje ciało. I potrzeby, bowiem służba w oddziałach M.A.V.E nigdy nie była tak ciężka, jak w jednostkach panczerzy wspomaganych. Pomyślał przez moment o nagiej sierżant i wzdrygnął się. Cichy sygnał dźwiękowy oderwał go od nieuczestanych pomysłów. System zgłaszał mu pakietową przesyłkę danych z orbity. W miarę jej dekodowania, Rick otwierał oczy coraz szerzej.

- "Świta pana admirała..." - Pomyślał z pogardą, czytając rozkaz.

"Do zespołu obserwacyjnego G-8. Skierować osiem dron obserwacyjnych w sektor C-8. Orbitalna obserwacja wykazała ruch w tamtym rejonie. Meldować o wynikach obserwacji zgodnie z procedurą". Tak jak przewidywał, podpisał się pod tym jakiś bubek z admirałskiego zespołu taktycznego. "Ot, smarkaty komandor się nudził i postanowił, że znajdzie ludziom na dole zajęcie. Żeby broń boże nie pomyśleli czasem, że są na urlopie " – Rick Demso nie przepadał za oficerami floty od czasu szkoły. To wtedy stoczył z nimi zwycięską bitwę na pięści w pubie. Dla nich skończyło się naganą, dla kolegi Ricka – wilczym biletem. Demso wywinął się tylko dzięki najwyższym wynikom w całym oddziale bojowym.

- Taa już natychmiast przebieram nogami, panie oficerku... – Mruknął pod nosem, zastanawiając się, czy jest sens informować Gverta o rozkazie. Poczucie obowiązku zwyciężyło. Przyspieszył, by znaleźć się w zasięgu łączności bezpośredniej. Przekazał informację łączem qbitowym porucznikowi. Uśmiechnął się pod nosem, na myśl, że zmusi go do reakcji. Ku jego zdumieniu, na łączu panowała cisza. Przywołał na ekran historię łączności zewnętrznej, przez krótką chwilę sądząc, że nie przesłał pakietu. Wszystko się jednak zgadzało. Gvert otrzymał informację i po prostu nie zareagował na nią. Sierżant wzruszył ramionami. "Ostatecznie, ja tu tylko wykonuję rozkazy..." Te słowa, wypowiedziane głośno w kokpicie, jakoś go nie uspokoiły. Zaczął rozważać konsekwencje ich postępu. Niby działali zgodnie z ogólnym poleceniem, pozwalającym w szczególnych przypadkach zaatakować przeciwnika. Owo "szczególnie" niepokoiło Demso. Działania podjęte przez porucznika nie bardzo wyglądały na taką sytuację... .

Zmiana trasy, wyświetlająca się na trójwymiarowej mapie nawigacyjnej sprawiła, że natychmiast zapomniał

o swoich wątpliwościach. Przebyli znaczną część trasy. Porucznik, jak wytrawny traper, zamierzał oflankować swoją zdobycz. W nakreślonym planie Demso miał odegrać rolę myśliwego. Panczerze wspomagane rozeszły się na boki. Nawet nie dostrzegł, gdy maszyna Warrwick zniknęła gdzieś pomiędzy lodowymi iglicami. Machinalnie uruchomił systemy bojowe. Przed oczyma zabłysł półprzezroczysty obraz, wyświetlany przez soczewkę kontaktową. Pojawiło się oznakowanie celu – póki co, szary romb, ustawiony karnie pod ikoną celownika. Trójwymiarowe ekrany poniżej przygasały, by nie rozpraszać pilota. Demso powoli zmniejszał prędkość, od czasu do czasu spoglądając na holograficzne odwzorowanie taktyczne. Trzy amerykańskie maszyny tworzyły trójkąt o boku dziesięciu kilometrów. Docierali już do miejsca, w którym dron zarejestrował chińską kolumnę. Sierżant nawiązał łączność z robotem, przejmując nad nim kontrolę. Wysłał go na wyższy pułap, odważnie, ryzykując wykrycie. Dron leciał wzdłuż śladów. Dłuższy czas nic się nie działo. Przygryzł wargi. Czyżby zuchwały rajd miał się zakończyć na niczym?... Ogarniające go zwątpienie rozświetlał obraz jednego z opancerzonych wozów. Stał za lodowym cyplem. Nie miał szansy zobaczyć go wcześniej. Kamera robota obróciła się automatycznie, za oznaczonym przez Demso celem. Serce podskoczyło sierżantowi z radości. Dostrzegł resztę konwoju. I jeszcze coś. Kilka migających punktów, oznaczających wystrzały. Chwilę później stracił kontakt z dronem. Wiedział, co to oznacza. Zebrane dane natychmiast przesłał do pozostałych. Cel był odległy o niespełna piętnaście kilometrów, niemal dokładnie pomiędzy Gvertem a Warrwick. Zespół nie zwiększał prędkości, szedł ku przeciwnikowi, zgodnie z przyjętym wcześniej planem. "Hellhound" coraz bardziej zostawał z tyłu. Po przejściu połowy odległości, Demso



otrzymał bezpośrednie polecenie na ekran, by się zatrzymać. Wchodził właśnie na płaską, pozbawioną lodowych pagórków przestrzeń. Wyglądała niemal jak zamrożone jezioro. Gvert mimo tego, że widział okolicę tylko za pośrednictwem trójwymiarowego interfejsu, perfekcyjnie wybrał miejsce na zasadzkę. Lodowe pole miało co najmniej trzy kilometry długości, co umożliwiało "Hellhoundowi" optymalne użycie uzbrojenia. Sierżant, obserwując na ekranie odchodzących towarzyszy, pokręcił głową z uznaniem. Porucznik drażnił go swoją nadmierną pewnością siebie. Musiał jednak przyznać, że czasami była ona uzasadniona. Oderwał wzrok od mapy. Cofnął się pomiędzy najbliższe lodowe załomy. Kamuflaż sprawił, że M.A.V.E stał się niemal niewidoczny, zlewając się z otoczeniem. Przednie żaluzje silników bezgłośnie zamknęły się. Pancierz pojazdu pokrył się szronem, gdy system bojowy włączył chłodzenie zewnętrznych powierzchni. Rick odetchnął głęboko. Nie brał dotąd udziału w bitwie. Omięło go pierwsze lądowanie na Rigil Prime, a bitwę z chińskim toroidem na orbicie, przesiedział w ambulatorium lotniskowca ze złamanym nadgarstkiem. Czuł, że teraz nadchodzi jego czas, jego chwila. Ręce precyzyjnie operujące na zintegrowanych dźwigniach sterujących lekko zwilgotniały. Wiedział, jak potworną mocą dysponuje prowadzony przez niego pojazd. Zamierzał go dziś wykorzystać w stu procentach...

\* \* \*

W mroźnym powietrzu rozległo się dudnienie czołgowego silnika. Dowódca chińskiego konwoju nie zamierzał ryzykować. Dopalający się nieopodal wrak drona świadczył wyraźnie o tym, że zostali zauważeni. Do tej pory zespół miał ogromne szczęście. Uciekli spod atomo-

wego ciosu amerykańskiej floty orbitalnej, z powodzeniem unikali powietrznych patroli. Aż do dziś... . Pierwszy czołg, pracowicie mieląc gąsienicami, ruszył z miejsca. Ukryte za opancerzoną osłoną anteny radarów i midarów podjęły pracę, bombardując przestrzeń dookoła tysiącami impulsów. Chwilę później, podążył za nim niski, płaski transporter opancerzony. Kilkanaście złożonych na dachu anten wskazywało wyraźnie, że nie przewozi zwykłego oddziału bojowego. Ostatni w linii, pojazd amunicyjny artylerii dalekonośnej dopełniał obrazu. Gromada rozbitków, żyjąca tylko dzięki swoim maszynom.

Na wprost przed konwojem pojawiła się pojedyncza sylwetka odziana w zmechanizowany pancerz osobisty. Stała pomiędzy lodowymi iglicami, jakieś trzysta metrów przed konwojem. Amerykanin, jak gdyby zaskoczony widokiem przeciwnika, cofnął się tyłem, kryjąc się za wąskim lodowym wzgórzem. Zrobił to w ostatniej chwili, bowiem jadący przodem czołg wycelował działo w jego kierunku. Głucho, płasko w zimnym powietrzu rigilskiej nocy zabrzmiał wystrzał, masakrujący wąską iglicę. Gvert nie czekał na drugi. Na pełnej prędkości przebiegł pomiędzy niskim zwałami śniegu. Nawet automatyczna armata, wypluwająca pocisk co trzy sekundy, nie zdołała trafić zmechanizowanego wojownika. Jedyne spóźnione odłamki nieszkodliwie zabębniły na pancerzu Amerykaina.

\* \* \*

- O mały włos - sapnął porucznik, rzucając maszynę w lodową dolinę. Wymierzone w niego pociski eksplodowały na jej brzegu. Rzucił okiem na trójwymiarową mapę. Chińczycy nadal toczyli się do przodu, nie zmieniając szyku. Wydawało się, że nie mieli zamiaru ruszać w pościg za

przynętą. Z zaciśniętymi ustami, obserwował ruchy przeciwnika. Nie było wyjścia, musiał wdrożyć drugą część planu. Szybko nakreślił stanowisko bojowe dla Warrwick, po czym zawrócił, ostrożnie wychylając się ponad krawędź lodowego klifu. Komputer natychmiast zaktualizował informacje taktyczne. Czołg stanął z boku, osłaniając pozostałe pojazdy przed ewentualnym ostrzałem Gverta. Porucznik kilka razy nacisnął spust. Plazmowe pociski uderzyły w pancerz, żłobiąc w nim głębokie wyrwy, ale nie zdołały go przebić. Chińczyk zareagował natychmiast, obracając się w stronę przeciwnika z prędkością, która zaskoczyła Gverta. Tylko szczęściu zawdzięczał ocalenie. Pocisk z działa przeszedł tuż nad głową, z metalicznym zgrzytem żłobiąc wgłębienie w górnej płycie pancernej egzoszkieletu. Szarpnięcie powaliło go na ziemię. Zapalnik zbliżeniowy zareagował błyskawicznie, ale fragmentujące odłamki pocięły przód pancerza, nie przebijając go.

- Warrwick, do dzieła - warknął porucznik w mikrofon, nie zwracając uwagi na zagrożenie możliwością przechwycenia transmisji. Sierżant potwierdziła odbiór rozkazu poprzez mignięcie ikoną na trójwymiarowym ekranie.

Od dziesięciu minut czaiła się po drugiej stronie konwoju, nie będąc wykrytą. Teraz precyzyjnie wymierzyła w pierwszy transporter. Ku jej zdumieniu, jej ostrzał nie zniszczył pojazdu. Musiał mieć dodatkowy pancerz. Chińczycy zaskoczeni ogniem z drugiej strony, zaczęli się cofać. Czołg natychmiast obrócił wieżę, wyszukując nowego zagrożenia. Po obu stronach stanowiska Warrwick uniosły się w górę słupy eksplozji. Z pewnością nie zdołali jej tak szybko wykryć. Dowódca czołgu zamierzał ją wypłoszyć, albo choć zmusić do milczenia. Ogień szrapnelami nie był specjalnie groźny dla pancerza, ale

gdyby trafił gdzieś obok, mógłby uszkodzić powłokę, a na to sierżant nie zamierzała pozwolić. Cofnęła się kilka kroków w tył lodowego pola. Z bezpiecznej odległości obserwowała zawracający konwój. Trzeba było przyznać, że chiński dowódca znał się na rzeczy. Pojazdy zsynchronizowane niczym drony, zawróciły w jednej chwili. Samotny czołg szedł teraz w ariergardzie, cofając się tyłem. Nie próbował polować na kęsające ich z obu stron zmechanizowane pancerze. Automatyczne działo patrzyło na wprost, gotowe w każdej chwili do zasypania wroga gradem pocisków. Kilka minut, które upłynęły od pierwszej strzelaniny, z pewnością pozwoliły Chińczykowi na uzupełnienie magazynów amunicyjnych. Warrwick i Gvert, raz po raz strzelali z dalszej odległości, nie mogąc przebić solidnej, przedniej płyty chińskiego czołgu. Ten nie odpowiedział ani razu. Gvert szedł jak lew za antylopą, czasem wręcz dworując sobie z przeciwnika, przeskakując otwarte przestrzenie. Czuł uderzenia adrenaliny. Zdawał sobie sprawę, że trafienie z odległości niespełna półtora kilometra zakończyłoby się dla niego śmiercią. Mimo ewidentnego wystawiania się na strzał, czołg nie otwierał ognia. Gvert wykonał kolejny skok, kryjąc się za płaskim, szerokim wzniesieniem, gdy nocnym powietrzem targnął huk strzału. Na pancerz posypały się grudy lodu. Gvert uśmiechnął się złośliwie i skontrolował ekran taktyczny. Weszli w zasięg sygnału Demso. Porucznik czuł, jakby odzyskał oczy. Mapa została natychmiast uzupełniona o szczegóły, widoczne tylko z obserwacyjnego drona, którym operował pilot "Hellhouna". Zasepił się, widząc zmianę kierunku ucieczki przeciwnika. Mogli zahaczyć o pole lodowe, za którym czaił się Demso, ale wyraźnie skręcali na zachód.

"No cóż, nikt nie twierdził, że żółci są tępi" - mruknął do siebie Gvert. Zmarszczył brwi, intensywnie myśląc.

Czuł, że musi błyskawicznie podjąć decyzję, żeby zwycięstwo nie wymknęło mu się z rąk. Gdy planował atak, lekceważąco oceniał zdolności przeciwnika. Teraz wydawało mu się, że załoga w czołgu musiała składać się z weteranów, doskonale znających się na swoim fachu. To co wydawało się łatwym zadaniem, przeobraziło się w trudny pościg. Porucznik doskonale zdawał sobie sprawę, że może się on różnie skończyć. Szybko nakreślił nowy plan ataku. Chwilę jeszcze patrzył na opalizującą mapę. Nie wyglądała już tak prosto i przejrzyste, ale nadal dawała szansę na sukces.

- Demso, naprzód! Natychmiast! - Gvert zaryzykował ponownie, uruchamiając łączność. Aby się udało, Rick musiał wypełnić swą rolę bezbłędnie. Porucznik chciał powtórzyć rozkaz, ale nie było takiej potrzeby. Ikona oznaczająca "Hellhouna" na mapie taktycznej ruszyła z miejsca...

\* \* \*

M.A.V.E mknął do przodu na pełnej mocy turbin, starając się przebyć odkryty obszar jak najszybciej. Drobinę lodu sypały się spod szerokich łap pojazdu. Mimo solidnych, tytanowych ostróg, "Hellhound" chybotął się na boki. Systemy motoryczne pracowały na pełnych obrotach, by utrzymać balans i nie dopuścić do wywrotki.

Demso co chwila sprawdzał uzbrojenie, monotennie przeklinając dowódcę. Raz po raz. Poprzednia euforia wyparowała zeń bez śladu. Wydawało się, że Gvert chce go rzucić na pożarcie konwoju, każąc mu biec przez otwarte pole. "Zmiana planów" - pomyślał ze złością i pogardliwie wyduł wargi.

- "To jest prawdziwa wojna panie oficerku, nie zabawa..." - Warknął pod nosem. Chciał dodać coś jeszcze,

by poprawić sobie humor, ale głos uwiązał mu w gardle. Dostrzegł niski, kanciasty kształt transportera amunicyjnego, wysuwającego się zza ostrego, lodowego klifu. Toczył się szybko ku następnej osłonie. Pojawił się tak nagle, że Demso zawahał się na moment. Chińczycy, równie zaskoczeni jak on, zapalili w jego stronę reflektor kierunkowy, chcąc go oślepić. Rick odruchowo szarpnął za spust. Salwa rotacyjnego działła kinetycznego przeszła transporter na wylot. Pociski rozszarpały zbiornik paliwa. Ten zapłonął słabym płomieniem. Czarne kłęby dymu zasłoniły wrak pojazdu. Demso uśmiechnął się drapieżnie, uruchamiając symultaniczny spust, umożliwiając odpalenie całości uzbrojenia. System bojowy oznaczył dwa pojazdy za klifem, korzystając z mikrofonów kierunkowych.

"Nie było tak źle" pomyślał i zatrzymał pojazd. W tej samej chwili, w wyrwie, tuż obok wraku transportera pojawił sięczołg. Błyskawicznie wycelował i nim Rick zdążył zareagować, Chińczyk strzelił. Już pierwszy pocisk trafił w nogę "Hellhouna". Odłamkowy pocisk nie zniszczył zmechanizowanego kolana, ale obrócił M.A.V.E bokiem. Szarpnięcie cisnęło pilota o przezroczystą osłonę. Demso nerwowo obrócił kokpit, otwierając bezładny ogień, gdy w pojazd trafił kolejny chiński strzał. Tym razem przeciwpancerny pocisk w sabocie odstrzelił nogę "Hellhouna". Ten powoli przewrócił się na bok, nadal strzelając. Cały strach, panika, odpłynęły z umysłu Demso. Pozostał tylko kanciasty cel przed sobą. Działo rotacyjne zostało zniszczone, ale laser wciąż miał zasilanie. Rick nie przestawał zasypywać przeciwnika impulsami. Oczekiwał śmiertelnego ciosu. Poczł silne szarpnięcie, gdy kolejny pocisk zczołgowego działła oderwał cały dół M.A.V.E. Światła w kokpicie zgasły, a automatyczny system ratunkowy zainicjował uruchomienie katapulty. Nim Rick zo-

rientował się, co się dzieje, osłona kokpitu została odstrzelona. Do środka wtargnął lodowaty mróz, wymiatając z płuc pilota całe powietrze. Aż jęknął z bólu. Zaryczały silniki rakietowe fotela, wyrzucając go pod sporym kątem w górę. Sekundę później, we wrak "Hellhouna" uderzył pocisk, niszcząc go całkowicie. Wysoko, pojawił się ciemny spadochron. Wiszący na nim Demso, z trudem uniósł w górę dłoń, zakładając awaryjną maskę tlenową. Klatka piersiowa paliła go żywym ogniem. Mróz już sięgał po niego swymi szponami, przenikając skafander pilota. Zdawał sobie sprawę, że przegrana w jego wypadku, oznaczała śmierć. Pociuszające w tym wszystkim było jedynie to, że uśnie... .

Dostrzegł jeszcze błyski w dole, gdy w wąskiej kotlinie pomiędzy klifem, a linią pagórków rozbrzmiała gwałtowna walka. Czołg nie miał pola manewru w wąskim przejściu. Zdołał obrócić wieżę i wystrzelić dwa razy, ale żaden z pocisków nie trafił. Gvert i Warrwick nie dali mu najmniejszych szans. Plazmowe pociski przeszły bez problemu żaluzje silników na tylnym pancierzu. Przez przebicia zaczął wypływać gęsty, czarny dym. Cicha eksplozja wstrząsnęła ciężkim kadłubem chińskiego pojazdu. Wieża znieruchomiała. W tej samej chwili górny wąż pojazdu poleciał w górę, wypchnięty kolumną ognia. Wybuch amunicji nie rozerwał czołgu, ale pozostawił po nim jedynie wypaloną skorupę... . Nikt z załogi nie ocalał. Ciemny cień przesunął się nad rozbitym wrakiem. Zmechanizowany skafander zatrzymał się przy ostatnim ocalałym pojeździe konwoju. Gvert tkwiący w środku, walczył przez moment z sobą, chcąc zakończyć starcie ostatnią salwą. W porę opanował się, zdejmując palce ze spustów.

- Warrwick, sprawdź co się dzieje z Demso. Melduj natychmiast! - Sierżant mruknęła coś w odpowiedzi,

przeskakując nad dymiącymi resztkami czołgu. Porucznik nie spuszczał wzroku z samotnego, nieruchomego transportera. Zmatowiała biel na pancerzu wytarła się gdzieś. Zewnętrzny stan pojazdu, otarcia, pęknięte traki gaśnic, wskazywały wyraźnie, że od dawna nie był w warsztacie.

Dowódca amerykańskiego zespołu oblizał wargi. Właśnie zdał sobie sprawę, że samodzielnie weźmie do niewoli kilku chińskich oficerów. Może nie będzie to sztab dowodzący wielką bazą orbitalną, ale zawsze to było coś. Włączył zewnętrzne nagłośnienie i zaczął spokojnym, chłodnym głosem, choć pobrzmiwały w nim nuty triumfu.

- Mówi porucznik William Gvert z sił zbrojnych Federacji Ameryki Północnej. Wyłączcie silnik i wyjdźcie na zewnątrz z podniesionymi rękoma. Złóżcie posiadaną broń przed pojazdem. Jeśli nie wykonacie rozkazów, otworzymy ogień! - Zamilkł, sycąc się chwilą. Doskonały nastrój zepsuł mu meldunek podwładnej.

- Demso ranny. Wsadziłam go do awaryjnego namiotu ratunkowego. Uruchomiłam boję alarmową - słysząc ostatnią część meldunku, Gvert złośliwie zaklął. "Oto, czym kończy się pobyt w towarzystwie cholernych żółto-dziobów" - mruknął pod nosem. Zamierzał triumfalnie złożyć meldunek o rozbiciu konwoju. Boja demaskowała ich całkowicie. W dodatku jej odpalenie, było dla porucznika jak krzyk dziecka do swojej rodzicielki. Oto placówka Gverta prosi o pomoc wymuskanych oficerków floty na orbicie!. Wykrzywił pogardliwie usta, ale nie zdążył soczyście podsumować meldunku Warrwick. Pancerne drzwi chińskiego transportera rozsunęły się. Dobrze ubrani w ekwipunek polarny Chińczycy, kolejno opuszczali pojazd. Trzymaną wysoko nad głowami broń rzucali przed siebie, stając w szeregu. Gvert natychmiast zapalił



reflektor postojowy, tak by żaden z jeńców nie czmychnął w mroźną noc, choć byłaby to dla takiego śmiałka pewna śmierć.

Wydawali się być zrezygnowani. Spoglądali wprost w paszcze wycelowanych w siebie dział plazmowych, nie podejmując żadnej akcji.

- Warrwick, przestań na chwilę niańczyć Demso i podejdź tu, muszę zameldować co nieco, do tych bubków na górze... - Zaczął Gvert. Przerwał, gdy na kanale pojawił się szum, a zaraz potem dał się słyszeć dobroduszny, basowy głos mężczyzny.

- Zespół SAR z "Eisenhowera" w odpowiedzi na wezwanie. Będziemy za dwadzieścia dwie minuty...

## Rozdział 2

### ODKRYCIE KART

Atmosfera w sali konferencyjnej "Eisenhowera" była odprężająca. Kapitanowie prowadzili między sobą ciche dyskusje, czekając na przybycie głównodowodzącego. Kilku adiutantów i pierwszych oficerów korzystało z nielicznych chwil rozluźnienia, raz po raz żartując między sobą. Jedna ze ścian wyświetlała obraz z prawej burty lotniskowca. Widoczny był na niej, odległy o niespełna tysiąc kilometrów, toroid typu "Mao", najnowsza zdobycz drugiej floty prowadzonej przez admirała Harrivana. Pośpiesznie przemianowany na "Georga Washingtona", obsadzony załogą szkieletową, stał się dumą całego zespołu.

Nikt dotąd nie mógł poszczycić się podobnym wyczynem. Zdobyć ogromnej stacji bojowej było precedensem na skalę dotąd niespotykaną. Niektórych euforia nie opuściła do tej pory. Jedynie komandor Sereda, która przejęła dowodzenie USSS "Westmoreland", zachowywał ponury spokój na kościstej twarzy. Nie przyłączyła się do żadnej z grup dyskutantów. Stała w samym rogu ekranu, w milczeniu obserwując odległą stację bojową.

- Admirał na pokładzie! - Rozbrzmiał głośny, dobitny głos nowego adiutanta głównodowodzącego floty. Wszedł przez wąskie drzwi i wyprostował się, salutując. Zebrani odpowiedzieli mu jak jeden mąż, unosząc dłonie do czapek. Dopiero teraz dostrzegli szczupłą sylwetkę admirała Harrivana, idącego z kamienną twarzą zaraz za adiutantem. W sali zapadła cisza. Ekran ścienny zamigotał i zgasł na moment. Boczne panele świetlne natychmiast zareagowały, rozjaśniając bladą poświatą zapadającą ciemności.

Na ekranie ukazało się godło floty. Na tym tle stanął admirał. Zmierzył zebranych wzrokiem. Stał w jego oczach i zaciśnięte usta sprawiały, że uśmiechy znikły z twarzy oficerów. Zapanowała całkowita cisza. Głos admirała zabrzmiał w niej ostro, wręcz oschle.

- Kapitanowie!. Flota stanęła u progu zniszczenia... - To krótkie zdanie spowodowało całkowitą dezorientację wśród zebranych. Chwilę po triumfie, gdy powalili potężnego "Mao", zdeptali chińskie siły na powierzchni Rigil Prime, architekt tych sukcesów wieszczy im zagładę?. Ten i ów zaczęli już podejrzewać nadmiar szkockiej we krwi admirała, choć żaden nie powiedział tego głośno. Głównodowodzący stał z nieprzeniknioną miną, starając się wyłapać wszelkie objawy załamania, czy zwątpienia. Ku swojemu zadowoleniu, widział zaskoczone i zdumione miny, ale żadnych oznak paniki. Jedynie komandor Sere-

da pozostała milcząca, jak wcześniej. Admirał wskazał dłonią na adiutanta. Wysoki, ostrzyżony na jeża brunet natychmiast zaczął referować.

- Wczoraj, około godziny osiemnastej czasu pokładowego, jedna z sekcji piechoty zmechanizowanej rozpoznała i zniszczyła chiński konwój wojskowy na powierzchni Rigil Prime - ekran za plecami Harrivana zamigotał i pojawiła się na nim trójwymiarowa mapa wycinka obszaru, na którym zespół Gverta stoczył zaciętą walkę.

- Skoro zniszczony, to gdzie tu zagrożenie dla floty? - Odezwał się nieostrożnie dowódca "Deversa", rozochocony poprzednią rozmową. Dostrzegłszy wzrok admirała, natychmiast umilkł, niczym rekrut na pierwszym obozie wojskowym. Twarz tłustego mężczyzny powoli się zaczerwieniła.

- Nasi ludzie zdołali pojmać pięciu oficerów... - Adiutant zignorował uwagę kapitana i mówił dalej.

- ... I tylko dzięki zbiegowi okoliczności, znaleźliśmy przy jednym z nich kartę pamięci - na ekranie pojawiła się standardowa, krystaliczna kostka holograficzna do przechowywania dużych ilości danych.

- I oto, co na niej było... - Dopowiedział adiutant i zamilkł. Kapitanowie zamarli, nie spodziewając się widoku Szanghaju, uchwyconego z lotu ptaka. Sam widok miasta liczącego niemal miliard mieszkańców zapierał dech w piersiach. Ogromne wieżowce, gigantyczne mosty tworzące skomplikowaną pajęczynę połączeń, wreszcie setki poruszających się we wszystkich kierunkach pojazdów. Ogromny, tętniący życiem organizm, cywilizacja, którą pozostawili za sobą.

- Nie widzę zagrożenia - skrzypiący głos Seredy rozbrzmiał cicho, burząc nostalgię za Ziemią, unoszącą się nad zebranymi. Jej krótka uwaga sprowadziła wszystkich

z powrotem, na orbitę Rigil Prime, na pokład flagowego lotniskowca drugiej floty.

Obraz na ekranie zatrzymał się. Admirał postąpił krok naprzód. Fakt, że to on przejął referowanie tematu, zaświadczył dobitnie o powadze sytuacji.

- Spójrzcie na datę - w rogu wyraźnie widniały chińskie oznaczenia, nie do odcyfrowania dla zebranych. Powyżej pojawiła się translacja na cyfry arabskie "2118/01/08". Chwilę trawili w milczeniu otrzymaną informację, choć nie mieściła im się w głowach. Data filmu sprzed pół roku - zdjęcia Ziemi odległej o ponad cztery lata świetlne. Każdy z kapitanów był fachowcem w dziedzinie lotów głębokiej przestrzeni kosmicznej.

- Zakładam, że nie jest to fałszerstwo - zaczęła ostrożnie komandor Sereda, patrząc na Harrivana. Ten skinął potakująco głową. Adiutant, opacznie zrozumiał ten gest i dodał od siebie.

- Zapewniam państwa, przesłuchaliśmy całą piątkę za pomocą Hagraxu... - Przerwał, widząc piorunujący wzrok admirała. Było już za późno, piekielna nazwa została wypowiedziana. Zszokowane spojrzenia oficerów mówiły aż nadto o ich opinii na temat najnowszej wiadomości. Harrivan po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek uczucia. Złość na chwilę wykrzywiła jego twarz.

- Porucznik Laventof przekroczył znacząco swoje uprawnienia... - Rzucił z nietajoną pasją, wpatrując się w młodego adiutanta, jak gdyby chciał go zabić wzrokiem. Poprzednik porucznika pracował w którymś hangarze, gdy nie wytrzymał nerwowo bitwy z "Mao". Wyglądało na to, że lada chwila, posada adiutanta znów będzie pustym wakatem.

- Rozumiem, że zniszczenie ich jaźni i umysłów dało jakiś rezultat...? - Zaczął podniesionym głosem kapitan

"Deversa". Zamierzał wykorzystać swoje pięć minut, perorując głośno i gestykułując owłosionymi dłońmi.

- Niechże się pan wreszcie zamknie, kapitanie Poulson - warknął admirał, przerywając mężczyźnie w pół słowa. Nim ten nabrał oddechu, by kontynuować tyradę, Harrivan podniósł dłoń, zamykając mu tym gestem usta.

- Rozkazy wydane mi przez prezydenta, dopuszczają użycie wszelkich środków, by zabezpieczyć interesy Federacji Ameryki Północnej w obszarze Alfa Centauri - słowa te, wypowiedziane władcym tonem, zrobiły wrażenie na zebranych.

- Dotyczą też środków, zakazanych konwencjami międzynarodowymi? - Gasnący głos Poulsona był wołaniem na puszczy. Nikt go nie poparł. Nawet admirał, nie zaszczyciwszy go spojrzeniem, skinął głową.

- Rzecz nie idzie o użycie Hagraxu, panie i panowie. Sprawa idzie o przetrwanie naszego narodu. Spośród tej piątki, trójka zeznała, że są w układzie Alfa Centauri od trzech miesięcy. Lot tutaj zajął im drugie tyle... - Dopiero ta wiadomość zamurowała wszystkich. Zapadła całkowita cisza, przerywana przyspieszonymi oddechami. Jak gdyby Hagrax został rozpylony nad ich głowami. Sięgał po wewnętrzne jestestwo każdego z nich. Rozrywał, by zniszczyć wszystko to, czym się stali przez lata swojego życia...

- Niemożliwe - niespodziewanie dla siebie, odezwała się komandor Sereda. Jej głos chrypiał bardziej, niż kiedykolwiek. Jako jedyna była w stanie przywołać jakieś rzeczowe argumenty.

- To musi być ich operacja wywiadowcza, by nas zdeorientować. Aby napęd Roehma pozwolił na pokonanie takiej odległości w tym czasie, musiałby dysponować nieskończoną ilością mocy reaktora... - Podniosła głowę i z nagłą energią wskazała palcem na sylwetkę admirała - ... Poza tym, Chińczycy nie dysponują naszą technologią...

- Oczywiście, że nie - podchwycił Harrivan, spoglądając po kolei na swoich kapitanów - nie potrzebują tego napędu. Zgodnie z zeznaniami całej piątki, dysponują urządzeniem do zaginania czasoprzestrzeni... .

\* \* \*

Gwałtowna dyskusja, tocząca się w sali konferencyjnej "Eisenhowera", momentami przypominała prawdziwą bitwę na argumenty. Oficerowie przekrzykiwali się. Niewielka część uznała od razu słowa admirała za prawdziwe. Pozostali próbowali udowodnić, że stworzenie przejścia jest fizycznie niemożliwe, a zeznania wyciśnięte z chińskich oficerów za narkotyczne urojenia. Potwierdzenie słów jeńców nie było możliwe. Żaden z nich nie przetrwał badania w stopniu, pozwalającym na najprostszą wymianę zdań. Harrivan stał tyłem do ekranu, w milczeniu obserwując gwałtowną reakcję swojego korpusu oficerskiego. Zamierzał gwałtownie uciąć dyskusję, ale przypomniał sobie własną reakcję, niespełna dwanaście godzin temu. Ostre rysy twarzy nieco złagodniały. Jego podwładni nie mieli tyle czasu co on, by się oswoić z tak fantastyczną wiadomością.

- Panie, panowie - dopiero, gdy powtórzył, podnosząc głos o kilkadziesiąt decybeli, sala poczęła cichnąć. Harrivan westchnął cicho, bacząc by nikt tego nie dostrzegł. Zwłaszcza kapitan "Deversa", który z pewnością przebierał nogami, by rozpocząć jałową dysputę. Na to nie mieli czasu.

- Implikację faktu posiadania takiej technologii przez Chiny są chyba jasne - powiedział spokojnie admirał - fakt, że mogą informować metropolię, niemal w czasie rzeczywistym, o zachodzących tu wydarzeniach, daje im ogromną przewagę. Mogą przygotować atak w Ukła-

dzie Słonecznym i uderzyć z zaskoczenia, zanim nasze informacje w ogóle dotrą do Ziemi – odpowiedzieli mu potakujące kiwnięcia i ciche słowa poparcia. Mówił do załodzców.

- Zniszczą też naszą flotę. W ciągu kilku miesięcy zbudują przewagę liczebną... – Głos komandor Seredy nie zadrżał ani przez moment. Niczym kapłanka Pytia z Delf, wieszczyła nadchodzącą zagładę. Nikt jej nie przerywał, więc dokończyła dobitnie.

- ... a potem zaatakują nas tutaj. Nasze przewaga technologiczna na nic się nie zda, gdy na jeden nasz lotniskowiec przypadną trzy chińskie... – Głośny sygnał alarmowy przerwał pani komandor w pół słowa. Harrivan natychmiast przycisnął miniaturowy komunikator, umieszczony tuż przy kołnierzu.

- Operacyjny, co tam się dzieje? – Zapytał spokojnie admirał. Adiutant ściszył ogłuszający ryk syreny. Zaniepokojeni kapitanowie biegiem opuszczali salę, kierując się na pokład startowy.

- W sektorze Delta dziesięć namierzyliśmy trzy ciężkie pojazdy. Stracili parę rozpoznawczą z "Spaatz". Dywizjony alarmowe właśnie startują – komandor Genth zachował kamienny spokój. Za wszelką cenę chciał się zrehabilitować za błędy, jakie popełnił, gdy przybyli na orbitę Rigil Prime. Piekielnie ambitny chudzielec miał wszelkie szanse, by z powrotem znaleźć się w kręgu admirałskich "obiecujących oficerów".

- Bardzo dobrze... – Pochwalił Harrivan, wychodząc z pustej sali konferencyjnej. Nie śpiesząc się, skierował swe kroki do przedziału operacyjnego, skąd zarządzano manewrami całej floty. Nie zwracał zbytniej uwagi na pośpieszny ruch wokół, choć jego czujne oko wyłapało drobny, ledwie uchwytny szczegół. Przebiegający wokół ludzi nie mieli przestraszonych twarzy. Cechowali się

pewnym spokojem, charakteryzującym weteranów. Zaciekle bitwa z toroidem i ciężki chrzest bojowy sprawiły, że załogi drugiej floty nabrały wiary w siebie. Było to widać zarówno na korytarzach, jak i wśród sztabu głównodowodzącego floty.

- Admirał na pokładzie! - Usłyszał, wchodząc do sali dowodzenia. Większość przystała na chwilę, salutując, po czym wracali natychmiast do swoich obowiązków.

- "Spaatz", "Westmoreland", dowódcy na pokładzie, zgłaszają gotowość do akcji... - Usłyszał Harrivan, podchodząc do trójwymiarowej mapy taktycznej. Jednostki floty, niczym sfora wilków, ruszyły z miejsca, bezbłędnie ustawiając się w przewidzianych dla siebie miejscach szyku.

- Mamy potwierdzenie prędkości obiektów! - Krzyknął jeden z operatorów - połowa czwartej prędkości kosmicznej. Niemal dwieście kilometrów na sekundę!. - Admirał spojrzał na mówiącego, unosząc w górę krzaczaste brwi. Ten gest zastępował u Harrivana okrzyki zdumienia i niedowierzania.

- Rozkaz do floty, przesunąć się na orbitę geostacjonarną tak, by utrzymać planetę między sobą, a przeciwnikiem - cicho zadysponował głównodowodzący. Chwilę patrzył na odwzorowanie obcych okrętów na bocznym ekranie operatorskim.

- Wystawić pary obserwacyjne na orbitach biegunowych. Wykonać natychmiast! - Harrivan powiedział to głośniej, przechodząc do rzędu klasycznych konsol.

- Nie mamy tych okrętów w bazie danych, szefie - mruknął operator, dostrzegając za swoimi plecami głównodowodzącego. Admirał pokiwał głową, dotykając szerokiego ramienia podoficera kościstymi palcami.

- Domyślam się, synu. I to właśnie mnie martwi... - Wydawało się, że admirał nie zwraca uwagi na wykona-



nie wydanych przez siebie rozkazów. Kolejne okręty floty znikwały za widnokretem, trzymając się niskiej orbity. Chronili się w ten sposób przed niespodziewanym atakiem raketowym. Przy takiej prędkości zbliżeniowej, flota nie posiadała żadnych technicznych szans obrony, przed jakimkolwiek uderzeniem ze strony nadlatującego przeciwnika. Ten musiał przemknąć w pobliżu planety, odślaniając się na ciosy w momencie, gdy zacznie się oddalać. Klasyczny przypadek, gdy zawiodło zaskoczenie, na które zapewne liczył przeciwnik. Mimo to, ten nagły atak niepokoił admirała. Wszystko wydawało się zbyt proste, zbyt przejrzyste. Oczywiście mógł się mylić, a akcja Chińczyków mogła wynikać z ich desperacji. Jednak jakoś nie przemawiało to do niego. Harrivan walczył sam ze sobą, a że był uparty, nie zanosilo się na szybkie zwycięstwo którejkolwiek z opcji.

- Panie admirale, przepraszam, że przeszkadzam... - Głos adiutanta, oderwał głównodowodzącego od własnych myśli. Niezbyt przytomnym jeszcze wzrokiem spojrzął pytająco na młodego oficera. Ten wskazał szeroką dłoń na mapę taktyczną.

- ...Rozdzielają się... - Istotnie, odczyt wyraźnie wskazywał, że idące w ciasnym szyku okręty Państwa Środka zwiększały odległości między sobą.

- To ma sens - wyrwał się Genth, stojący po przeciwnej stronie. Bojąc się, że ktoś go ubiegnie zaczął pośpiesznie.

- Zaatakują salwą raket, przelecą po obu stronach Rigil Prime, by zmaksymalizować szanse trafienia, po czym uciekną w przestrzeń... - Spora część obsady wydawała się zgadzać z komandorem. Istotnie, wyglądało na to, że wróg realizuje właśnie taki plan. Dziesięć minut później, skanery dalekiego zasięgu zarejestrowały kilkadziesiąt mniejszych obiektów. Poruszały się znacznie

szybciej, gwałtownie zwiększając dystans do okrętów macierzystych. Genthó triumfował. Spojrzał na admirała, oczekując rozkazów. Oto wracał w wielkim stylu, na należne mu miejsce w obsadzie oficerskiej.

- Tak, prawdopodobnie ma pan rację, kolego - w zamysleniu mruknął admirał, wchodząc w obręb mapy. Raz po raz sprawdzał odczyty dotyczące poszczególnych obiektów. Ich prędkość oszałamiała wręcz wartością. Ponad dwieście trzydzieści kilometrów na sekundę!

- Mam rozpoznanie! - Operator krzyknął z satysfakcją. Nie czekając na polecenie, przełączył wyniki na ekran główny. Wszyscy natychmiast rozpoznali trójwymiarowy wizerunek podłużnego, szarego kadłuba rakiety - CSS- 48 Bingbao. Najlepszy chiński pocisk manewrujący do zwalczania ciężkich okrętów kosmicznych.

- Wytoczyli ciężką artylerię - skomentował Genthó, nie spuszczać wzroku z głównodowodzącego. Ten potrząsnął głową i powoli wyszedł poza obręb hologramu.

- Przewidywany czas dotarcia na orbitę Rigil Prime, czternaście godzin, trzynaście minut - zabrzmiało obwieszczenie oficera operacyjnego. Niecała połowa doby. Potem wokół planety rozpęta się piekło. Każdy z pocisków niósł cztery dwudziestomegatonowe głowice, z własnym napędem, uruchamianym w ostatniej fazie lotu. Kilka pozorowanych obiektów, zakłócających działanie systemów przeciwrakietowych, inteligentny system sterujący. Zebrani przywoływali te dane z pamięci. Niepokój pojawił się na twarzach części oficerów.

- Hmm, ale Bingbao mamy tylko na flankach - Har-rivan podrapał się po gładko ogolonej brodzie. Cały czas czuł, że coś mu umyka.

- Uderzają bezpośrednio od strony przejścia do Układu Słonecznego - domyślnie odpowiedział Genthó.

- Oczywiście, jeżeli istnieje - rzucił, stając w ten sposób pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami teorii zaginania czasoprzestrzeni przez Chińczyków.

Podparty pewnością siebie, czuł się na siłach podjąć dyskurs z głównodowodzącym. Postąpił krok naprzód, stając dokładnie pośrodku wyświetlanej mapy. Szczupłą dłonią wskazał na falangę drobnych obiektów, pędzących przed okrętami przeciwnika.

- To z pewnością są drony bojowe. Mają oczyścić orbitę dla idącej z tyłu floty. Pociski mają dezorganizować obronę, roboty, dokończyć dzieła. Gdybyśmy ich nie namierzyli, żółci wykonaliby hamowanie po to tylko, by posprzątać resztki... . - Widząc, że admirał nie przerywa jego wywodów, ciągnął dalej, dumny jak paw.

- Proponuję strategię defensywną. Rozmieścimy kilkanaście atomowych min zbliżeniowych na orbicie biegunowej. Przy tej prędkości CSS-48, by nam zagrozić, będą musiały iść nie dalej, niż tysiąc kilometrów od powierzchni Rigil Prime. Nasze M-trzysta dadzą im radę bez problemu. Drony dezorganizuje impuls EMP. To co zostanie, zniszczymy jednym dywizjonem myśliwców.

- Zapominasz synu, o celu głównym - admirał przybrał profesorski ton, zaplatając dłonie na plecach. Jego mina wyraźnie wskazywała, że albo Genthos poda rozsądny plan działania, albo jego ostatnia szansa rozplynie się jak sen, a miejsce dowódcy osłony myśliwskiej zajmie inny, rzutki oficer.

- Tu proponowałbym rozwiązanie klasyczne. Korzystając z zamieszania na orbicie, uderzymy salwą pocisków samosterujących "Sabre". Chińczycy idą tak szybko, że wystarczy jedno trafienie. Jeśli któryś z nich przetrwa, "Devers", jako najszybszy w naszym zespole, ruszy w pościg i dobieje zwierza - zakończył z emfazą komandor. Prosty, skuteczny plan, przemawiający do wyobraźni.

Nawet Harrivan kiwał potakująco głową, zgadzając się z Genthó. Ten zamilkł i wciąż patrzył na głównodowodzącego.

- Na co pan czeka komandorze? - Zapytał zdziwiony admirał - niech pan wyda rozkazy! - Z ukrywanym uśmiechem obserwował, jak Genthó z werwą zarzuca operatorów poleceniami. Istotnie, sam zastanawiał się nad podobnym rozwiązaniem. Postanowił jednak dać komandorowi wolną rękę. Ostatecznie, skoro służył teraz w zespole taktycznym, to miał szansę się wykazać. Wyglądało na to, że w lot pochwycił tę możliwość.

- "George Washington" melduje, że znajdują się w cieniu Rigil Prime za cztery godziny... - Przed obliczem Harrivana stanął blady adiutant, składając meldunek drżącym głosem. Wydawał się być bardzo przejęty tym faktem. Ku jego zdumieniu, admirał zareagował spokojnie. Aż za bardzo.

- Oczywiście, potwierdzić - wydawał się oderwany od rzeczywistości, wciąż pochłonięty swoimi myślami. Odprawił adiutanta ruchem dłoni, nadal spoglądając na mapę taktyczną. Jakiś szczegół, niuans, nie dawał mu spokoju. Nie potrafił odkryć, który...

\* \* \*

Szesnaście myśliwców przewagi kosmicznej przesunęło się powoli, tuż ponad granicą atmosfery Rigil Prime. Świecące w oddali Alfa Centauri B nie potrafiło wykrzesać z nich nawet jednego refleksu świetlnego. Maszyna znajdująca się dokładnie w centrum szyku, uniosła dziób lekko w górę. Pilotująca go kapitan Eileen Rozmowsky z pewnym rozmarzeniem spojrzała wprost w odległą, gorejącą gwiazdę. Osłona kokpitu automatycznie dostosowała się do zwiększonego promieniowania świetlnego, przy-

ciemniając przednią powierzchnię. Dzięki temu, dało się dostrzec kilka największych plam słonecznych. Doszła do wniosku, że byłoby to piękne miejsce na hotel. Śnieżna panorama powierzchni Rigil Prime, oświetlana pomarańczowym blaskiem Alfa Centauri, była widokiem, za który wielu mogłoby zapłacić.

- Czwórka Westmoreland - słysząc wezwanie, natychmiast oderwała wzrok od otaczającego ją widoku.

- Czwórka Alfa zgłasza się - rzuciła spokojnie, kontrolując natychmiast stan wszystkich maszyn. Od trzech godzin wisieli tak w przestrzeni. Już sądziła, że zostali pozostawieni sami sobie...

- Kierunek sektor czterdzieści osiem Ce. Otrzymał sygnał do szarży. Cel główny, drony bojowe - Rozmowsky zmarszczyła brwi. Nie potrafiła przyzwycząić się do oschłego, oficjalnego tonu komandor Sereidy, mimo tego, że została skierowana na "Westmorelanda" już miesiąc temu. Poprawiła kosmyk dłuższych włosów, który wysunął się spod osłony hełmu i pływał sobie swobodnie, przesłaniając obraz z soczewki kontaktowej.

- Potwierdzam - mruknęła chłodno, nie siląc się na uprzejmości. Przekazała informację łączem qbit. Cały zespół, niczym grupa tancerzy, obrócił się w stronę północnego bieguna planety.

"Oto, co mi przyszło" - pomyślała pogardliwie, dodając nieco mocy. Dywizjon powoli przemieszczał się wzdłuż powierzchni planety, zostawiając daleko za sobą macierzysty okręt.

"As będzie zajmowała się orbitalną utylizacją robotów" - podobnie jak większość młodszych pilotów, Eileen pogardliwie odnosiła się do dronów, używanych w kosmosie. Mimo swego zaawansowania, przy myśliwcach sterowanych przez człowieka, były jak żółw przewrócony na plecy. Zdane na automatyczne obwody sterujące, póki

co, nie były w stanie nawiązać równorzędnej walki z istotą myślącą.

Rozmowsky wydeła kształtne usta z pogardą, widząc sygnał nadchodzących informacji taktycznych. Aż zamrugała oczami, gdy przestrzeń przed nią, za pośrednictwem soczewki kontaktowej, wypełniła się oznaczeniami pojazdów wroga, punktów nawigacyjnych i danymi uzbrojenia. Gdzieś daleko nad sobą dostrzegła cienie dwóch maszyn rozpoznawczych. Doskonale wykonały swoją robotę. By uniknąć niepotrzebnego ryzyka, odchodziły teraz daleko w przestrzeń, by kontrolować przyszłe pole walki z bezpiecznej odległości.

- Wreszcie coś się dzieje! - Powiedziała sama do siebie z werwą. Uruchomiła systemy bojowe. Pozostałe myśliwce zgłaszały pełną gotowość. Podchodzili do północnego bieguna planety, niczym wilk czający się na swoją zdobycz. Mimo wszystko, poczuła narastającą adrenalinę.

Za tarczą planety pojawiły się cztery duże okręgi, liczące co najmniej tysiąc kilometrów, oznaczone przez komputer na czerwono. Każda z nich oznaczała nuklearny wybuch i pole twardej radiacji.

- Miny zareagowały - rzuciła w mikrofon łączności bezpośredniej Eileen - przygotować się do ataku... - Niemal równocześnie z jej słowami, przed oczami Rozmowsky pojawił się rozkaz uderzenia na przeciwnika.

-Lecimy w szyku podwójnego diamentu - naładowany emocjami głos kobiety podziałał na podwładnych. Myśliwce błyskawicznie przyjęły szyk czterech małych rombów, tworzących razem jeden duży. Eileen wybrała jedno z nadlatujących zgrupować za cel. Oznaczyła je dla pozostałych. Myśliwce szarpnęły się naprzód, idąc na pełnej mocy potężnych silników termojądrowych. Rozmowsky wiedziała, że kluczem do zwycięstwa jest zaskoczenie przeciwnika. On nie wiedział o nich nic. Jej zespół my-

śliwski już namierzył cele, a jeszcze nie wyszli poza krzywiznę globu planety. Niczym głodna wataha wyskoczyli ponad horyzont. Eileen precyzyjnie wzięła na cel odległego drona i nacisnęła spust. Cztery impulsy laserowe zniszczyły go natychmiast. Reszta pilotów nie próżnowała. Ikony, oznaczające drony, znikwały jedno po drugim, jak na ćwiczeniach.

- Co jest? - Zirytowany głos Jimmiego Locknara rozbrzmiał nagle w słuchawkach. Pokładowy złośliwiec, po katapultowaniu się i kilkunastu dniach koczowania na powierzchni Rigil Prime, miał przeświadczenie, że może pozwolić sobie na znacznie więcej niż inni.

- Już na treningach jest gorzej... - Ciągnął dalej, spodziewając się kilku cierpkich słów ze strony przełożonej. Zamilkł nagle, gdy przestrzeń przed nimi rozbłysła naraz czerwienią kilkuset tysięcy impulsów radarowych, oślepiających pilotów. Zdezorientowane systemy detekcyjne podały na soczewki kontaktowe nieprzejrzystą, krwistą zasłonę. Zazwyczaj oznaczała ona radioaktywne pole śmierci dla maszyny i pilota. Tu jednak coś takiego nie mogło mieć miejsca, odczyty innych przyrządów nie potwierdzały wysokiego poziomu radioaktywności.

Poprzez słabnące tło, Eileen dostrzegła zarysy ciemnych, okrągłych obiektów, przemykających pod dywizjonem. Przeładowany system nie był w stanie zareagować, by oznaczyć potencjalne cele, ale na jasnym tle tarczy planety doskonale widziała setki tych obiektów, przypominających odwrócone spodki. Płaskimi powierzchniami ustawiały się prostopadle do atmosfery.

- Atakować! - Rzuciła chrapliwie w mikrofon, nie dbając o to, że mówi na otwartym kanale.

- Zniszczcie, ile się da! - Zwróciła myśliwiec w dół, naciskając spust. Nie mając wsparcia systemów celowniczych, strzelała na ślepo. Rotacyjne działko laserowe na-

bierało obrotów, siejąc śmiercionośnymi impulsami. Działo Gaussa w maksymalnym tempie wysyłało kolejne trzpienie w rój przelatujących kapsuł. Reszta dywizjonu poszła śladem dowódcy, usiłując stworzyć zaporę ognio-  
wą. Chińskich pojazdów była jednak cała masa, a z mroku przestrzeni wciąż wyłaniały się nowe. Rozmowsky strze-  
lała w zapamiętaniu. Dopiero sygnał o przegrzaniu działa laserowego oderwał ją na chwilę od walki.

- ... Czwórka Alfa, co tam się dzieje? Potwierdź... -  
Słyszając natarczywy głos operatora łączności z "Eisenho-  
wera", otarła pot ze szczupłej twarzy i rzuciła z zacięto-  
ścią w głosie.

- Tu nie ma żadnych robotów! Ci dranie robią de-  
sant!....

### Rozdział 3

## DYLEMAT

Jękliwy sygnał alarmowy niósł się daleko korytarzem ósmej sekcji mieszkalnej. Panele świetlne rozjaśniły się do poziomu "dzień".

- Alarm dla całego korpusu. Powtarzam, alarm dla całego korpusu desantowego! - Stanowczy głos oficera operacyjnego przebijał się przez rosnący hałas. Na wąskich korytarzach zaczęły pojawiać się zdezorientowane postaci, dopinające oporządzenie, a co poniektórzy wdziewający części garderoby. Jak jeden mąż, kierowali się w stronę przepastnych ładowni "Eisenhowera", dokąd



prowadziły ich czerwone, pulsujące linie, oznaczające alarm bojowy. Wbiegali przez szerokie wrota wprost na główną płytę, gęsto zastawioną dziesiątkami maszyn bojowych. Wśród tego tłumu biegł również porucznik Lovat. Ostatnie walki na powierzchni odcisnęły na nim swoje piętno. Parł jednak naprzód, z zaciętą, pozbawioną emocji twarzą. Szybko przemknął koło ośmiu ciężkich M.A.V.E, których silniki budziły się do życia. Do niedawna fascynowały go ich możliwości bojowe. Teraz, obojętnie minął je, chociaż zawsze marzył by poprowadzić wersję GM-22B Lee. Przecisnął się wąską szczeliną pomiędzy kontenerami i stanął przed szeregiem czterech "Hellhoundów", ostatnich, w pełni sprawnych maszyn piątej kompanii, przekształconej w samodzielny pluton zwiadowczy. Piloci siedzieli już w kokpitach. Kątem oka dostrzegł jak salutują. Podbiegł do swojej maszyny. Wyuczone wcześniej odruchy wzięły górę nad pośpiechem. Zlustrował sylwetkę M.A.V.E, dostrzegając zaspawane dziury i dodatkowe łaty pancerza. Choć naprawa wyglądała topornie, została wykonana fachowo. Porucznik, nie czekając dłużej, wspiał się po nodze maszyny. Zwinnie wsunął się do kokpitu. Natychmiast włączył się trójwymiarowy panel sterujący.

- Pluton rozpoznawczy, działacie na rzecz drugiej kompani szturmowej - suchy głos oficera taktycznego rozległ się tuż koło głowy Lovata. Ten zajęty przypinaniem się do fotela, mruknął półgębkiem.

- Taa, będziemy do dyspozycji, jak zwykle... - Zgłosił gotowość oddziału. W całej hali rozbrzmiewał pomruk uruchomionych silników. Nigdy dotąd coś podobnego się nie zdarzyło. Do lądowania szykowały się trzy bataliony M.A.V.E. W bój szły wszystkie, nawet świeżo wyremontowane pojazdy.

- Żołnierze! - W kokpitach maszyn bojowych rozbrzmiał stalowy głos admirała Harrivana - Przeciwnik dokonał niespodziewanego desantu na powierzchnię Rigil Prime, w okolicach Price Town. Nasza placówka w tamtym rejonie została prawdopodobnie zniszczona. Wróg posiada kilkanaście wyrzutni klasy ziemia-kosmos, co uniemożliwia bombardowanie orbitalne. Waszym celem będzie ich zniszczenie. Przed zrzutem otrzymacie wszystkie dostępne dane. Dowództwo nad operacją przejmuje pułkownik Robert Gawor. Życzę wam powodzenia! - Słyszając ostatnie słowa, Lovat uśmiechnął się pogardliwie. Cały podziw, jaki żywił do admirała, ulotnił się dawno temu. Machinalnie włączył sygnał podporządkowania dla dowódcy drugiej kompanii. Natychmiast nastąpił odzew. Na osłonie kokpitu pojawiła się komenda "Zrzut". Karnie ustawił swoich ludzi w szeregu. Żaden z nich się nie odezwał. Nawet Stein, mający zawsze coś do powiedzenia, teraz milczał jak zakłęty. Było coś złowieszczonego w tych dziesiątkach maszyn, kroczących ociężale ku katapultom zrzutowym. Trójwymiarowe ekrany zaczęły puchnąć dziesiątkami przesyłanych informacji. Lovat aż syknął, widząc kilkadziesiąt zarejestrowanych pojazdów pancernych. To był kontyngent tylko z jednego lądownika. Na mapie widniało ich co najmniej dwadzieścia, rozrzuconych nieregularnie wokół częściowo odbudowanej Price Town.

- Cholerny gnojek - mruzczał pod nosem Lovat, ustawiając maszynę w kokonie zrzutowym - „wyrzutnie - srutnie. Boi się o swoje wymuskane krążowniki, więc posyła nas na śmierć...” - System zasygnalizował pełną blokadę. Zamknął na chwilę oczy, próbując uspokoić oddech. Nagle usłyszał wysoki głos męczyzny, bezskutecznie usiłującego nadać swej wypowiedzi ton nieznoszący sprzeciwu.

## Rigil Prime...

---

- Kapitan Roger Havis do plutonu rozpoznawczego. Skaczenie przed nami, więc oczekuję zabezpieczenia perymetru. Moje Lee mają wylądować bez problemu! Czy to jest jasne? - Słyszając tę tyradę, Lovat aż stęknął. Nie chcąc wdawać się w pyskówkę, potwierdził odebranie przekazu za pomocą systemu taktycznego. Przypomniał sobie to nazwisko. Skrzywił się na wspomnienie młodego, zadufanego w sobie bubka, owładniętego manią wielkości. Pamiętał, jak ze Steinem zastanawiali się, kto mógł go posłać do szkoły oficerskiej. Stało na bogatym tatuśku.

- Stukać w ekran to mi będziesz na powierzchni ! - Nie dawał za wygraną rozjuszony jawnym ignorowaniem Havis - teraz żądam regulaminowych meldunków! - Nieudolna próba wymuszenia posłuszeństwa sprawiła, że Lovat przypomniał sobie samego siebie sprzed kilku miesięcy.

- Naprawdę, synu? - Przybrał swój słynny, nonszalancko-szyderczy ton - więc melduję ci, że moi chłopcy są gotowi do skoku bardziej, niż ty do wymiany zaszc...nej pieluchy. Czy takie potwierdzenie ci wystarczy, czy pobiegiesz z płaczem do admirała? Wysmarkasz mu się w rękaw, że odbierasz „nieregulaminowe” meldunki?

Na kanale zapadła całkowita cisza, przerwana po chwili rechotem Steina, który bezczelnie, na głównym mruknął.

- Dobrze powiedziane szefie, naprawdę...

Chwilę później, elektromagnetyczna katapulta wysłała ich w stronę powierzchni Rigil Prime...

\* \* \*

Na admirałskim stanowisku dowodzenia wrzało jak w ulu. Oficerowie przekrzykiwali się nawzajem. Meldunki przychodzące od operatorów krzyżowały się, niknąc w

szumie gwałtownych dyskusji. Trójwymiarowa mapa taktyczna drżała, tracąc gdzieś rozdzielną, przytłoczona nadmiarem szczegółów. Chaos opanował cały przedział.

Jedynie wysoka, szczupła sylwetka admirała stała nieruchomo niczym posąg. Harrivan delikatnie stuknął palcem w brodę. Mrużył coraz bardziej wzrok, jakby starał się uchwycić prawidłowość w zawiłej układance taktycznej, rozwijającej się na orbicie Rigil Prime. Postąpił krok naprzód, uruchamiając jeden z wewnętrznych sygnałów alarmowych. Przenikliwy pisk zalał całe pomieszczenie i ucichł. Wraz z nim zamilkli wszyscy – oficerowie i obsada operatorska.

– Skoro skończyliście panowie pogaduszki, chciałbym JA... – Na ostatnim słowie położył wyraźny nacisk – ... Coś powiedzieć. – Nikt, nic nie odpowiedział. Łącznie z komandorem Genthó, który nie wiedział, gdzie ma się podziąć. Mina młodego oficera wyraźnie wskazywała na to, że wini się za zaistniały stan rzeczy. Nie potrafił zwalczyć tego uczucia i jego działanie sprowadzało się do szepceni pod nosem. Harrivan potrząsnął głową i rzucił głośno, tak by go usłyszeli wszyscy zebrani.

– Przeciwnik wykonał doskonały manewr. Mamy do czynienia z desantem na powierzchnię oraz atakiem orbitalnym. Komandor Weisengerber, jest pan łącznikiem z pułkownikiem Gaworem? – Wezwany, machinalnie skinął głową.

– W takim razie, za dwie minuty, chcę mieć szczegółowy raport dotyczący sytuacji na powierzchni. Zespół taktyczny, przygotować strategię obrony floty przed uderzeniami okrętami przeciwnika... – Admirał stanął przed komandorem Genthó. Zmierzył go chłodnym wzrokiem i mruknął.

## Rigil Prime...

---

- Komandorze, pana szansa ucieknie, jeśli nie weźmie się pan w garść. Pańscy piloci walczą... - Zawiesił głos i odwrócił się przodem do mapy. Operatorzy zdołali się już uporać z większością zakłóceń. Obraz nabrał przejrzystości. Przez kilka chwil panowała cisza, po czym rozległ się głos komandora Genthó.

- Czwórka i ósemka z "Westmoreland" w walce bezpośredniej. "Devers" z własnej inicjatywy wypuścił piętnasty dywizjon. Wejdzcie do akcji lada chwila - głos oficera drżał jeszcze, ale emanowała z niego rosnąca pewność siebie. Admirał uśmiechnął się pod nosem.

Dobrze ocenił tego młodzika. Nagły atak Chińczyków, zniszczył jego butę, ale nie zdolność do działania.

- Dobrze - pochwalił oszczędnie - wesprzeć zespoły walczące na orbicie, sygnał do floty, przygotować się do ataku na chińskie okręty uderzeniowe!

Wokół amerykańskiej floty zaroilo się od maszyn myśliwskich i szturmowych. Szum w eterze ucichł. Zastąpiły go precyzyjnie wydawane rozkazy. Okręty natychmiast ustawiły się w pożądanym szyku. Harrivan na wszelki wypadek nakazał przyjąć szeroki, rozproszony układ przestrzenny, by zabezpieczyć się przed atakiem ciężką bronią kosmiczną. Po drugiej stronie planety trwała zacięta walka pomiędzy nielicznymi myśliwcami amerykańskiej federacji, a setkami chińskich dronów. W tamtą stronę ciągnęły kolejne eskadry, pracowicie wysyłane w przestrzeń przez wszystkie lotniskowce...

\* \* \*

*14 Lipca 2118 roku.*

*Powierzchnia Rigil Prime. Okolice Price Town.*

*Godz. 03.42*

Ciemności spowijające planetę pogłębiała dodatkowo gęsta, śnieżna zadymka. Burza śnieżna, częsta o tej porze roku, dopiero rozwijała swoje skrzydła. Tumany zmrożonych, lodowych igieł mknęły z dużą prędkością, porwane wicherą. Bezlitośnie oblepiały metalowe elementy M.A.V.E, mimo działających systemów przeciwo-lodzeniowych. Lekkie "Hellhoundy", na podobieństwo spłoszonych zwierząt, stanęły w niewielkim zagłębieniu, plecami do siebie. Jak gdyby chciały się wzajemnie ogrzać.

Lovat z niepokojem skontrolował stan pojazdu. Temperatura wewnętrzna pojazdu, w niektórych przedziałach, spadła poniżej zera. Utrzymanie samego status quo pochłaniało coraz więcej mocy, uniemożliwiając dalszy marsz. Czytał co prawda o potwornych huraganach lodowych. Uważał jednak, że relacje pierwszych kolonistów z Rigil Prime zawierały pewną dozę przesady. Teraz przekonał się naocznie o ich prawdziwości. Żaden człowiek, bez grubego pancerza i solidnego źródła energii, nie byłby w stanie przeżyć na zewnątrz choćby trzydziestu minut.

Zmrużył oczy w złośliwym uśmiechu, wyobrażając sobie problemy drugiej kompanii. Potężne, znacznie wyższe od maszyn plutonu rozpoznawczego, "Lee", z pewnością mocniej odczuwały uderzenia wicherury... . Aż drgnął, słysząc na kanale łączności bezpośredniej poufały szept Steina.

- Szefie, sam Bóg nam chyba ten dołek zesłał... - Z sierżantem znali się już na tyle dobrze, że rozumieli się bez słów.

- ... Jeśli nie był łaskaw dla naszego walecznego kapitana Havisa, to trzeba go będzie wyciągać z fotela kilofem... - Podoficer zachichotał nerwowo. Niepokoił się, tak jak i pozostali. Jakakolwiek awaria maszyny, w tych wa-

runkach, była wyrokiem śmierci. Tylko kokpit był jedynym, kruchym zabezpieczeniem ich życia. Rozładowując ten strach, sierżant zaczął na kanale radiowym snuć przypuszczenia, co do stanu psychicznego dowódcy drugiej kompanii. Nawet Lovat nie był w stanie powstrzymać się od uśmiechu. Podoficerowi nie brakowało wyobraźni. Dopiero po kilkudziesięciu minutach zorientowali się, że wiatr zelżał odrobinę. Powoli przejaśniało się. Lodowa wichura cichła. Ponad maszynami zaczęło pojawiać się czarne niebo upstrzone gwiazdami. Zupełnie inaczej niż na Ziemi, nie było tu okresów przejściowych. Gdy opadały lodowe igły niesione huraganowym wichrem, rzadka atmosfera, w krótkim czasie, stawała się całkowicie przejrzysta. Tak było i tym razem.

- Dobrze moi mili państwo - mruknął Lovat - strąsamy z naszych maleństw lód i do roboty! - Jakby na dany znak, turbiny "Hellhoundów" zawyły na maksymalnej mocy, dostarczając maksimum energii do systemów przeciwooblodzeniowych. Chwilę później z maszyn poczęły spadać płaty lodu, który osadził się na ich konstrukcji podczas burzy. Na ekranie taktycznym porucznika, podkomendni zgłaszali kolejno gotowość do wymarszu. Gdy tylko ostatnie nazwisko z krótkiej listy zaświeciło się na zielono, Lovat pchnął dźwignię mocy. Pluton zwiadowczy ruszył naprzód. Zamierzali wykorzystać czas, jaki z pewnością zabierze przeciwnikowi przywrócenie pełnej zdolności bojowej. Lodowa burza zmieniła wygląd całej okolicy. Dywan zmrożonych igieł wygładził ostre krawędzie popękanych pagórków. Zmrożona pokrywa śniegu, pod szerokimi łapami maszyn plutonu, raz po raz pękała z łoskotem. Zbliżali się powoli do przypuszczalnych pozycji przeciwnika, przekazanych im jeszcze na pokładzie lotniskowca. Lovat na to wspomnienie, wykrzywił twarz w gniewnym grymasie. Nie dysponowali żadnym rozpo-

znaniem z orbity, nawet jednym rzutem radarowym. Orbitalne zespoły rozpoznania działały na rzecz myśliwskich dywizjonów. Ich obecność objawiała się raz na jakiś czas słabym rozbłyskiem wybuchu. Tylko to świadczyło o zaciętej walce na orbicie. W efekcie oddziały naziemne zostały skazane na ryzykowne, mniej skuteczne rozpoznanie bezpośrednie... .

Rozważania Lovata przerwał spokojny, rzeczowy głos sierżanta.

- Warunki pozwalają na wypuszczenie drony rozpoznawczej... - Domyślnie rzucił Stein, sycąc się zapewne swą przenikliwością. Porucznik uśmiechnął się do siebie. Będzie o tym słyszał przez następne wieczory. O ile przeżyją ten dzień...

- Zezwalam na start. Rozpoznanie przedniego sektora w przedziale czterdziestu pięciu stopni na wschód. Odległość, do trzydziestu kilometrów. Wykonać! - Zadysponował zgodnie z regulaminem. Robot wystartował z cichym szumem przeciwbieżnych śmigieł. Cała czwórka odprowadzała go wzrokiem. Teraz los całego plutonu zależał od tej niepozornej maszyny. Lovat zwolnił. Pozostali, sprzężeni z jego komputerem nawigacyjnym, również zmniejszyli prędkość. Teren stopniowo obniżał się, a wysokie lodowe iglice zaczęły zastępować obłę, wytarte przez wiatr i burze pagórki, sięgające najwyżej półtora metra wysokości. Pluton natychmiast rozwinął szyk szereż, by uniknąć jednoczesnego porażenia.

Porucznik z napięciem wpatrywał się w przestrzeń, jakby usiłował przebić ciemności przed sobą. Gdzieś tam krył się przeciwnik. Na chwilę oderwał się od widoku za osłoną kokpitu i zerknął na trójwymiarową mapę. Do Price Town pozostało zaledwie osiemnaście kilometrów. Wydawało się to aż nierzeczywiste, że dotarli tak daleko... .



Nagle na mapie pojawiły się trzy czerwone ikony, oznaczające nieznane obiekty. Chwilę później następny. Trójwymiarowe obrazowanie pasowało do chińskich lądowców desantowych. Porucznik szybkim ruchem wskazał na mapie linię marszu, skręcającą ostro na zachód, z powrotem pomiędzy wzgórz. Niemal w tej samej chwili jego M.A.V.E zatrząsł się, trafiony kilkunastoma lekkimi pociskami kinetycznymi. W kokpicie rozbłysły światła alarmowe. "Hellhound" oberwał z gładkolufowej, magnetycznej wyrzutni, zwanej w slangu żołnierzy "śrutówką". Na całe szczęście, w maszynę trafiło zaledwie kilka ferrytowych drzazg, nie uszkadzając żadnego z krytycznych układów.

- Strzelają szelmy - na kanale bezpośredniej łączności rozległ się zacięty głos Steina.

- Naprawdę? - Szydercze pytanie Lovata, skupionego na wykonywaniu uników, powstrzymało dalszy ciąg wypowiedzi sierżanta. Nie mogąc oderwać dłoni od sterów, porucznik rzucił w mikrofon.

- Pluton, idziemy w prawo, przechodzimy na sterowanie automatyczne. Oznaczyć cele i ognia!

"Hellhoundy" szły pomiędzy słupami wybuchów, ob-sypywane grudami lodu i ziemi. Korpusy obróciły się w stronę odległego przeciwnika. Dron wypuszczony przez Steina, lecąc w trybie autonomicznym, pracowicie przekazywał pozycje chińskich maszyn. Wyglądało na to, że oddział Lovata wdepnął niemal w sam środek obozowiska. Rotacyjne działa amerykańskich M.A.V.E przemówiły, z terkotem zasypując przeciwnika pociskami. Stein z zaciśniętymi zębami, w których tkwiło zgaszone cygaro raz po raz naciskał spust przenosząc ogień z jednego celu na drugi. Mimo doskonałej stabilizacji korpusu, gwałtowne zmiany kursu pojazdu, prowadzonego przez komputer sprawiały, że spora część palby była jedynie na postrach.

Sierżant przeklinał w myślach stratę amunicji, zdając sobie sprawę z tego, że to jedyna szansa na ocalenie.

Nie dla wszystkich. Ostatnia maszyna w szyku zachwiała się na moment. Niemal natychmiast otrzymała potężny cios w pancerną goleń. Ciężki pocisk z działa magnetycznego zniszczył siłowniki. "Hellhound" zakreślił się w miejscu, niczym bąk. Pilot zdążył nawet opanować maszynę, odłączając autopilota, ale nie miał już najmniejszych szans. Niemal cała chińska nawała ogniowa skupiła się na uszkodzonym M.A.V.E, który zniknął w rozbłysku wybuchu.

- Dostali Barbaco... - Ciche mruknięcie Steina musiało wystarczyć Lovatowi i reszcie plutonu za całą mowę pogrzebową. Ostatnie, pożegnalne chińskie strzały, trafiły w nawisy lodowe, za którymi skryli się zwiadowcy. Porucznik otarł łzę. Nie miał ani chwili czasu na żal po utraconym podwładnym. Szybko zlustrował mapę taktyczną. Ku swojemu zdziwieniu, dostrzegł kilkanaście maszyn kroczących. Ich wielkość niemal dorównywała "Lee". Nic dziwnego, że tak im przetrzepali skórę. W sumie można było się cieszyć, że skończyło się na jednej ofierze...

Natychmiast przesłał zebrane dane łączem qbitowym. Jeszcze raz przyjrzał się zobrazowaniu pola walki. Nie wyglądało to źle. Rozpoznali dwanaście M.A.V.E, pięć pojazdów opancerzonych i sześć obłych lądowików. Dron wciąż przekazywał informację, sterowany przez Steina. Gdy tylko Chińczycy zorientowali się, że są obserwowani, podoficer wycofał robota. Ilość informacji była wystarczająca do przygotowania ataku.

Cichy pisk systemów łączności zaskoczył Lovata. Rozmowa na kodowanym kanale qbit kosztowała masę energii i była wykrywana na sporym obszarze. Zawahał się, ale odruchowo włączył odbiór.

- Czy wyście poszaleli? - Kokpit zalał złośliwy głos kapitana Havisa - czy wy weterani, wiecie co znaczy rozpoznanie? Po CICHU! - Ostatnie słowa wypowiedział powoli, dobitnie, akcentując każdą literę. Lovat poczekał cierpliwie do końca tyrady, po czym odezwał się z zimnym spokojem.

- Przeciwnik nie informował nas, że zasadził się właśnie tutaj - porucznik cedził przez zęby każde słowo, wściekły, że przez bezmyślność przełożonego niepotrzebnie ryzykuje życie

- I dam panu dobrą radę. Łączność qbitowa jest nie do rozszyfrowania. Za to jest dobrym zaproszeniem do otrzymania raketowej, albo nawet orbitalnej buły dużego kalibru... - Wyrzuciwszy z siebie pełne jadu słowa, Lovat natychmiast nakazał zmianę stanowiska. Zrobili to niemal w ostatniej chwili. Miejsce skąd nadawał porucznik zostało trafione pojedynczym pociskiem artyleryjskim. Samonaprowadzająca głowica zrobiła w lodzie krater o średnicy ponad stu metrów. Czujniki radiacji w "Hellhoundach" zarejestrowały skok promieniowania.

- A nie mówiłem, tępy bucu - mruknął do siebie Lovat, klucząc między lodowymi iglicami. Ponuro zastanawiał się, czy Havis zdołał uciec przed ostrzałem. Pojawiające się na mapie polecenia, świadczyły o tym, że również on przeżył. Ta jedna nauczka wystarczyła. Młody oficer nie odważył się nawiązać ponownego połączenia. Na ekranie taktycznym pojawił się misterny plan Havisa. Porucznik rzucił nań okiem. Zmarszczył brew i już miał zakląć, gdy pojawiła się dalsza część. Teraz składał się w całość. Porucznik musiał przyznać, że chwycił za serce. Chytrze wypuszczał ostrzelany pluton pod lewą flankę Chińczyków. Mieli sprawiać wrażenie, że stracili orientację, po to, by ciężkie "Lee" przetoczyły się z prawej strony. Lovat potwierdził odebranie rozkazu i uruchomił łącz-

ność krótkiego zasięgu. Szorstkim głosem wydał rozkazy. Nikt się nie odezwał, nie zaprotestował. Przez moment poczuł ciepło zaraz przy sercu, na myśl o bezwzględnym zaufaniu podwładnych.

- Wyślemy kilku Chińczyków śladem Barbaco. On im przygotuje tam na górze porządne powitanie... - Skomentował Stein i zapadła cisza. "Hellhoundy" szły szeregiem za swym dowódcą, omijając zgrupowanie wysokich lodowych stożków, ustawiając się na pozycjach wyjściowych. Lovat starał się nie myśleć o maszynach przeciwnika. Każda z nich była cięższa i potężniej uzbrojona od ich M.A.V.E. Włączył auto-diagnostykę i przez następne trzy minuty zajmował się tylko wskazaniem systemu.

Sygnal na ekranie przerwał te relaksujące zajęcia. "Przystąpić do wykonania planu" przeczytał bez większego entuzjazmu. Ni stąd ni zowąd przyszła mu do głowy Eileen. Mimowolnie uniósł głowę do góry, spoglądając w czarne niebo. Czy jeszcze żyła? Walczyła, osłaniając ich na powierzchni? Może jakiś wrogi pocisk zamienił ją w skupisko atomów?

Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć rozpraszających go myśli. Wielokrotnie mówił podwładnym, że w trakcie walki, jedyne o czym mają myśleć, jest celowanie i strzelanie. A jeśli nie będą tego przestrzegać, to wróg wróci do hangaru, pozostawiając za sobą ich ciała. Uśmiechnął się pod nosem i mruknął.

- Ruszamy! - Na dźwięk słów Lovata, turbiny wszystkich maszyn plutonu zawyły na pełnej mocy. Wskoczyli poza linię wysokich pagórków, wychodząc bokiem do głównej linii obrony przeciwnika. Stein idący przodem wystrzelił kilka razy z działa Gaussa. Dwa pociski były celne, zapalając jedną z maszyn przeciwnika. Jasny płomień rozświetlił ciemności, z których wyłoniły się złowrogie, kanciaste kształty ciężkich, chińskich M.A.V.E. Za-

reagowały jak zranione lwy, zasypując samotny pluton ulewą ognia. Lovatowi wydawało się, że ziemia wokół fa-luje, unosząc się do góry. Zdał się całkowicie na systemy nawigacyjne, nie będąc w stanie dostrzec terenu przed sobą. Od czasu do czasu posyłał w chmurę lodowego pyłu pocisk, nie widząc żadnego efektu. Ponuro dywagował, że w każdej chwili rozpoznawcza szarża zamieni się w upiorny atak kamikaze, gdy nagle gdzieś w oddali do-strzegł silny rozbłysk wybuchu, a po chwili drugi. Serce podskoczyło mu z radości. Druga kompania dotarła do pozycji przeciwnika. Sądząc po potężnej palbie, Havis sprawiał wrogowi krwawą łaźnię. Ogień natychmiast ze-lżał. Systemy bojowe oznaczyły dwa ciężkie, chińskie po-jazdy idące w ich stronę. Pozostałe zawracały. Przeciwnik chciał zneutralizować główne zagrożenie. Pluton rozpo-znawczy miał stać się pożywką dla tych dwóch mastodon-tów. Każdy ważył ponad dziewięćdziesiąt ton i niósł ogromny arsenał. Przeciwnik ufny w swoją siłę i odpor-ność pancerza, rozpędzał się, zamierzając wdeptać Ame-rykanów w lód.

Widząc to, Lovat nabrał fantazji. Natychmiast ozna-czył bliższy pojazd jako cel główny. Obaj pozostali przy życiu podwładni, działali jak jeden organizm. "Hellhoun-dy" na pełnej prędkości zmieniły kurs, przechodząc na prawą burtę oznaczonego obiektu ataku. Tym samym, drugi z Chińczyków nie był w stanie ich zaatakować, nie ryzykując trafienia kolegi.

- Prawa noga, moi państwo - warknął Lovat, koncen-trując się na celowniku. Uderzenia adrenaliny zrobiły swoje. Pot wystąpił mu na czoło. Wściekłość na admirała, Chińczyków i tę planetę, przeobraził w precyzyjny, bezli-tosny atak. Celnego pociski całej trójki razily prawą goleń maszyny przeciwnika. Nawet warstwowy pancerz nie był w stanie tego wytrzymać. Chińczyk zwolnił i zatrzymał

się. Jego korpus nie był w stanie obracać się wystarczająco szybko. Uszkodzona noga M.A.V.E poddała się z trzaskiem. Maszyna, niczym potężny dąb, ospale runęła w dół, krusząc wierzchnią warstwę lodu, rozrzucając ją na boki. Drugi chiński pilot, widząc co się dzieje, zawrócił, nie próbując pomóc koledze.

- To za Barbaco! - Wrzasnął na otwartym kanale Steina. Jednocześnie uruchomił całe uzbrojenie swojego "Hellhouna" zasypując uszkodzonego Chińczyka impulsami laserowymi. Przewrócona maszyna odłoniła słabsze, boczne opancerzenie. Nie było w stanie powstrzymać intensywnego ognia. Nagle zaryczały silniki rakietowe katapulty, gdy pilot ciężkiego M.A.V.E katapultował się. Chwilę później "Hellhoundy" oświetliła eksplozja, niszcząca całkowicie leżącą maszynę.

Na chwilę oślepiła ona przyrządy obserwacyjne całej trójki. Od strony chińskich umocnień rozbłysło kilka strzałów artyleryjskich, pociski przeniosło gdzieś dalej. Chiński uciekinier, odskoczywszy na bezpieczną odległość, nabrał animuszu. Otworzył ogień, obierając sobie za cel Steina. Nie żałował amunicji, ale pociski z działa kinetycznego raz po raz rykoszetowały od górnych osłon pancernych. Sierżant umiejętnie manewrował pojazdem, tak by nie obracać się przodem do strzelającego.

- Bokami - przez zaciśnięte zęby wycedził Lovat, oznaczając drugiemu pilotowi prawą flankę. Pędzili na pełnej prędkości, w szybkim tempie zbliżając się do przeciwnika. Ten dostrzegł nowe zagrożenie. Porucznik widział, jak pancerny mastodont obraca się w jego stronę. Natychmiast rzucił maszynę za niewielkie wzniesienie. Błysnął laserowy strzał i pagórek zamienił się w słup okruchów lodu podniesionego wybuchem. Widząc to, skrzydłowy Lovata zaczął strzelać, choć z tej odległości pociski nie mogły być skuteczne. Do walki włączył się też

Stein, starając się trafić w osłonę kokpitu Chińczyka. To sprawiło, że przeciwnik zawahał się na chwilę, obracając broń w stronę odległych "Hellhoundów". Przypieczętował tym samym swój los. Korzystając z chwilowej nieuwagi, Lovat rzucił się naprzód, nie próbując uników. Całą uwagę skupił na mechanicznym stawie prawej nogi chińskiej maszyny. Krótka, dobrze wycelowana seria laserowych impulsów stopiła osłony siłowników i zablokowała możliwość ruchu. Dopiero teraz przeciwnik zorientował się, kto tak naprawdę mu zagraża, ale nie zdołał trafić szybko przemieszczającego się celu. Lovat z krzywym uśmiechem szedł po łuku, coraz bardziej skracając dystans. Wydawało się, że zderzy się z chińskim M.A.V.E, ale przeszedł jakieś sześć metrów obok, ostrzeliwując kadłub z całej dostępnej broni pokładowej. Nie przebił ani razu grubego pancerza, ale skupił całą uwagę wrogiego pilota na sobie. W tym czasie pozostałe dwa M.A.V.E dotarły na odległość skutecznego otwarcia ognia. Celne pociski przeszły boczny pancerz maszyny przeciwnika. Lewy bok mastodonta zabłysł płomieniem, gdy eksplodował magazyn amunicyjny. Wybuch rozerwał pancerz, odsłaniając wrażliwe wnętrze. Kolejna amerykańska salwa przeszła system podtrzymywania życia, konsolę elektroniczną i fotel pilota, zamieniając wszystko w płonący stos poskręcanych przewodów. Pilot zginął natychmiast. Chiński M.A.V.E znieruchomiał. Trójka "Hellhoundów" ominęła wrak ogarnięty rozpalającym się płomieniem i popędziła naprzód. Lovat hazardzista postawił wszystko na jedną kartę. Wypełnił zadanie co do joty, teraz miał wolną rękę. Ciemność przed nimi, raz po raz rozpraszana błyskami wybuchów, świadczyła o ciężkiej bitwie, toczonej przez drugą kompanię. Porucznik mógł się założyć o Steina i wszystkie jego chamskie dowcipy, że cała ciężka broń została skierowana w stronę toczącego się starcia. Zamie-

rzał bezlitośnie to wykorzystać. Wbiegli na płaskowyż, gdzie przeciwnik zorganizował obozowisko. Mikrofony kierunkowe wychwyciły kilka strzałów z broni ręcznej. System namierzania natychmiast wychwycił cel. Lovat otworzył ze zdumienia oczy. Tak szeroko, że omal nie wypadła mu soczewka kontaktowa. Widział kilkanaście osób w grubych futrach, wybiegających z niskich, prefabrykowanych baraków. Nie mieli najmniejszych szans. Od niechcenia nacisnął spust. Seria działka kinetycznego rozzerwała się pośrodku grupy, rozrzucając ją na boki.

- Szefie, czy ja dobrze widzę?... - W głosie rozgrzanego walką Steina pobrzmiwało bezgraniczne zdziwienie - ... To była piechota bez pancerzy?.

- Najwidoczniej... - Lovat przerwał, bowiem zza obłęgo kadłuba osmolonego lądownika wysunął się chiński wóz opancerzony. Na oczach porucznika, bezzałogowa wieża, wyposażona w dwa pakiety rakiet przeciwpancernych, obróciła się w ich stronę. Natychmiast przeniósł celownik w stronę nowego zagrożenia. Już wiedział, że nie zdąży. Za transporterem pojawiła się smuga ognia, gdy rakiety zaczęły startować jedna po drugiej. Dopiero teraz, Lovat zdołał zalokować uzbrojenie na kanciastym kształcie maszyny przeciwnika. Otworzył ogień w chwili, gdy jego "Hellhoundem" szarpnął potężny wstrząs. Zawyły wszystkie możliwe alarmy. Przed M.A.V.E pojawiła się chmura aerozolu. Błysnęła iskra inicjując niewielką eksplozję, myląc kilka rakiet.

- Prawą turbinę szlag trafił - mruknął Lovat. Nienawistnym wzrokiem wpatrywał się w smętne resztki, jakie pozostały po chińskim pojeździe.

- Idziemy dalej... - Warknął przez panel łączności bezpośrednio. Żaden z pozostałej dwójki nie odezwał się. Ruszyli naprzód, nie zwracając uwagi na ostrzał z broni ręcznej, prowadzonej przez chińskich niedobitków.



- Tam... - Lovat usłyszał głos sierżanta. Na trójwymiarowym zobrazowaniu przestrzeni przed sobą, oznaczył grań przed nimi. Chwilę później zareagowały systemy celownicze, wskazując najbliższe cele - dwanaście chińskich M.A.V.E o średnim tonażu. Ostrzeliwały się intensywnie, częściowo osłonięte zwałami usypanego przez buldożery lodu. Lovat nie bez satysfakcji, zauważył na ekranie taktycznym dwa nieruchome "Lee". Cięższe, lepiej uzbrojone, z doskonałym pancerzem, nie potrafiły pokonać przeciwnika. Teraz wszystko było w rękach trójki pilotów lekkich maszyn rozpoznawczych. Lovat zignorował sygnał pożaru prawego przedziału silnikowego. Rzucił okiem na stan amunicji zespołu.

- Stein, zawsze musisz wystrzelać wszystko...? - Ze złością stwierdził, że pozostały im tylko działa laserowe z niewielką ilością energii.

- Jak zawsze - rzucił bez troski sierżant, pracowicie oznaczając cele przed sobą.

- Zaraz nas zauważą. Walimy ze wszystkiego, co mamy na pokładzie - rzucił przed siebie porucznik i zacisnął zęby. Oba w pełni sprawne "Hellhoundy" wysunęły się naprzód. W walce nie było sentymentów, dotrzymywania kroku uszkodzonemu M.A.V.E. Szli na uzbrojonego po zęby przeciwnika. Jedynie prędkość była ich sprzymierzeńcem. Samotny Lovat pozostawał z tyłu, dymiąc coraz obficie z zniszczonej turbiny. Na tylnych pancerzach chińskich M.A.V.E pojawiły się iskry, w miejscach, gdzie uderzały impulsy energii. Wróg zareagował błyskawicznie na nowe zagrożenie. Trzy najlepiej ukryte maszyny obróciły korpusy i otworzyły ogień zaporowy, zmuszając Steina i jego bocznego do desperackiej ucieczki między kadłuby ładowników. Jeden z ciężkich pocisków rozerwał się tuż nad kabiną sierżanta, szpikując pojazd dziesiątkami ostrych jak brzytwa odłamków. Nie uszkodziły żadnej

ważniejszej instalacji, ale systemy klimatyzacyjne wzmo-  
gły pracę, ze względu na ubytki ciśnienia w kokpicie. Ste-  
in nie zwrócił na to uwagi, wciąż prowadząc ogień. Jeden  
z Chińczyków zadymił, trafiony we wrażliwy punkt. Za-  
mieszanie na tyłach wykorzystwała druga kompania, ude-  
rzając wszystkim maszynami. Niczym starożytna falanga  
ruszyli naprzód, raz po raz uderzając całymi salwami.  
Przeciwnik skoncentrował ogień na najbliższym "Lee",  
który dosłownie wyleciał w powietrze. Reszta pilotów  
nawet nie zwolniła. Strzały z ciężkich dział Gaussa siały  
spustoszenie w szeregach chińskich pojazdów. Dobrze  
wyszkoleni ludzie Havisa, po unieruchomieniu jednego  
pojazdu przeciwnika, natychmiast atakowali następnego.  
Po mistrzowsku wykorzystali moment, podarowany im  
przez pluton rozpoznawczy.

Jedynie trzy chińskie maszyny, ścigające Steina i jego  
bocznego, zdołały uratować się z masakry. Lovat widział,  
jak przepadają między lodowymi wzgórzami. Zatrzymał  
pojazd i odłączył prawy zespół napędowy. Dym z przebi-  
tej turbiny sączył się coraz słabiej. Porucznik z zadowo-  
leniem obserwował smugi zjonizowanego powietrza,  
znaczące szlak pocisków Gaussa. "Lee" korzystając z tej  
morderczej broni, były w stanie wyeliminować przeciw-  
nika aż po granicę horyzontu. Nagle poczuł ukłucie nie-  
pokoju, obrócił głowę w prawo i serce skoczyło mu do  
gardła. Zza kanciastej bryły lądownika desantowego ma-  
jestatycznie wyłonił się chiński czołg. Miał do nierucho-  
mego "Hellhouna" może z dwieście metrów. Na oczach  
Lovata, wieża obróciła się, szczerząc w jego stronę potęż-  
ne działo kalibru sto czterdzieści milimetrów. Ciało po-  
rucznika zadziało bez jego wiedzy. Nim zdążył cokol-  
wiek przeanalizować, prawa ręka sięgnęła po staromod-  
ną dźwignię, inicjującą silnik katapulty. Krótkim szarp-  
nięciem uruchomił ją. Następne co pamiętał, to huk piro-

## Rigil Prime...

---

nabojów, odrzucających osłonę kokpitu, potworny mróz, który wtargnął do wnętrza i przeciążenie wypychające powietrze z płuc, gdy z rykiem silnika raketowego, jego fotel ruszył w górę. W samą porę, bowiem trzy sekundy później, w M.A.V.E porucznika uderzył pocisk przeciwpancerny, zamieniając go w stos płonących żagwi...

\* \* \*

Admirał Harrivan w milczeniu obserwował trójwymiarową mapę taktyczną. Dłonie splecione na plecach, tkwiły nieruchomo. Twarz nie wyrażała żadnych emocji, choć wokół panował nieopisany harmider. Rozkazy i meldunki przeplatały się między sobą, wykrzykiwane przez napięte głosy obsady oficerskiej.

- Panowie - zebrani w przedziale taktycznym, pomni poprzedniej lekcji, jaką zafundował im głównodowodzący, umilkli. Oczy obecnych skupiły się na szczupłej sylwetce Harrivana. Ten podniósł głowę. Obejrzał się dookoła, taksując wzrokiem. Przeszywającym, oceniającym, władczym. Zespół ignorował natarczywe sygnały, wzywające do odebrania połączeń, dobiegające zarówno z przestrzeni, jak i z powierzchni Rigil Prime.

- Posłuchajcie teraz uważnie - Admirał zaczął przechadzać się wzdłuż mapy, całkowicie ignorując błagalne spojrzenia operatorów.

- Nie ma czasu na zebranie kapitanów floty. W związku z tym, musimy podjąć decyzję tutaj, natychmiast - patrzył na odwzorowanie przestrzeni otaczającej Rigil Prime. Niemal na samej krawędzi mapy widniały dwie ikony, oznaczające ciężkie okręty chińskie. Zmrużył oczy, powodowany złością, ale zaraz przywrócił twarzy beznamiętny wygląd.

- Przeciwnik wysadził silny desant na powierzchni Rigil Prime. Zajął zabudowania Price Town. Rozstawił kilkanaście wyrzutni klasy ziemia - orbita Chon-Ho - admirał pokiwał powoli głową. Dla wszystkich w tym pokoju dane techniczne chińskiego pocisku nie były tajemnicą. Klasyczna technologia MIRV, każda głowica o mocy dziesięciu megaton. Broń pozbawiona finezji, za to skuteczna jak dwudziestokilogramowy młot miażdżący arbuza.

- Dodatkowo, oba ciężkie liniowce ominęły naszą zasadzkę i weszły na wydłużoną orbitę wokół Rigil Prime - Harrivan pokiwał głową potakująco, jak gdyby mówił sam do siebie. Podniósł głowę.- Takie są fakty. Na dole mamy niezłą jatkę, za plecami dwa ciężkie okręty przeciwnika. Na obrzeżach systemu technologii, która umożliwia Chińczykom ściąganie posiłków wprost z Układu Słonecznego. Sił mamy tylko na jedną poważną operację. Czas na reakcję! - Podniesiony głos admirała świadczył wyraźnie o powadze sytuacji. Lodowate oczy głównodowodzącego prześlizgiwały się z twarzy na twarz, jak gdyby szukał w nich odpowiedzi.

- Oto panowie, jest prawdziwy dylemat...

### Rozdział 4

## WYPRAWA W NIEZNANE

- Stary zwariował - pociągła twarz komandor Sereidy, wydłużyła się jeszcze bardziej. Kobieta spojrzała uważnie na swojego pierwszego oficera, który był jej całkowitym przeciwieństwem. To był niski, okrągły jak beczka, łysiejący brunet, ale o bystrym umyśle.

- Pyszny żart, pani komandor - odpowiedział mężczyzna. W jego tonie nie było cienia wesołości, pojawił się za to niepokój - chociaż nie spodziewałem się takiego od pani...

- Mamy z „Deversem” wejść na odległą orbitę wokół Alfa Centauri A... - Wyjaśniła, wskazując mężczyźnie rozkaz, sygnowany podpisem admirała, wyświetlany na konsoli. Brunet zmarszczył brwi, przebiegając oczyma kilka linijek rozkazu.

- Aż zbyt konkretnie, nawet jak na Harrivana - zauważył spokojnie. Wydawało się, że nie przejął się informacją. Przymknął oczy, zastanawiając się nad realizacją rozkazu.

**"Operacja Nowhere"**

Jednostki USSS Westmoreland oraz USSS Devers wejdą na orbitę kołową 80-85 A.U wokół gwiazdy Alfa Centauri A. W okolicach zewnętrznego pasa lodowych asteroid ukryto planetoide, na której zamontowano urządzenia służące do łączności z Układem Słonecznym. Zadanie - przechwycić urządzenia w stanie nienaruszonym, nawiązać łączność z kwaterą główną, przekazać informację o wydarzeniach w Układzie Alfa Centauri. Jeśli będzie to możliwe, wykorzystać system do transportu powrotnego na Ziemię.

Dowodzenie nad operacją obejmie komandor Eve Sereda.

**Wykonać natychmiast.**

**Głównodowodzący Drugiej floty FNA**

**Admirał Jacob Harrivan, USSS Eisenhower**

**14.07.2118r**

Gdy otworzył oczy, Sereda wpatrywała się w przestrzeń, widoczną za grubymi oknami mostka kapitańskiego, tuż ponad łukiem powierzchni Rigil Prime. Najstarsza po Harrivanie, doskonale wiedziała, czym może

się skończyć taka misja. Szukanie igły w stogu siana, daleko od reszty floty, mogło się dla nich wszystkich zakończyć jednym wielkim epitafium.

- Potwierdzić odbiór rozkazu - mruknęła, bardziej sucho niż zwykle. Oficer łączności skinął głową i pochylił się nad konsolą.

- Stan maszyn pokładowych? - Spojrzała na "pierwszego" - tylko bez owijania w bawełnę, Freddie - uśmiechnęła się krzywo. Mężczyzna sapnął, jak gdyby przebiegł co najmniej dwa piętra po schodach.

- Szóstka, ósemka są na pokładzie. Dyspozycja w granicach osiemdziesięciu procent. Mieli startować za osiem minut... - Sereda machnęła dłonią, przerywając wypowiedź mężczyzny. Ten właściwie zinterpretował ten gest.

- Oczywiście to już nieaktualne. Dwójki możemy nie brać pod uwagę. Dostali porządny wycisk w maju. Mamy tam tylko trzech pilotów... .

- Co z czwórką? - Komandor spojrzała na swego rozmówcę. Ten machnął lekceważąco dłonią.

- Zgłosili się na Deversa. Mieli tam uzupełnić energię, amunicję i wrócić do boju... - Słyszając to, kobieta uśmiechnęła się pod nosem. Nie pierwszy raz Freddie "handlował" z innym okrętem zespołami myśliwskimi. "Pierwszy" był znany w całej flocie ze swego skapstwa. Jak tylko mógł, starał się, by podległy mu okręt dysponował maksymalną ilością zapasów. Toteż zdarzało się, że "pożyczał" to jeden, to drugi zespół myśliwski, oczywiście w zamian za tankowanie i amunicję. Zapytany kiedyś przez admirała, wyjaśnił, że to w trosce o "współdziałanie z innymi dywizjonami", chociaż wszyscy wiedzieli o co tak naprawdę chodzi.

- Nie ma czasu ich ściągać. Przekaż rozkaz do działu nawigacji. Niech natychmiast wyznaczą trajektorię po-

dróżną i przekażą ją na Deversa. Ruszamy natychmiast...!  
- Nie czekając na odpowiedź podwładnego, obróciła się przodem do okien. Wzrokiem odszukała, ledwie widoczny na tle nieba, lotniskowiec mający im towarzyszyć. Z niepokojem pomyślała o zdziesiątkowanej obsadzie pilotów tamtego okrętu. Bez zespołu Rozmowsky, "Devers" mógł wystawić zaledwie wzmocniony dywizjon... .

- Niewiele tego - mruknęła sama do siebie. Zaciśnęła zęby, aż jej usta utworzyły wąską linię. Nigdy w życiu nie odmówiła rozkazu. Teraz też nie zamierzała. Nacisnęła przycisk wewnętrznej komunikacji pokładowej.

- Nawigacyjny, pośpieszcie się!

\* \* \*

Lovat daremnie usiłował pozbyć się uczucia przeraźliwego mrozu, choć bezpiecznie siedział w kabinie ładunkowej wahadłowca transportowego. Seria zastrzyków, którymi potraktował go sanitariusz, dopiero zaczynała działać. Twarz paliła go żywym ogniem. Czuł każdy odłamek, jakim wybuch chińskiego pocisku naszpikował górną część ciała. Oczy ocalały tylko dzięki przyłbicy hełmu pilota.

Żołądek podjechał mu do gardła, gdy silniki zmieniły tryb pracy, osiągając pełną moc. Wstrząsy powoli zanikały. Za wąskim oknem obserwacyjnym pojawiła się cienka linia atmosfery otaczającej planetę i odległa gwiazda - Alfa Centauri B. Weszli na orbitę. Dopiero wtedy porucznik poczuł ciepło rozchodzące się wewnątrz organizmu. Ból powoli odchodził. Nagle poczuł się zadowolony. Troski i problemy gdzieś znikły. Jakaś część umysłu weterana tłumaczyła oszołomionej reszcie, że to efekt narkotyków medycznych. Zawsze był temu przeciwny, ale tym razem mało go to obchodziło.

Nawet szcęk wjazdu do kabiny pilotów nie zwrócił jego uwagi. Udało się to dopiero miękkiemu, dziewczęcemu altowi dziewczyny prowadzącej kanciasty pojazd.

- Przepraszam... - Mówiła szczerze, z troską spoglądając na nosze. Lovat ociężale uniósł powieki. Krótko ścięte włosy ujmowały dużo z urody okrągłej, niemal dziecięcej twarzy.

- ...Zazwyczaj wożę tych zboczeńców z oddziałów zmechanizowanych. Siedząc w pasach, nie zwracają uwagi na niewygodę - zerknęła przez okno. Dostrzegłszy powiększający się z każdą chwilą odległy obiekt, obdarzyła Lovata promiennym uśmiechem. Odwróciła się w stronę sterowni.

- za piętnaście minut lądujemy na "Westmorelandzie". Zanim wróci pan na macierzysty okręt, czeka pana trochę urlopu...

- Eina, czy mogłabyś łaskawie posadzić tu swoje cztery litery? Wywołuje nas kontrola lotu. Coś im się strasznie śpieszy! - Gdzieś zza okrągłego wejścia dobiegł nieprzyjemny, chropowaty, męski głos. Dziewczyna zwinnie wsunęła się w otwór wejściowy. Trzasnęła kłapa i Lovat znów pozostał sam...

\* \* \*

Na mostku "Westmorelanda" panowała napięta atmosfera. Zgodnie ze wskazaniem sensorów, drugi okręt zespołu zaczął już nabierać prędkości, by wejść na orbitę przejściową, pieczołowicie zaplanowaną w sekcji nawigacyjnej. A "Westmoreland" wciąż dryfował... .

- Na co jeszcze czekamy...? - Spokojny, podejrzenie przyjemny ton komandor Serey zwiastował burzę. Z odpowiedzią pośpieszył pierwszy oficer, starając się nadać swemu głosowi beztróską barwę.



- Zgłosił się jeszcze jeden wahadłowiec desantowy z rannym na pokładzie. Dokowanie w ciągu ośmiu minut – łamiąc wszelkie zasady dobrej etykiety, wskazał na ledwie widoczny, ciemny punkt przesuwany się na tle szarej tarczy planety.

- Rozumiem – odpowiedziała jeszcze wolniej komandor – cała operacja czeka, na jednego, zagubionego marudera... – Jej głos zmienił się w skrzypiące, zionące gniewem warczenie.

- Nie przyszło ci do głowy, skierować go gdzie indziej... – Siedzący najbliżej operator odruchowo skulił się, jak gdyby oczekiwał ciosu. Pierwszy oficer uprzedził nadchodzący wybuch emocji u Seredy, odpowiadając poważnym tonem.

- Tam, gdzie lecimy, przyda się każdy pojazd i każdy człowiek. Osiem minut spóźnienia, to dodatkowe trzy, cztery sekundy pełnego ciągu. A jeden pilot może rozstrzygnąć losy misji... – Słuchając go, Sereďa rozpogodziła się nieco. Oczywiście, to był ten sam ton, w którą zawsze uderzał "pierwszy". Zasoby, zasoby i jeszcze raz zasoby. Kto wie, może tym razem Freddie rzeczywiście miał rację?

- Startujemy od razu po zadokowaniu – zadysponowała spokojniej, siadając na kapitańskim fotelu. Kościste dłonie oparła na szerokich oparciach, kryjących interfejsy komunikacyjne. Przed Seredą natychmiast pojawił się holograficzny, półprzezroczysty ekran interaktywny, wyświetlający najważniejsze wskazania dotyczące "Westmorelanda".

- Wahadłowiec na pokładzie... – Odezwał się jeden z operatorów. Niemal jednocześnie zebrani poczuli lekkie szarpnięcie, gdy dysze orbitalnego napędu otworzyły się całkowicie. Opustoszałe korytarze opanowała lekka wibracja. Lotniskowiec przestał dryfować. Silny ciąg ośmiu

potężnych silników wyprowadzał go poza cień planety, tak jednak, by tarcza Rigil Prime osłaniała go od walki toczącej się po drugiej stronie. Gonił "Deversa", widocznego jedynie jako niewielki punkt w głębokiej przestrzeni.

\* \* \*

Napięcie w przedziale taktycznym "Eisenhowera" znacznie opadło. Oficerowie skupili się wokół admirała. W milczeniu obserwowali ikonę oznaczającą "Westmorelanda", wychodzącą poza zasięg holograficznej mapy. Realizował plan, powstały w tym gronie, przed niespełna kilkoma godzinami. Niekonsultowany, bez głębokiej oceny ryzyka. Na to wszystko nie starczyło czasu. Coraz częściej to wróg zaskakiwał drugą flotę. Nagłym manewrem, niespodziewanym atakiem. Choć nikt nie powiedział tego głośno, każdy z oficerów obecnych na pokładzie doskonale zdawał sobie sprawę, jak to się skończy, jeśli nie odwróci biegu wydarzeń.

Stawiali wszystko na jedną kartę. Walka na powierzchni Rigil Prime dopiero się rozpaliała. Pierwsze sukcesy lepiej wyekwipowanych żołnierzy korpusu amerykańskiej federacji jeszcze o niczym nie przesądzały. Osłabienie floty o dwa lotniskowce, mogło zostać wykorzystane przez przeciwnika do unicestwienia pozostałych. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co kryje się w mrokach przestrzeni. Chociaż sekcje rozpoznawcze monitorowały teren wokół planety, nikt nie mógł zaręczyć, że w stronę "Eisenhowera" nie pędzi już śmiercionośny pocisk.

- Pułkownik Gawor melduje się z powierzchni Rigil Prime - meldunek operatora oderwał wreszcie uwagę obsady oficerskiej od niewesołych myśli. Na trójwymiarowym odwzorowaniu planety pojawiła się ikona kwatery głównej. Niespełna sto kilometrów od Price Town.

Harrivan zmarszczył krzaczaste brwi. Przez twarz admirała przebiegł cień niezadowolenia. Pułkownik niepotrzebnie ryzykował. Miał dowodzić bitwą, a nie bawić się w osobiste bohaterstwo... . Głównodowodzący przez dłuższy moment milczał, starając się z natłoku wskazań mapy, wyłowić te najważniejsze. Było ich coraz więcej, w miarę, jak napływały informacje od pojedynczych maszyn, łączących się za pośrednictwem qbitowego nadajnika zespołu Gawora.

- Jakie straty? Zabezpieczyli wyrzutnie? - Admirał nie odwracał głowy od hologramu.

- Kompanie ze „Spaatz” zredukowane do siły wzmocnionego plutonu, trzy drużyny piechoty egzoskieletowej nie odpowiadają. Nasza druga kompania zdobyła jedno z obozowisk i trzy Chon-ho... - Jednym tchem wyrzucił z siebie operator. Harrivan słysząc krótki meldunek, pokiwał potakująco głową.

- Dwójka? Havis? - Zapytał domyślnie, choć znał już odpowiedź. Gawor słusznie przedstawił go do awansu. Kapitan, jako jeden z nielicznych, osiągnął sukces, chociaż okupił go sporymi stratami...

- Zaryzykujemy - zdecydował admirał. Energicznie kiwnął dłonią na komandora Genthó. Ten natychmiast podszedł, stając na baczność.

- Proszę wybrać najbardziej doświadczone jednostki. Tylko ochotnicy. Nie możemy pozwolić przeciwnikowi na nabranie oddechu...

\* \* \*

Eileen Rozmowsky wysunęła się zwinnie z ciasnego przejścia, prowadzącego do toalet. Wzbudziła spore poruszenie wśród grupy załogantów "Deversa", idących w stronę dziobowych sekcji. Nie potrafiła rozgrzyźć, dlaczego

od chwili wylądowania traktowano ją niemalże jak gwiazdę filmową. Zła jak osa, przeszła w poprzek główną arterię komunikacyjną okrętu. Czując na sobie spojrzenia przechodzących wokół mężczyźni, weszła do niewielkiej kantyny oficerskiej. Jedynej na pokładzie. Tam, długi, wąski stół, okupowali jej piloci.

- Jak rozpoznanie kluczowych rejonów okrętu, pani kapitan? - Lekceważąco odezwał się niepoprawny Locknar, wykrzywiając usta w sardonicznym uśmiechu. Diabeł siedzący mu za uchem podsunął jeszcze jedno zdanie.

- Oczywiście, cały zespół docenia poświęcenie dowódcy... - Pozostali, spojrzeli najpierw na złośliwca, potem na nadchodzącą kapitan i burzę gradową w jej oczach. Dywizjonowy pechowiec tym razem przesadził. Rozmowsky nie omieszkała tego wykorzystać.

- Cieszę się poruczniku, że doceniasz moją ciężką pracę - zaczęła zjadliwie - zauważasz takie drobiazgi... - Lód w głosie pani kapitan zwiastował smutny koniec Locknara.

- W związku z tym, w trybie natychmiastowym, rozpoczniesz inspekcję maszyn dywizjonu. Słyszeliśmy przed chwilą, jaki z ciebie pies na szczegóły... - Porucznik natychmiast wstał od stołu, mając jeszcze nadzieję, że kobieta zmieni zdanie. Inspekcja oznaczała przynajmniej szesnaście godzin monotonnego nadzoru urządzeń kontrolnych, grzebania przy wylotach dysz i całe mnóstwo nieprzyjemnej roboty, zazwyczaj realizowanej przez techników pokładowych.

Stanął naprzeciwko Eileen, świadom oczu wlepionych w siebie. Zdawał sobie sprawę, że stał się ofiarą własnego, nie do końca przemyślanego żartu. Reszta zapewne robiła zakłady, na czym się skończy starcie z panią kapitan. Przez chwilę jeszcze miał nadzieję, gdy pochyliła się w jego kierunku, szepcząc mu do ucha.

## Rigil Prime...

---

- Jeszcze jeden taki wybryk Jimmy, a będziesz tak długo czyścić kibel, aż zatęsknisz za mrozem Rigil Prime...

Locknar poczerwieniał. Słyszał w jej głosie, że nie żartuje. Zasalutował i wybiegł z kantyny, odprowadzany surowym wzrokiem Rozmowsky. Dopiero gdy zniknął za drzwiami, pozwoliła sobie na lekki uśmiech. To rozładowało atmosferę. Przysadzista Anna Dervan siedząca w samym rogu, machnęła kanciastą dłonią do barmana.

- Trzy dla szefowej! - Rozmowsky słysząc to, usiadła z poważną miną, kiwając głową.

- Lizus - mruknęła, budząc ogólną wesołość. Siedzieli tu jako jedyni. "Devers" po stratach, jakie poniósł w trakcie ostatnich walk, niemal nie posiadał rezerw. Dowódca okrętu łątał dziury w grafiku służby jak tylko się dało, toteż kantyna była do dyspozycji ludzi Rozmowsky.

- Wiecie co... - Zaryzykowała Dervan, ukradkiem spoglądając na Eileen - zaczynam się tu czuć niemal jak na wakacjach... - Uśmiechnęła się, widząc aprobatę na twarzy dowódcy.

- Istotnie, zacny to urlop - westchnął grubas siedzący w rogu. W pulchnej dłoni trzymał nieodłączny, degradowalny kubek syntetycznego piwa. Koledzy nadali mu ksywkę "Smakosz", z której był dumny. Niemal wszystkie dodatkowe racje wymieniał z pozostałymi, za złocisty trunek. Na widok jego pełnej błogiego relaksu, okrągłej jak księżyc twarzy, Eileen parsknęła śmiechem.

- Oto czwarty dywizjon piwożłopów i obiboków - otarła łzy wesołości, sięgając po napój.

- Bez przesady - Dervan rozluźniła się. Spojrzała zadowolona na Rozmowsky i rzuciła.

- Mamy jednego pracusia. Przynajmniej przez najbliższe dwie wachty - zgodny śmiech zebranych pilotów zadudnił w niewielkiej kantynie...

\* \* \*

- Szefowo, mam komplet danych... - pierwszy oficer ściszył głos o oktawę, widząc przymknięte oczy komandor Seredy. Zawahał się na moment, stojąc w wąskim wejściu do kabiny dowódcy. Przemógł się jednak i przekroczył próg, starannie zamykając drzwi.

- Nie śpię, Freddie - usłyszał cichy szept kobiety. Zabłyły panele świetlne, powoli zwiększając jasność. Oparcie fotela, na którym drzemała Sereida, powoli ustawiło się w standardowej pozycji. Nie zadając więcej żadnego pytania, wyciągnęła dłoń po wyświetlacz holograficzny, przyniesiony przez „pierwszego”.

- Siadaj - mruknęła, zagłębiając się w lekturze. Jej zastępca obejrzał się i przycupnął na skraju idealnie zaaranżowanego łóżka. Zastanawiał się nad reakcją przełożonej, na treść swojego raportu.

- Nie bawisz się w eufemizmy Freddie - westchnęła komandor, rzucając podwładnemu badawcze spojrzenie. W jej oczach mężczyzna dostrzegł beznamiętny chłód. Patrząc na niego, ciągnęła dalej.

- Zgodnie z raportem, mamy osiemnaście maszyn przewagi przestrzennej, sześć szturmowych i osiem przełamania. Gdzie reszta?. Zdaje się, że to tylko dwie trzecie naszego stanu, czyż nie? - Zakończyła zjadliwie.

- To jest na następnej stronie - małe oczka Freddiego poruszyły się niespokojnie - zaraz za danymi o uzbrojeniu pokładowym...

- Chyba żartujesz - warknęła Sereida, szybko przebiegając oczyma po linijskim tekście wirtualnej strony.

- Dwanaście w naprawach? Sześć do kasacji, dziesięć w przeglądzie? Dział techniczny żarty sobie robi? Od podstaw składają te myśliwce? - Komandor była perfekcjonistką w każdym calu. Poświęciła całe życie, by wdrapać

się na stanowisko dowódcy okrętu międzygwiazdowego. Nienawidziła niechlujstwa, spóźnialskich i lenistwa. Wymagała wiele od siebie, ale była równie surowa dla innych.

- Mamy jeszcze dziewięć na Deversie... - zaczął „Pierwszy” ostrożnie, ale komandor przerwała mu natychmiast.

- Ludzie Rozmowsky będą wspierać tamten okręt i dobrze o tym wiesz. Równie dobrze mogliby być na Marsie... - odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Brak wyobraźni niektórych doprowadzał ją do pasji.

- Idź na dół, do tej bandy leserów i przekaz im. Za osiem godzin chcę mieć przynajmniej dwadzieścia myśliwców na chodzie. Wszystkie przeglądy mają zostać zakończone do północy. Uświadom im, że nie lecimy na wycieczkę krajoznawczą, do diabła... - Zastępca dowódcy cierpliwie czekał na zakończenie burzy. Wiedział, że Sereda szybko wybucha, głośno się sroży, ale gniew w niej wypalał się szybko. Teraz też nie trwał zbyt długo.

- Na całe szczęście mamy trochę tego - dodała na zakończenie optymistycznym tonem, wskazując na spis uzbrojenia pokładowego.

- Komplet pocisków manewrujących, daleki i średni zasięg. Pięknie - obdarzyła podwładnego zdawkowym uśmiechem, pozbawionym wesołości.

- Pędź Freddie, spiąć ich do galopu i wracaj szybko. Musimy ustalić parę rzeczy, nim dotrzemy do zewnętrznych rejonów układu...

\* \* \*

*14.10.2118 r*

*Sto dwadzieścia jednostek astronomicznych od Alfa Centauri A.*

Czarne, matowe kadłuby pojazdów rozpoznawczych dalekiego zasięgu były niedostrzegalne pośrodku pustki. Powoli dryfowały w przestrzeni. Wydawały się całkowicie wymarłe. Nawet bardzo czułe termometry nie wychwyciłyby minimalnych skoków temperatury. Ot, kilkadziesiąt atomów wodoru więcej... .

Wewnątrz pierwszego z nich, porucznik Jenna Watson cicho, monotonicznie przeklinała raz za razem. Najpierw skrzydłowego Lensa, milczącego od dwunastu godzin. Czasami zastanawiała się, czy ten facet jeszcze żyje. Przez przyciemnioną osłonę kabiny dostrzegała zaledwie zarys jego głowy. Siedział tak, nie zmieniając pozycji. Nienawidziła go za ten profesjonalizm, posunięty do granic absurdu.

Drugim na liście był admirał, delegujący ich na „Westmorelanda”. Nie dość, że traciła, ponoć tylko na jakiś czas, dowództwo nad swoją czternastą eskadrą, to jeszcze została wysłana na drugorzędny okręt, jak jakiś żółtodziób, tylko z jednym skrzydłowym... .

Cichy sygnał odwrócił jej uwagę od myśli o głównodowodzącym. Uruchomiła holografię pokładową. Z napięciem, malującym się na twarzy, czekała na odczyt. Jej oczy, błyszczące przez chwilę podnieceniem, zubożniały. Chwilę później ukazał się w nich gniew.

- Nie...nie...NIEEEEEEE! - wrzasnęła głośno. Krzyki płasko brzmiały w dobrze wygłuszonej kabinie. Wysunęła się z fotela, przechodząc do niewielkiego pomieszczenia, będącego jednocześnie sypialnią, kuchnią i toaletą. Ukryła twarz w dłoniach. Trójwymiarowy obraz pozostał przed fotelem pilota, ukazując trzecią asteroidę, sądząc po jasnej barwie, złożonej głównie z lodu wodnego. Żadnej emisji elektromagnetycznej, temperatura w okolicach zera stopni Kelwina. To ją denerwowało najbardziej. Za-



danie zlecone przez admirała Harrivana wydawało się nie do zrealizowania. Mogli tak latać następne dziesięć lat, nie odnajdując nic poza niedoszłymi kometami, niewielkimi planetoidami i chmurami pyłu. Doskonały, w teorii, plan admirała, wyglądał na szukanie igły w stogu siana, mającego kilkaset jednostek astronomicznych średnicy. Kto mógł zaręczyć, że Chińczycy nie ukryli swojego przejścia gdzieś powyżej płaszczyzny ekliptyki?. Cały plan głównodowodzącego wyglądał, jakby przygotował go na kolanie szeregowiec. Na każdym kroku pachniało amatorką. Potrząsnęła głową i ociężale wsunęła się z powrotem na fotel. Gniewnym gestem wyłączyła holograficzny wyświetlacz. Kokpit pograżył się w mroku. Z tej odległości gwiazda macierzystego układu dawała niewiele światła. Patrzyła przez chwilę w odległą kulę gorejącego, pomarańczowego światła.

- Zgłasza się Lens - ledwie dosłyszała szept skrzydłowego. Drgnęła gwałtownie, nie spodziewając się czyjegokolwiek głosu. Chwyciła się oparcia, by w pozbawionym ciężenia kokpicie nie wypłynąć pod sufit. Przeklinając pod nosem, przypięła się pasami, z rozmysłem nie odpowiadając na wezwanie. „Niech skurkowaniec też trochę poczeka” - pomyślała złośliwie. Włączyła nadajnik łączności bezpośredniej, odpowiadając zgodnie z wszelkimi wymogami regulaminu.

- Czternaście Alfa, nasłuch - bez specjalnego zainteresowania czekała na raport podwładnego. Zakładała, że wreszcie i „żelazny”, beznamiętny Lens złamał się i zechciał usłyszeć czyjś głos.

- Detektory dalekiego zasięgu wykryły zagęszczenie atomów wodoru - wydawało się, że mężczyzna nie zwrócił uwagi na subtelną zemstę Watson. To dodatkowo zirytowało kobietę. Już otwierała usta, by rzucić jakąś kąśliwą uwagę. Ku jej zdziwieniu, skrzydłowy mówił dalej.

- Rekomenduję wysłanie sondy w tamten rejon. To dwa sektory w kierunku BDE cztery - słysząc to, uruchomiła trójwymiarowy ekran taktyczny. Czekwała chwilę, aż komputer pracowicie przetworzy dane przesłane przez Lensa. Obserwując pojawiającą się wizualizację, zmrużyła oczy. Mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem. Jak zwykle, jej podwładny miał przeczucie. Z kilku zagubionych atomów wodoru „wyczarował” całą wstęgę, pozostawioną przez jakiś pojazd. Była zbyt uporządkowana jak na naturalne skupienie, chociaż mocno rozproszona. Bez wątpienia została stworzona sztucznie.

- Wypuszczać natychmiast! - mruknęła pod nosem, zastanawiając się złośliwie, czy Lens to usłyszy. Zapadła cisza. W nieruchomym obrazie za osłoną kokpitu, pojawił się nagle ruch. Podłużny, kanciasty kadłub robota, o ośmiokątnym przekroju, przemknął tuż przed dziobem maszyny Jenny, rozpędzony przez elektromagnetyczną wyrzutnię. Niemal natychmiast zniknęła z pola widzenia. Podobnie jak jednostka macierzysta, sonda została pokryta została ciemną, matową farbą. Porowate pokrycie zapewniało brak jakichkolwiek refleksów świetlnych.

- Czas przeprowadzenia rozpoznania, ETA sto osiemdziesiąt sześć minut - cichy głos Lensa, pozbawiony emocji, brzmiał dla dziewczyny niczym zaproszenie do największej imprezy. Lubiła dryfowanie w przestrzeni, wylatała dziesiątki samotnych godzin. Podczas tej misji, coś się w niej zmieniło. Ukochana przez nią cisza, rozdrażniała ją.

Z napięciem odliczała minuty do rozpoczęcia skanowania przez sondę. Aktywniejszego, niosącego ryzyko wykrycia, ale mogącego powiedzieć o wiele więcej od pasywnej obserwacji.

Wydawało się, że czas się zatrzymał. W pewnym momencie złapała samą siebie na obserwacji pojedynczej

kropli wody na szybie, której nie zdążył wchłonąć system klimatyzacji.

Cichy sygnał, oznajmiający pakietowy przesył danych, zwrócił jej uwagę na ekran. Aż cmoknęła z wrażenia, od ilości informacji przekazywanych przez sondę. Wyglądało na to, że skrzydłowy podziela jej obawy co do poszukiwania igły w stogu siana. Postawił wszystko na jedną kartę, uruchamiając pełny pakiet rozpoznawczych czujników. Przeszukiwały otoczenie w szerokim paśmie, w promieniu dwóch sektorów, przesyłając dane w piętnastominutowych przedziałach czasowych.

- Lens, to prawdziwa autostrada! - zakrzyknęła radośnie, nie troszcząc się o regulację siły głosu w mikrofonie.

- Owszem - odpowiedział, jak zwykle, cichym szeptem. Zamrugła oczami. Czy jej się wydawało, czy rzeczywiście usłyszała w głosie mężczyzny odrobinę satysfakcji. Jeszcze raz spojrzała na hologram. Rozproszony szlak gęstniał w miarę przesuwania się w głąb sektora. Teraz dopiero przyszło Watson do głowy, że schwytany chiński oficer mógł zdradzić coś więcej niż sam fakt istnienia urządzenia. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, po co sięgnęli przesłuchujący... .

Systemy rozpoznania kolejno oznaczały gęste pasma wodoru. Znacznie bliżej, skan ujawnił kilkaset atomów ksenonu, pozostawionego przez napęd jonowy pojazdu przeciwnika. To ją nieco zaniepokoiło. Chińczycy używali tej starej technologii w pojazdach rozpoznawczych. Chłodny, niemal nie do wykrycia. Szybko przywołała z pamięci dane taktyczne znanych jej maszyn rozpoznawczych wroga.

- Możliwy kontakt z przeciwnikiem - Lens wydawał się czytać w jej myślach - prawdopodobnie Komori - wypowiedział oryginalną, chińską nazwę. Przymknęła oczy,

usiłując przypomnieć sobie informacje. „Bat” w kodzie federacji, sześć silników jonowych i jeden marszowy. Ogromna autonomiczność sięgająca ponad ośmiuset dni. Nawet nie chciała sobie wyobrażać, w jakim stanie psychicznym można być po takim czasie w niewielkiej przestrzeni kokpitu.

- Uzbrojenie tylko zewnętrzne - skrzydłowy potwierdził jej domysły, budząc w niej złość. Otóż to!. Nie wiadomo, czy przeciwnik ma zęby, czy będzie potrafił się odgryźć... .Zaczęła rozważać kilka wariantów sytuacyjnych, gdy usłyszała w głośniku ledwie słyszalny szept Lensa. Jak gdyby bał się spłoszyć wrogię pilota.

- Mam skubańca... - podwładny zadziwiał ją z każdą chwilą coraz bardziej. Długi patrol musiał mu się dać mocno we znaki... .

Na holograficznym ekranie pojawił się czerwony, pulsujący punkt oznaczony przez Lensa. Pokiwała głową. Istotnie, znajdowało się tam największe skupisko atomów ksenonu. Brak skoków temperatury o niczym jeszcze nie świadczył, chociaż mogło to być jedynie dawne miejsce postoju wrogię maszyny.

Zagrał w niej bojowy duch. Sprawdziła odczyt zasobników amunicyjnych. Każde z nich miało do dyspozycji sześć rakiet średniego zasięgu, osadzonych w rewolwerowej wyrzutni. Dotąd, strzelała z niej tylko w symulatorze. Uruchomiła test sprawności systemu, gdy na ekranie dostrzegła drugą kropkę, znacznie bliżej. Poruszała się pod kątem czterdziestu stopni do kierunku dryfowania obu pojazdów rozpoznawczych.

- Wykrywam emisje elektromagnetyczne - jak echo, odezwał się spokojnie Lens - przeciwnik wystrzelił sondę rozpoznawczą.

Potwierdziła odebranie raportu. Twarz Jenny stężała. Nie było miejsca na błąd. Ukryty w mroku wiecznej,

kosmicznej nocy wróg szukał ich. Czy chińskie detektory były wystarczająco sprawne, by wykryć ich pojazdy?. Wiedziała, że zaraz za pozytywną odpowiedzią, posypią się pociski, mikrorakiety i zabójcze promieniowanie lasera. A ich maszyny, w bezpośredniej walce były równie przydatne, jak bezzałogowe kontenery transportowe. Ociężałe, bez wsparcia komputerowych systemów bojowych i ciężkiej broni...

Sonda przecięła ich kurs i zaczęła się oddalać, zamieniając ruch prostoliniowy w rozszerzającą się spiralę. Wiedziała, że w pewnym momencie robot zawróci, a wtedy na pewno zostaną wykryci...

Podjęła decyzję. Jednym ruchem ręki uruchomiła podsystem bojowy. Oznaczyła wrogiego robota jako cel dla skrzydłowego, sobie pozostawiając pojazd przeciwnika. Lens potwierdził rozkaz poprzez łączność qbit.

- Po ataku przechodzimy do sąsiedniego sektora, na minimalnej mocy - rzuciła przed siebie, ustawiając ręcznie namiar celu. Miała cichą nadzieję, że to wystarczy by trafić.

- Ogień wolny - syknęła cicho. W tym samym momencie, odpłynęły z niej wszystkie emocje. Z kamienną miną odpaliła pocisk. Niemal jednocześnie uczynił to jej podwładny. Oba pojazdy rozpoznawcze ruszyły z miejsca, popychane minimalnym ciągiem termojądrowych silników.

Watson przez chwilę dostrzegła wydłużony, cylindryczny kształt pocisku wystrzelonego przez jej skrzydłowego. Przemknął w poprzek kursu, schodząc w dół. Dopiero kilka kilometrów niżej odpalił silnik główny napędzany borowodoraami. Zielony płomień z dyszy oświetlił smukły, matowy kadłub pocisku. Teraz widoczny był przez każdy detektor. Mknął coraz szybciej, ścigając chiń-

ski aparat. Dla sondy było za późno na jakikolwiek unik. Znikła w bezgłośnym rozbłysku wybuchu.

Porucznik Watson nie zwracała na te wydarzenia najmniejszej uwagi. Obserwowała swój cel, próbując dostrzec jakikolwiek ruch w obrębie przypuszczalnego rejonu trafienia. Pocisk szedł coraz szybciej, uruchamiając drugi, plazmowy stopień marszowy.

- Drugie źródło ksenonu - Lens był szybszy od niej. Zdążył oznaczyć na ekranie taktycznym znacznie bliższe miejsce, gdzie niespodziewanie pojawił się wykwit atomów szlachetnego gazu. Pocisk Jenny automatycznie skreślił, zgłaszając uzyskanie namiaru.

- Twardy gnojek - mruknęła z uznaniem.

- Fakt - podchwycił Lens. To, że odpowiedział, było wystarczającym dowodem, że i jemu udzieliło się bitewne podniecenie, które okazywał na swój sposób.

- Wytrzymał niemal do ostatniej chwili... - jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa, na ekranie ukazał się odczyt działającego silnika atomowego. Detektory promienionowania skoczyły w górę. System bojowy natychmiast rozpoznał charakterystykę pracy reaktora wrogiego pojazdu. „H-44 BAT” głosił trójwymiarowy napis tuż nad odwzorowaniem sylwetki, przywodzącej na myśl kołującego albatrosa. Chińczyk usiłował zejść z linii lotu pocisku, ale jego napęd posiadał zbyt dużą bezwładność. Główna dysza nie zdołała osiągnąć nominalnej temperatury, gdy amerykański pocisk eksplodował niespełna trzy metry od rufy pojazdu. Kilkaset ostrych, wolframowych drzazg przeszło cienki, lekki kadłub Komori, demolując system napędowy. Ciecz z przewodów paliwowych pod wysokim ciśnieniem, rzygnęła w próżnię, obracając bezwładny pojazd wokół trzech osi. Pilot odruchowo katapultował się, ale kokpit nie zdołał opuścić strefy wybuchu. Kilka odłamków roztrzaskało osłonę lekkiego reaktora impuls-

sowego, powodując jego przeładowanie. Odległy wybuch atomowy oświetlił przez chwilę obie amerykańskie maszyny, odchodzące w głęboką przestrzeń.

Watson z biciem serca obserwowała ekran taktyczny, w każdej chwili spodziewając się kontry przeciwnika. Nic się nie działo. Nawet wystrzelona przez Lensa sonda wciąż podawała nowe dane, skanując przestrzeń dookoła. Nie miała już możliwości ruchu, bowiem zużyła całe paliwo silnika głównego. Jej właściciel chciał wykorzystać jej urządzenia do cna, zanim zostanie namierzona i zniszczona. Szeroki, aktywny skan przestrzeni wyłuskiwał kolejne, niewielkie złomy skalne, rozrzucone na ogromnej przestrzeni.

Intensywne wykorzystanie urządzeń robota szybko wyczerpało źródło zasilania. Sonda przesłała pożegnalną informację o przejściu w stan uśpienia i rozwinięciu fotoogniw, po czym umilkła.

Jenna w myślach spisała ją na straty. Ogromne wstęgi giętkich fotoogniw, długości dwudziestu metrów każda, były niczym drogowskaz dla potencjalnego obserwatora wysłanej sondy. Z uwagą przeglądała wykryte obiekty, starając się dociec, czy przy którymś z nich nie czeka kolejny ukryty przeciwnik. Na samej granicy zasięgu dostrzegła większą planetoidę. Zgodnie z odczytem liczyła dobrze ponad sto kilometrów. Idealna, by ukryć zespół lotniskowców przed ciekawskimi. Włączyła bezpośrednią łączność głosową. Oznaczywszy planetoidę na ekranie taktycznym rzuciła podchwytliwie.

- Co sądzisz o tym kawałku skały? Nazbyt rzucająca się w oczy? - dłuższą chwilę na kanale panowała cisza. Upewniła się, że komunikat poszedł w eter, gdy usłyszała cichy głos skrzydłowego.

- Nazbyt? - przedrzeźniając ją, powtórzył ironicznie. Zdecydowanie, to był dzień Lensa. Dwadzieścia cztery go-

dziny, kiedy udowadniał, że jednak jest człowiekiem, a nie wbudowanym mózgiem elektronowym, obsługującym pojazd rozpoznawczy.

- Skąd te staromodne słowa pani porucznik? - w jego słowach dało się wyczuć ukryte nuty wesołości.

- Istotnie, znakomity punkt, by się ukryć - profesjonalista Lens brał jednak górę nad wesołkiem, którego usiłował w sobie obudzić.

- Dla pewności, rekomenduję nasłuch na wszystkich pasmach i sprawdzenie widma ciepłego... - zapadła cisza, przerwana domyślnym pytaniem Watson.

- A co z analizą cząsteczkową? Tym sposobem wykryliśmy dziś jednego Chińczyka - zmrużyła oczy, wyobrażając sobie minę Lensa, zapewne zaskoczonego, że coś przeoczył. Odpowiedź skrzydłowego zgasła jej pewność siebie.

- Jeśli ma pani nadmiar czasu i chce pani poćwiczyć - dosłyszała w tej odpowiedzi szyderczą nutę. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Lens nie pozwala sobie na zbyt wiele.

- Glob w większości złożony z lodu wodnego, meta-nowego i być może suchego. Nawet jeśli czaiłby się tam kolejny Komori, to w tych warunkach ksenon po prostu umknie obserwacji. Jesteśmy na tyle blisko gwiazdy centralnej, by te kilkaset tysięcy atomów krążyło wokół planetoidy... - początek jego wypowiedzi wystarczył. Wiedziała, że ma rację. Nim skończył, włączyła systemy pasywnego rozpoznania. Z płaskiego kadłuba jej pojazdu poczęły wysuwać się anteny nasłuchowe.

- Pan profesor obejmie sektory z lewej strony osi zerowej - rzuciła zgryźliwie, kapitulując któryś raz przed wiedzą suchotnika. Zawsze zastanawiała się, czy w samotności kokpitu uśmiecha się do siebie, ilekroć udo-



wadniał jej, że ma rację... . Upewniła się, że panel łączności został wyłączony, po czym mruknęła sama do siebie.

- Niemożliwe, żeby się zorientował. Faceci są ślepi...

### Rozdział 5

## PRZETRWANIE

Mina kapitana „Deversa” mówiła sama za siebie. Otyły, pewny siebie kapitan, nigdy nie zaakceptował wyboru Harrivana, by zespołem dowodziła Sereda. I dawał pani komandor to odczuć. Na każdym kroku. Stał pewny siebie, na szeroko rozstawionych, klockowatych nogach, spoglądając przez grube okna mostka w przestrzeń, świadomie ignorując sylwetkę przełożonej.

- Mówi zatem pani, że powinniśmy tam, jak to się pani wyraziła ”przycupnąć” - powiedział z przekąsem. Włochatą dłonią wskazał na ciemność, upstrzoną odległymi punktami gwiazd.

- A co, jeśli nasi żółci bracia wpadli na podobny pomysł?... - Sereda niewzruszenie wysłuchiwała pewnego siebie, aroganckiego grubasa do końca. Gdy nabrał oddechu, pokiwała głową, niczym nauczycielka, pochylająca się nad najgorszym uczniem w szkole.

- Wciąż się nie rozumiemy - skrzypiący, wysuszony głos kobiety wwiercał się w uszy kapitana. Dobitne słowa, cedzone jedno po drugim, sprawiały, że budził się w nim niepokój.

- Nie wezwałam pana na pokład swojego okrętu, byśmy debatowali nad planem. Zgodnie z poleceniem głów-

nodowodzącego, ja prowadzę zespół. JA – zaakcentowała głośniej nawet, niż zamierzała – decyduję o strategii... – zapadła cisza. Chcąc nie chcąc, kapitan odwrócił wzrok od przestrzeni kosmicznej i spojrzał na Seredę. Przez chwilę, w milczeniu, patrzyli sobie prosto w oczy. Kapitan w pewnym momencie nie wytrzymał. I przegrał ten swoisty pojedynek.

– Zadanie dla „Deversa”. Rozpoznać rejon planetoidy AL-45-3. Zabezpieczyć obszar cumowania. Jeśli operacja przebiegnie bez przeszkód, wysłać dwa zespoły dalekiego rozpoznania. Ten, na który natknęła się Watson, może być ogniwem całej siatki wczesnego ostrzegania... – widziała, jak nabiera powietrza, by zaprotestować. Podniosła wąską, pomarszczoną dłoń, ale to nie powstrzymało kapitana od ironicznego pytania.

– Jednym słowem, boi się pani narazić swój okręt, więc wysyłamy „Deversa”. Jeśli ktoś ma oberwać, to na pewno nie „Westmoreland”, co...? – przerwał, widząc burzę w oczach komandor Seredy. Nagle zabrakło mu słów. Kobieta obejrzała się za siebie. Operatorzy przy konsolach niewzruszenie patrzyli w holograficzne ekrany. Zdawało się, że żaden z nich nic nie usłyszał, choć wiedziała, że to nieprawda... . Stała tuż przed kapitanem i patrząc mu w oczy syknęła.

– Jeszcze raz spróbujesz poderwać mój autorytet... – zawiesiła groźbę w powietrzu. Odetchnęła głęboko i powiedziała głośno, oficjalnym tonem.

– Kapitanie Poulson. Wydaję panu oficjalny rozkaz przeprowadzenia operacji rozpoznania planetoidy, zgodnie z planem zatwierdzonym przez mój zespół taktyczny. Wykonać natychmiast! – dowódca „Deversa” dostrzegł za plecami komandor pierwszego oficera

„Westmorelanda”, wchodzącego na mostek. Zrozumiał wszystko. Sereda nie zamierzała negocjować. Wie-

dział, że jeśli się sprzeciwi raz jeszcze, jego miejsce natychmiast zajmie „Freddie”, a on sam wyląduje w karcerze, zapewne do końca misji. Do tego nie zamierzał dopuścić. Na okrągłej, pulchnej twarzy widać było wyraźnie, jak toczy ze sobą walkę. Nim komandor zdążyła zareagować, zasalutował zamaszycie.

- Rozkaz! - krótko, oficjalnie stuknął obcasami, stając na baczność.

- Tu ma pan szczegółowe wytyczne - „pierwszy” podał kapitanowi niewielką kość pamięci. Ten obrócił ją w palcach, po czym spojrzał na Seredę i zapytał spokojnie.

- Czy to wszystko? - skinęła głową. Poulson przepiśsowo zasalutował, odwrócił się na pięcie i opuścił mostek, odprowadzany bladym, chłodnym wzrokiem kobiety. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, odezwała się gniewnie.

- To dopiero kawał drania. Dysponuje naszymi myśliwcami i jeszcze ma czelność oskarżać mnie, że oszczędzam swoich ludzi jego kosztem! - słuchając jej wypowiedzi, „Freddie” potakująco kiwał głową.

- Pani komandor, po prostu sęć, wredna menda żywiąca się innymi. Niestety, jeszcze nam potrzebna - ostatnie kilka słów „pierwszy” wypowiedział tonem mafijnego ojca chrzestnego, jak gdyby planował zabójstwo Poulsona zaraz po zakończeniu operacji.

Nikły uśmiejch rozjaśnił zimną twarz Seredy. Z udawanym strapieniem pokiwała głową.

- Następnym razem wyślę ciebie do łamania oporu podległych mi oficerów - pogroziła palcem uśmiejchniętemu oficerowi. Następne słowa wypowiedziała jednak poważnie.

- My również będziemy uczestniczyć w tym tańcu, weź z łaski swojej do galopu zespoły myśliwskie. Mają być

gotowe do ewentualnego wsparcia „Deversa”, gdy będzie podchodził do planetoidy...

\* \* \*

*25.12.2118 r*

*Siódma eskadra myśliwska, klucz C.*

*Rejon planetoidy AL-45-3.*

*04:50 czasu pokładowego USSS "Devers".*

Odległa powierzchnia planetoidy błyszczała w mroku, niczym drogocenny klejnot. Wąskie, fioletowe nacieki, biegły wzdłuż dłuższej osi. Układały się w finezyjne wzory, kreślone ręką natury. Żaden z trójki pilotów, idących w ciasnym szyku myśliwców nie miał czasu, by podziwiać widoki, skupiając się na odczytach przyrządów. Dryfowali w stronę niewielkiego globu bez napędu. Wykonywali precyzyjny rozkaz Poulsona. Ego kapitana mocno ucierpiało po starciu z komandor Seredą. Postanowił zatem pokazać jej, jak się prowadzi operacje w kosmosie, nawet gdyby oznaczało to jedynie podejście do pustego kawałka lodu.

Zespół otoczyła mgiełka gazu, gdy dysze silników korekcyjnych precyzyjnie zmieniły tor lotu, tak by myśliwce przeszły nad odwrotną stroną planetoidy. Zgodnie z raportem sekcji obserwacyjnej, obrót planetoidy wokół własnej osi trwał ponad osiemdziesiąt dni. Kapitan w pierwszym rzędzie chciał się upewnić, że nic się nie czai po drugiej stronie. Nie wierzył ani Seredzie, ani jej zwiadowcom. Wiedział, że pani komandor obserwuje przebieg akcji. Decyzja o wysłaniu rozpoznania była prztyczkiem w jej garbaty nos. Poulson nie mógł się odgryźć przełożonej – pozostało mu dokuczliwe kąsanie, niczym pchle.

Klucz przemknął kilka kilometrów ponad granią, wyznaczając południowy biegun planetoidy. Za wąskim, czarnym od związków organicznych grzbietem, rozciągało się niewielkie pole metanowego lodu. Maszyny zeszły poniżej radiowego horyzontu. Piloci natychmiast otrzymali informację o utracie kontaktu z macierzystym okrętem. Główne dysze napędowe myśliwców zmieniły kolor, rozgrzane strugami gorącego wodoru. Nabierali prędkości. Dowódca klucza nie zamierzał ryzykować bardziej, niż to było konieczne. Chciał jak najkrócej pozostać bez wsparcia „Deversa”. Przeskoczyli nad niskim łańcuchem łagodnych pagórków, rozbijając rzadki obłok metanu. Wyglądało na to, że wpadli wprost w wyrzut z gejzeru. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, kokpity całej trójki rozjarzyły się alarmami.

- O Boże! - jedyne słowo, jakie przeszło dowódcy przez ściśnięte gardło...

\* \* \*

*USSS „Devers”.*

*05.20 czasu pokładowego*

Kapitan Poulson przesłonił swoją szeroką sylwetą jedno z okien mostka. W zamyśleniu spoglądał w przestrzeń. Gdzieś tam krył się „Westmoreland” i zniecierpliwiona przezeń komandor Sereda. Spocone dłonie trzymał splecione na plecach, bezwiednie pukając kciukami w okolice kręgosłupa.

- Panie kapitanie? - fantazjujący o zniszczeniu kariery swojej przełożonej, Poulson nie odpowiedział. Dopiero na powtórne wezwanie zareagował, rzucając mściwie, przez zęby, wprost w otchłań kosmosu za oknem.

- Jeszcze cię dopadnę!

- Kapitanie Poulson... - młodszy oficer stanął przed dowódcą okrętu na baczność, przerywając w pół zdania.

- No co jest... - wzrok kapitana świadczył wyraźnie o jego złym nastroju, ale przestraszony posłaniec nie zamierzał odejść. Przeciwnie. Zasalutował i zameldował słuźbiście.

- Pierwszy oficer prosi o łączność z sekcją taktyczną. Nie odzyskaliśmy kontaktu z rozpoznaniem... - Poulson podniósł dłoń do góry, przerywając swemu rozmówcy. Zmarszczył brwi. „Czyżby Sereda wydała im jakieś dodatkowe rozkazy? Mające mnie pograżyć? Udowodnić, że nie radzę sobie z dowodzeniem?”. Szpony zwątpienia zakradły się do jego serca. Specjalnie wybrał niedobitków własnego dywizjonu myśliwskiego, żeby uniknąć takiej sytuacji. Westchnął ociężale i podszedł do konsoli łączności. Nienawidził siedzieć w przedziale operacji taktycznych. Dusił się w wąskiej kiszce, otoczonej dziesiątkami trójwymiarowych ekranów, map. Wolał dowodzić stąd, gdzie widać było cały okręt - jego okręt. Konsola wyświetliła hologram „pierwszego”. Wysoki, szczupły brunet miał zaniepokojony wyraz twarzy.

- Czego chcecie kolego? - nieprzyjemny ton Poulsona dawał do zrozumienia wszystkim dookoła, że dziś nie ma najlepszego humoru.

- Nie zgłosiła się klucz z siódmej eskadry. Ich czas orbitowania wynosił niecałe piętnaście minut... - zaczął ostrożnie zastępca dowódcy, ale kapitan przerwał mu brutalnie.

- Piętnaście minut... - powtórzył z ironią dowódca okrętu, przedrzeźniając podwładnego - ... piętnaście minut. Nie przyszło ci do głowy Jerry, że mogli zwolnić, żeby przyjrzeć się powierzchni? Może nasza szanowna pani komandor wymyśliła dla nich zajęcie?... - mina „Pierw-

szego”, słuchającego kapitana, świadczyła wyraźnie, co sądzi o jego manii prześladowczej.

- Dowódca klucza miał wyraźne rozkazy... - pierwszy oficer przerwał w pół zdania, patrząc na coś poza zasięgiem holograficznego projektora. Na oczach Poulsona, twarz jego podwładnego poblądła. Jego usta poruszały się bezgłośnie.

- Start alarmowy na Boga! - rozpaczliwy okrzyk zastępcy dowódcy rozbrzmiał głośno na mostku.

- Kapitanie trzydzieści, nie, już czterdzieści jednostek przeciwnika. Wychodzą w rozproszeniu nad północnym biegunem planetoidy!... - lodowaty strach ścisnął gardło Poulsona. Nie był w stanie wydusić jednego słowa. Na całe szczęście, pierwszy oficer stanął na wysokości zadania. Jego głos rozbrzmiał przez pokładowy interkom.

- Najwyższy stan zagrożenia okrętu!. Piloci do maszyn. Stanowiska bojowe, ogień wolny.

W oddali pojawiły się smugi ciężkich pocisków przeciwokrętowych, idących w stronę „Deversa”...

\* \* \*

Na piskliwy dźwięk alarmu, Dervan drgnęła, wypuszczając z dłoni biodegradowalną filiżankę z kawą. Syntetyczny napój rozlał się na szarej podłodze kantyny.

- Ja bym nigdy nie wypuścił piwa z dłoni - zauważył z namaszczeniem „Smakosz”, budząc wesołość u Rozmowsky. Chciała coś dodać, gdy cała grupa pilotów usłyszała przekaz pierwszego oficera „Deversa”.

Eileen natychmiast poderwała się z wygodnego fotela.

- Do maszyn! - wystartowała w chwilę po swoich podwładnych, ale dogoniła ich na głównym korytarzu okrętu. Minęli kilku wystraszonych marynarzy, miotają-

cych się bezładnie w stołówce. Zbiegli głównym holem na pokład hangarowy, gdy kadłubem „Deversa” szarpnął potężny wstrząs. Potoczyli się pod ścianę, jak uleگاłki. Najgorzej wyszedł na tym Locknar, biegnący tuż przy ścianie. Pozostali wylądowali na nim, nie dając żadnej szansy palcom lewej ręki. Kości palca wskazującego i kciuka pękły jak zapałki. Nawet tego nie zauważył.

- Co najmniej dziesięć megaton. Cholernie blisko... - sapnął „Smakosz”, wstając z podłogi. Rozmowsky mruknęła coś potwierdzająco, otwierając boczne wejście do hangaru. Odwracając się, dostrzegła krew na palcach Locknara.

- A to co? Zapytała ostro. Oddziałowy wesolek podniósł wzrok i spojrzał nieprzytomnie na dłoń. Adrenalina sprawiła, że nie czuł bólu.

- Musiałem się zadrapać, jak się tu stoczyliśmy - mruknął. Ciśnieniowe drzwi oddzielające ich od hangaru uchyliły się z sykiem. Nie czekając, aż otworzą się do końca, zaczęli przepychać się do środka.

- Zostają ci trzy palce młody - mruknęła Rozmowsky. Uśmiechnęła się, widząc jego spojrzenie, pełne wdzięczności. Wiedziała, że rozkaz pozostania na pokładzie ugodził by go prosto w dumne serce.

Wbiegli na pokład startowy, przesycony zapachem smarów. Przez hałas przebijały się głośne okrzyki zdenerwowanej obsługi technicznej. Eileen poprowadziła swoich ludzi wprost do dziewięciu myśliwców. Od wczoraj stały gotowe do lotu. Tym razem pani kapitan nie dała się nikomu wyprzedzić. Pierwsza dopadła do swej maszyny. Wywindowała się na górę, z rozmachem wskakując do kokpitu. Hełm, stojący na burcie, potoczył się w dół, trącony jej zgrabną nogą. Chwyciła go w ostatniej chwili. Zapinając go, uruchomiła procedurę startową. Osłona ze świstem siłowników opuściła się w dół. Nagle żołądek



podjechał jej do gardła, gdy świat dookoła oszalał. Potężny cios dosięgnął lotniskowiec, rozdzierając jedną ze ścian hangaru. Przez ułamek sekundy widziała potężny huragan wysysający na zewnątrz wrzeszczących ludzi i sprzęt. Wszystko to znikało w kuli ognia, widocznej zamiast szczytowej ściany hali. Poczula, jak jej myśliwiec przechyla się. Automatycznie uruchomiła silniki korekcyjne, unikając roztrzaskania się o dźwigary. W tym momencie pojawił się obraz z soczewki kontaktowej. Zapadła ciemność, gdy ognista burza znikła. Przed sobą widziała ostrzegawczą czerwień promieniowania, zgłaszaną przez systemy bojowe. Zabójcza zaporą była jedyną drogą wyjścia ze śmiertelnej pułapki, w jaką zmienił się hangar. Dostrzegła dwie maszyny ze swojej grupy, bezwładnie dryfujące w strefie zabójczej dla życia. Wyraźnie widziała otwarte osłony kokpitów.

- Dwójka zgłasza się - usłyszała meldunek Locknara.

- Piątka zgłasza się - jak echo odpowiedziała Dervan

Czekała jeszcze przez chwilę z bijącym sercem, ale nikt się nie odezwał.

- Spadamy stąd - rzuciła zdławionym głosem, przesuwając dźwignię mocy naprzód. Dysze silników jej „Wasp” rozbłysły plazmą dopalaczy. Zignorowała alarm zbliżeniowy, przeskakując przez strefę promieniowania. Wymknęła się w ciasnym skręcie, przechodząc ponad szczątkami otaczającymi trafiony bok lotniskowca. Szybko zlustrowała jego sylwetkę, zaciskając szczęki z całej siły. „Devers” oberwał dwa razy. Przód kończył się na ich hangarze.

Dalej były już tylko nierozpoznawalne kłęby stali stopione w wyniku termonuklearnej eksplozji, która ledwie musnęła okręt. Rufa nie miała tyle szczęścia. Zniknęła niemal w całości. Ocalała część jarzyła się na czerwono.

Zamrugła, gdy na holograficznym ekranie taktycznym dostrzegła kilkadziesiąt maszyn przeciwnika. Otaaczały śmiertelnie zraniony okręt. Dzięki soczewce, identyfikowała szybko przemieszczające się punkty. Każdy oznaczony czerwonym rombem – oznaczał chiński myśliwiec. Nigdy nie widziała ich aż tyłu. Tuż przed dziobem maszyny Rozmowsky przemknęła głowica kasetowa. Na jej oczach podzieliła się na kilkaset ostrych drzazg, mknąc w stronę lotniskowca. Cała chmura przeszła opancerzony mostek kapitański. Z powstałych otworów bluznęły strugi powietrza, na chwilę zapalając się jasnym płomieniem.

- „Devers” stracony – na kanale odezwał się ponuro Locknar. W jego głosie nie można się było doszukać cienia humoru. Meldunek przywrócił Eileen zdolność oceny sytuacji.

- Idziemy dołem, kierujemy się na beacon „Westmorelanda”! – warknęła krótko, oznaczając trasę na ekranie nawigacyjnym. Jedyna szansa ocalenia wiodła przez deszcz odłamków krążący wokół wraku. Rozmowsky wiedziała, że jakkolwiek zamiar na nich, jest gwoździem do trumny całej trójki. Obniżyła moc. Trzy myśliwce, starannie unikając większych szczątków przemknęły tuż pod dnem lotniskowca, wpadając w chmurę gazów uciekających z pokładu okrętu przez burty podziurawione jak sito.

- Poziom promieniowania osiąga stan krytyczny! – ostrzeżenie Dervan przyszło w samą porę. Któryś z chińskich pocisków musiał trafić bezpośrednio w jeden z reaktorów lotniskowca.

Rozmowsky nic nie mówiąc, przesunęła dźwignię mocy do samego końca. Nie mieli czasu do stracenia. Ludzie na pokładzie już nie żyli, a czas istnienia samego okrętu można było liczyć w minutach. Szybko nabierali

prędkości. Na ekranie taktycznym pojawiło się ostrzeżenie o namierzeniu przez osiemnaście urządzeń przeciwnika. Dwie sekundy później, za rufami klucza myśliwskiego Rozmowsky rozpętało się piekło. Kadłub „Deversa” znikł w rozbłysku termonuklearnej zagłady. Wybuch pochłonął kilku najbardziej zapalczywych pilotów przeciwnika.

Wykorzystując moment oślepienia wroga, „Wasp” wyłączyły zasilanie, mknąc lotem beznapedowym. Rozpylony na powierzchni płatowców wodór skutecznie obniżył temperaturę, pozwalając zniknąć w czeluści przestrzeni.

Dopiero teraz Eileen pozwoliła sobie na głęboki oddech. Zdała sobie sprawę, że ma ręce mokre od potu. Rozluźniła napięte mięśnie rąk, odczuwając natychmiastową ulgę. Odruchowo zerknęła na zegar misji, wyświetlany na krawędzi osłony kabiny. Od chwili startu minęło zaledwie dwanaście minut. Tylko tyle wystarczyło, by zniszczyć lotniskowiec i pozbawić życia tysiąc osiemset dwadzieścia osób. Oni pozostali jedynymi, którzy mogli opowiedzieć o ich zagładzie... .

Pokręciła przecząco głową, jak gdyby nie chciała się zgodzić z biegiem wypadków.

- Te gnojki polują na nas! - w kokpicie rozbrzmiał naraz zawzięty okrzyk Locknara. Ignorując rozkaz dryfowania, uruchomił pełną moc silników, znikając z pola widzenia dowódcy klucza. W prawym skrzydle jego myśliwca ziała dziura, z której sączyła się wąska struga gazu.

- Rozproszyć się i namierzyć przeciwnika! - Rozmowsky podjęła szybką decyzję. Nadzieja, że zdołają umknąć wrogim myśliwcom, rozviała się bezpowrotnie. Pani kapitan zamierzała teraz jak najdrożej sprzedać swoją skórę. Trzy pełne skanowania przestrzeni wokół klucza ujawniły trzydzieści dwa cele. Eileen odruchowo

wystrzeliła w stronę najbliższego. Z pewnością trafiła, ale Chińczyk zdołał zejść z linii strzału i część impulsów laserowych pomknęła w siną dal. Nie zdążyła nawet zakląć, gdy jej myśliwiec podskoczył. Najpierw do góry, a potem w bok, pchnięty silnikami korekcyjnymi. Systemy bojowe zareagowały w ostatniej chwili, ratując maszynę przed dwoma seriami mikrorakiet. Myśliwiec zadygotał, gdy odległy strzał kinetyczny trafił końcówkę skrzydła.

- Zgłasza się grupa bojowa „Westmoreland”. Podajcie namiary celów na paśmie qbit! - Eileen zamrugła oczami, jak gdyby nie dowierzała słowom, wypowiedzanym przez męski głos. Dopiero na powtórne wezwanie, uruchomiła łączność, usiłując utrzymać się w fotelu. „Waspem” nadal miały szybkie, gwałtowne uderzenia silników manewrowych. Komputery walczyły w imieniu Rozmowsky. Kobieta nie byłaby w stanie reagować z taką prędkością. Nagle wszystko uspokoiło się. Przeciwnik przerwał ostrzał. Nie bez powodu. Korzystając z przewagi zaskoczenia, osiemnaście myśliwców z „Westmorelanda”, niczym horda wilków, uderzyło na niczego niespodziewającego się przeciwnika. Chińczycy, zaaferowani strzeleniem do niedobitków z „Deversa”, dopiero po chwili zorientowali się, że są atakowani. Kilkanaście dobrze wymierzonych pocisków dział Gaussa rozszarpało trzech prześladowców Rozmowsky. Odsiecz przyszła w samą porę, zwłaszcza, że zapas materiałów pędnych „Wasp” pani kapitan niepokojąco się skurczył. Do myślenia dawały też przestrzeleny w skrzydło i kadłubie myśliwca. Mimo to nie wahała się ani chwili. Zamierzała odpłacić za każdą sekundę bycia ściganą jak zwierzę.

- Czwórka Alfa, do zespołu. Atakujemy!...

\* \* \*

- Mam potwierdzenie - na dźwięk ponurego tonu „Freddiego”, komandor Sereda oderwała wzrok od trójwymiarowej mapy taktycznej. Zamrugła oczami, by usunąć przykrą suchość. Pytająco spojrzała na pierwszego oficera.

- „Devers” zniszczony. Zgłosiły się tylko trzy myśliwce. Mamy też prawdopodobny zamiar na kapsułę ratunkową... - komandor pokiwała głową potakująco. Jej twarz wydłużyła się, choć oczy pozostały chłodne. Trudno było powiedzieć, co myśli o zagładzie drugiego okrętu z zespołu.

- Przygotować pluton piechoty zmechanizowanej - jej głos skrzypiał bardziej niż zwykle - jak tylko podejmiemy na odległość ataku - niech ruszają na planetoidę. Muszą zniszczyć tę stację! - wróciła do hologramu. Kilka szybkimi ruchami oznaczyła perymetr pola bitwy.

- Tu pójdzie osłona zespołów transportowych...tam ustawimy osłonę... - zamilkła na chwilę, zdając sobie sprawę, że każda minuta jest na wagę złota. Podjęła decyzję.

- Dwa wahadłowce szturmowe pójną prosto na planetoidę. Dasz siedemnastą eskadrę do bezpośredniej osłony. Wskoczą im na karki... - słuchając rozkazu, pierwszy oficer z kamienną miną skinął głową. Oto na polecenie Seredy, „Westmoreland” miał zostać całkowicie pozbawiony wsparcia myśliwców. Chociaż przez umysł „Freddiego” przemknęła uporczywa myśl o zagładzie siostrzanego okrętu, nie próbował protestować.

- Które oddziały? - zapytał zdawkowo, koncentrując się na holograficznym interfejsie dowodzenia. Słowa komandor przetwarzał na konkretne rozkazy.

- Weź te z „Herdee”... - „Freddie” zamrugął oczami i otworzył usta by zaprotestować. Kompania desantowa z admirałskiego okrętu walnie przyczyniła się niegdyś do

zdobycia toroidu „Mao”. Ci doświadczeni weterani mieli być ostrzem ataku na instalacje chińskiego przejścia. Sereda dostrzegła jego wahanie i zareagowała stanowczo. Jej palce uruchomiły sekwencję rozkazów.

- Może i dostali stertę medali. Może i są pupilkami Harrivana - wzruszyła ramionami, krzywiąc się w nieprzyjemnym grymasie - ale to ja tu dowodzę. Pokładowe oddziały „Westmorelanda” będą w odwodzie!.

\* \* \*

Jękliwy dźwięk alarmu niósł się wąskimi korytarzami przeludnionych koszar okrętu. Żołnierze obijali się o siebie, usiłując dotrzeć do miejsc zbiórki. Oddziały z zestrzelonego „Herdee” zakwaterowano na samym końcu tego labiryntu, w jednej, zbiorczej sali. Niepewnie wychylali głowy, aby zorientować się w sytuacji.

- Zespół abordażowy H - rozległo się w pokładowym interkomie. Spojrzenia zespołu zogniskowały się na atletycznej sylwetce porucznik Feretti. Dziewczyna przeciągnęła dłonią po krótko ściętej czuprynie. Westchnęła, sięgając po mikrofon.

- Alfa H, zgłasza się - czuła podświadomie, odkąd się pojawili na „Westmorelandzie”, że pomimo zasług, niewiele znaczyli dla dowódcy lotniskowca. Szła o zakład, że czegokolwiek dotyczył alarm, zostaną posłani w pierwszej kolejności. I nie myliła się.

- Tu zespół taktyczny - w interkomie zabrzmiał chłodny, bezosobowy męski baryton - rozkaz komandor Seredy. Toczmy walkę z silnym zespołem myśliwskim przeciwnika. Wasze zadanie, opanować planetoidę z której wróg prowadzi atak. Cel znajduje się o piętnaście minut lotu od „Westmorelanda”. Otrzymacie osłonę. Siły i rozstawienie instalacji przeciwnika - nieznane. Jeśli opa-

nowanie planetoidy będzie niewykonalne, dokonać maksymalnych zniszczeń. Odlot ETA – sześć minut ... – zapadła cisza. Ferreti w milczeniu przetrwała kilka słów napomnianego swoim ego oficera z bliskiego otoczenia pani komandor.

„Nawet nie zaszczyliła nas swoim drewnianym głosem, wredna sucz” – porucznik wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu, myśląc o komandor Seredzie. Nie należała do osób, które paraliżował strach. Wręcz przeciwnie. Już czuła uderzenia adrenaliny, na myśl o zbliżającej się walce. Nawet lekki ból w miejscu, gdzie znaczną część kości udowej zastąpił implant, nie otrzeźwił jej.

– Rozkaz przyjęty! – warknęła w mikrofon, odwracając się do swoich ludzi. Rozłożyła szeroko ręce, jak gdyby chciała objąć całą piętnastkę.

– Słyszeliście. Wysmażyli nam taki gulasz, sądząc, że go nie zjemy – wyszczerzyła zęby, patrząc w twarze takich samych zabijaków jak ona. Adrenalina od dawna była ich narkotykiem. Nadchodząca bitwa sprawiała, że przestało liczyć się wszystko inne. Nawet świadomość tego, że atak może okazać się uderzeniem kamikaze, nie zmieniała sytuacji.

– Ale zeżremy to wszystko. Pokażemy, co potrafi oddział abordażowy „Herdee”! – odpowiedział jej bojowy okrzyk żołnierzy. Pokiwała głową potakująco i rzuciła z przekąsem

– Ostatni w hangarze sprzęta latryny do końca tygodnia! – porucznik wskazała wąskie drzwi wiodące na korytarz. Rzucili się przez nie, roztrącając członków załogi „Westmorelanda”. Słyszając dudnienie ich kroków, miejscowi uciekali na boki. Cały zespół, niemal jednocześnie, wtoczył się do niskiego hangaru, zapchanego sprzętem bojowym. Rita Ferreti zwołniała nieco kroku, przepuszczając przed sobą ostatnich spóźnialskich. Skierowała się w

stronę swojego skafandra bojowego. Zachowywała się niczym automat, zapinając pasy. Jej dłonie bez udziału umysłu uruchamiały systemy pokładowe. Przed oczami zabłysł trójwymiarowy interfejs. Na ekranie taktycznym pojawiła się lista punktów zadania bojowego. Zlustrowała je wzrokiem. Już przy trzecim punkcie westchnęła z rezygnacją, zaciskając usta, aż utworzyły cienką kreskę. Plan wyglądał jak sklecony na kolanie. Osiem górnołotnych haseł, nie mówiących tak naprawdę nic o czekających ich warunkach. Co mogło oznaczać „lądowanie w terenie, w połowie długości planetoidy”? Brak było opisu konkretnych miejsc przyziemienia, podstawowych choćby badań radarowych powierzchni. Zajrzała do dossier planetoidy. Były tam jedynie dwa zdjęcia i ogólny obraz radarowy przekazany przez zespół rozpoznawczy.

- Zespół gotowy - sierżant przerwał pani porucznik przeglądanie danych. Pokiwała odruchowo głową.

- Zająć miejsca w wahadłowcach zrzutowych!. Sierżant prowadzi jedynkę, ja dwójkę! - Rita, dudniąc ciężkimi butami pancerza na metalowych kratkach podłogi, podbiegła do drugiej maszyny desantowej. Nie zwracała uwagi na pierzchającą przed nią obsługę techniczną. Jej główną zasadą było - sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać. Skontrolowała odczyty skafandra. Sześć sekund biegu, ciśnienie robocze w układach hydraulicznych w normie, temperatura wewnętrzna w środku skali. Uśmiechnęła się pod nosem. Technicy „Westmorelanda” znali się na swojej robocie. Kadra oficerska mogła nie przepadać za żołnierzami w zmechanizowanych skafandrach. Mechanicy nadrabiali to w dwójnasób, wkładając całą duszę w ich narzędzia walki.

Wkroczyła na pokład transportowca. Jednocześnie na ekranie taktycznym zaczęły pojawiać się potwierdze-



nia gotowości do odlotu. Przypięła się na ostatnim stanowisku. Solidne pasy unieruchomiły skafander.

- Pluton „Herdee”. Rozkaz bojowy numer czterdzieści osiem. Cel główny – stacja obsługi myśliwców pokładowych wroga, umieszczona na planetoidzie AL-45-3. – suchy, rzeczowy głos komandor Seredy zaskoczył Ritę. Była święcie przekonana, że za cały plan muszą wystarczyć jej jedynie strzępy informacji, uzyskane z systemów rozpoznawczych lotniskowca – a tu taka niespodzianka!

- Każdy wahadłowiec otrzyma w ramach wsparcia klucz myśliwski, który przetrze wam drogę. By zwiększyć szanse dotarcia na miejsce, lećcie dwoma orbitami hiperbolicznymi... – słysząc to, Feretti skrzywiła się. Takie podejście do planetoidy oznaczało duże przeciążenia, zwłaszcza w końcowej fazie lotu.

- W związku z tym, że nie mamy dokładnej lokalizacji kolonii na powierzchni, macie zgodę na użycie pełnej palety środków bojowych. Cel główny, opanować planetoidę. Cel drugorzędny, dokonać maksymalnych zniszczeń. – komandor powtórzyła słowa swego oficera, by zapadły głęboko w umysły piętnastki straceńców. Rita odczekała pełne cztery sekundy, po czym potwierdziła odbiór rozkazu jadowitym tonem. W tej samej chwili wahadłowce ustawione na katapultach startowych ruszyły gwałtownie naprzód, wystrzelone magnetycznymi saniami w mrok wiecznej nocy kosmosu. Wszyscy bez wyjątku łapali oddech otwartymi ustami, niczym ryby wyrzucone na brzeg. Układy kompensacyjne zmechanizowanych skafandrów nie były w stanie całkowicie zniwelować maksymalnego przeciążenia, jakie mogły wygenerować katapulty. Feretti zrzuciła to na karb złośliwości pani komandor, chociaż tu z pewnością nie miała racji. Nadana prędkość początkowa pozwalała nie korzystać z napędu i przebyć choć część trasy bez większego ryzyka namierzenia. Matowe, płaskie

kadłuby wahadłowców desantowych oddalały się powoli od siebie. Gdzieś daleko przed nimi, pojawiały się odległe rozbłyski, przypominające snopy iskier z ogniska. Każda taka iskra oznaczała eksplozję – być może zagładę któregoś z pilotów, walczących na śmierć i życie w zacieklej bitwie.

Pojazd niosący oddział Ferreti powoli przesuwiał się wzdłuż pola bitwy, niewidoczny dla obu stron. W oddali, na wprost przed dziobem wahadłowca, biała niewielki glob, będący celem całej eskapady. Wydawało się, że przejdą wysoko ponad planetoidą. Zaniepokojona porucznik skontrolowała odczyty. Było to tylko złudzenie optyczne. Podchodzili precyzyjnie do celu. Na ekranie holograficznym pojawiło się zgłoszenie osłony myśliwskiej. Kryli się gdzieś w ciemnościach. Niczym anioł stróż, chronili cenny ładunek przed niespodziewanym atakiem przeciwnika. Trudno było powiedzieć, gdzie się znajdują. O randze akcji świadczył fakt, że chroniąca ich eskadra należała do bezpośredniej osłony lotniskowca. Sami weterani. Porucznik miała nadzieję, że są wystarczająco dobrzy... . Ukradkiem zerknęła za siebie, nie odwracając całego skafandra. Na pokładzie panowała cisza i zaskakujący, jak na tę zgrają, spokój. Zmarszczyła brwi. Rzuciła jakąś kąśliwą uwagę, ale nie doczekała się odzewu. Minuty ciekły powoli. Ukryty niepokój podwładnych udzielił się Ricie. Nigdy dotąd się nie zdarzało, by w takiej ponurej atmosferze szli do akcji.

Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, wahadłowiec podskoczył do góry, pchnięty głównymi dyszami napędowymi. Tuż pod płaską podłogą pojazdu przeszła cała kiść ferrytowych trzpieni, wystrzelonych gdzieś spoza planetoidy.

- Łądujcie jak najszybciej! - w słuchawkach porucznik rozległ się naraz chłodny, opanowany głos jednego z pilotów osłony.

- Za tą skałą jest ich z dziesięciu... - krótki kontakt, nawiązany za pomocą nadajnika łączności bezpośredniej urwał się. Ferreti nie zamierzała sprawdzać, czy mężczyzna przesadza. Natychmiast wyłączyła autopilota. Chwycała ster. Kadłub wahadłowca drżał, gdy silniki na pełnej mocy skierowały go ku planetoidzie.

- Mamy najwyżej trzy minuty - uruchomiła zamkniętą łączność obwodową - przyziemimy tuż przy krawędzi krateru. Zadanie numer jeden, oddalić się od maszyny desantowej. Zadanie numer dwa, oznaczyć swoją pozycję. Zadanie numer trzy, nawiązać kontakt z drugim oddziałem. Używamy tylko łączności qbit!. - Ciche potwierdzenia, spływające kanałem głosowym zaniepokoiły dziewczynę.

- Możemy też używać kamiennych tabliczek - ponury szept ogromnego osiłka, wpisanego do oddziału przed niespełna miesiącem, był właśnie tym sygnałem, na który czekała. Bojowy duch zespołu nie zniknął, jedynie nieco przygasał.

- Już myślałam, że wiozę całe pudło starych bab... - zaczęła z przekąsem, dostrzegając z satysfakcją krzywe uśmiechy otaczających ją zabijaków, gdy odległy rozbłysk oderwał jej uwagę od podnoszenia morale. Spojrzała na ekran taktyczny i zamarła. Ikona oznaczająca drugi wahadłowiec powoli zmieniła kolor na szary i rozmyła się, znikając z hologramu. Przełknęła ślinę, starając się zwilżyć wyschnięte nagle gardło. Pojedyncze, celne trafienie przeciwnika zredukowało oddział uderzeniowy o połowę.

- Zadanie trzecie, nieaktualne - wyszeptała. Wysoka, skalna grań, przesłoniła jej widok rozpraszających się resztek siostrzanego wahadłowca. Czujniki zbliżeniowe

zawyły ostrzegawczo, zmuszając Ferreti do zajęcia się pilotażem. Automat uruchomił silniki hamujące. Dookoła uniół się ogromny kłęb skalnego i lodowego pyłu, zdmuchiwanego uderzeniami gorącego wodoru. Nie zdążyli się jeszcze do końca zatrzymać, gdy Feretti odpięła pasy. Żyroskopowy system stabilizacji nie pozwolił jej się wyrwać. Zapomniała o tragedii pododdziału sierżanta, swoich uprzedzeniach do komandor Seredy. Liczyło się tylko zadanie. Krótko szczęknął właz w tyle kadłuba. Przez powstałe szczeliny natychmiast uleciała rzadka atmosfera z przedziału transportowego.

- Naprzód! - Kolejno, jeden po drugim, zeskakiwali wprost na porowatą powierzchnię planetoidy. Niska grawitacja spowolniła ich ruchy. Feretti jako ostatnia opuściła pokład, wprost w powoli rozpraszającą się, pylistą zawieszinę. Skafander bez jej ingerencji, wykonał przepisową przewrotkę przez ramię. Złe oceniła swoją prędkość i system stabilizacji błyskawicznie dobrał odpowiednią procedurę postępowania.

- Ho ho - w słuchawkach rozległ się bezosobowy głos komputera, tłumaczącego kwantowe impulsy - pani porucznik w szczytowej formie gimnastycznej - wiedziała, że tylko ponuraka stać na taki komentarz. Nic nie odpowiedziała, starając się w jak najszybszym tempie oddalić się z miejsca lądowania. Starając się nie wywinąć drugiego fikołka, zbliżała się do skał widniejących na końcu wąskiego, długiego pola lodu. Czuła rumieńce na twarzy. Reszta zespołu wzorowo opuściła pokład wahadłowca, rozpraszając się zgodnie z rozkazem. Jedynie ona, jako dowódca, strzeliła solidną gafę, tracąc równowagę.

Bez przeszkód dotarła do schronienia, kryjąc się w cieniu rozległego głazu, nienaturalnie stojącego na węższym końcu. Skontrolowała rozstawienie zespołu. Westchnęła cicho. Spoglądając w mrok kosmosu, zapytała ci-

cho sama siebie – „I co teraz?”. Takiej sytuacji obawiała się najbardziej. Przeszukiwania skalnego globu metr po metrze. Mogli skończyć za Godzinę...tydzień...miesiąc... . Zamrugła oczami, gdy nagle na wyświetlaczu pojawiła się informacja o nadchodzącej przesyłce pakietowej. Nie było tego wiele, ale wystarczyło. Pożegnalny prezent od osłony myśliwskiej. Radarowy skan trzech czwartych powierzchni planetoidy. „Wariaci” – mruknęła pod nosem. Ten, który wykonał mapę, odsonił się całkowicie dla wszystkich możliwych sensorów. By nie rzec – postawił wszystko na jedną kartę. Czy przypłacił to życiem? Miała nadzieję, że nie. Wyglądało na to, że cały oddział stał się dłużnikiem kogoś z „dorożkarzy”

Przebierała nogami z niecierpliwości, by dostać się do tych danych. Gdy upragniona ikona dekodowania pojawiła się pośrodku holograficznego ekranu, natychmiast uruchomiła mapę główną. Szybko przejrzała punkty charakterystyczne. Jej twarz rozjaśnił drapieżny uśmiech. Dwa płaskie obszary, wyglądające jak ogromne klapy wyrzutni torpedowych. Sprawdziła odległość. Trzydzieści osiem kilometrów w linii prostej. To oznaczało jakąś godzinę marszu. Szybko podjęła decyzję.

– Trójka i piątka. Wracacie na pokład po cztery ładunki M-94. Pozostali, osłaniać ich marsz. Przygotować się do przyjęcia danych taktycznych!. – Krótco, zwięźle wydała rozkazy. Ikony na hologramie taktycznym, oznaczające podwładnych, niemal jednocześnie rozbłysły zieloną poświatą potwierdzenia.

Wywołani żołnierze opuścili bezpieczne schronienie. Z dwóch różnych stron zbliżali się do kadłuba samotnie stojącego wahadłowca. Otwartą rampę zdążyła przykryć warstwa opadającego pyłu. Zdążył na niej osiąść tlenowy szron resztek atmosfery, która nie zdążyła ulecieć w próżnię. Nie tracili czasu. Wyćwiczonymi ruchami otwo-

rzyli magazyn amunicyjny. Wnętrze kryło zapas amunicji dla drużyny, ale nie on był ich celem. Boczna przegroda zawierała sześć taktycznych min atomowych M-94. Każda o mocy pięćdziesięciu kiloton. Gdyby nie siłowniki skafandrów, czterech ludzi byłoby mało, by dźwignąć jeden ładunek.

Obaj mężczyźni pracowali w milczeniu. Odpowiednie zatraski unieruchomiły groźny ładunek na plecach skafandrów.

Ferreti z niepokojem obserwowała ekran taktyczny, od czasu do czasu rozglądając się dookoła. Wydawało się, że minęło niewiarygodnie dużo czasu odkąd wydała rozkaz. W rzeczywistości minął niespełna kwadrans.

Odetchnęła z ulgą gdy żołnierze zaczęli się oddalać od transportowca. W samą porę, bowiem gdzieś na granicy zasięgu sensorów pojawiło się radarowe echo. Natychmiast nakazała rozproszenie oddziału. Znieruchomieli, przykryci siatkami maskującymi. Już po kilku minutach okazało się, że porucznik podjęła słuszną decyzję. Nad wąską granią, kończącą polanę na której wylądowali, pojawiła się chińska drona. Natychmiast wykryła kadłub wahadłowca. Robot zakołysał się, wypuszczając trzy pociski przeciwpancerne. Zaprojektowane do niszczenia znacznie cięższych pojazdów, rozszarpały transportowca na strzępy. Dron przeleciał nad wrakiem, skanując przestrzeń wokół. Na całe szczęście dla Amerykanów, powierzchnia planetoidy w tym miejscu przypominała żużel. Te nieliczne ślady, jakie pozostawili, były nie do odróżnienia od setek porów, pęknięć i niewielkich kraterów. Rita modliła się w duchu do wszystkich bogów kosmosu, by żadnemu z podwładnych nie drgnął palec na spuście. Robot ewidentnie został wystawiony na przynętę. Na całe szczęście wszyscy wytrzymali nerwowo. Dron wykonał dwa przeloty, po czym znikł za granią. Ferreti

nie zamierzała czekać na jego powrót. Wykreślona na ekranie taktycznym trasę przesłała qbitowym łączem do pozostałych. Trasa wiodła w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie znajdowały się wykryte wloty do hangarów. Nikt się nie sprzeciwił. Karnie, w szyku odwróconej litery V, ruszyli naprzód. Dziwaczny świat planetoidy chwilami stawał na głowie. Kamiennie granie, wykrzywione pod fantastycznymi kątami, byłyby nie do przebycia, gdyby nie niemal całkowity brak ciężenia. Pokonując kolejne grzbiety, porucznik ponuro zastanawiała się, ile jeszcze czasu ma „Westmoreland” zanim nie zniknie, jak „Devers” w rozbłysku wybuchu. Zdawała sobie sprawę z wagi swojej misji. Jednak, aby ją wykonać, nie mogła sobie pozwolić na stratę choćby jednego zmechanizowanego skafandra bojowego. Zacisnęła zęby i zatrzymała się na chwilę. Cały oddział niemal natychmiast zamarł, oczekując na jej reakcję. Skontrolowała poziom energii i tlenu u wszystkich. Nie uszczuplili zbyt wiele z zapasów. Przewidując, kazała zabrać dodatkowe zbiorniki. Choć utrudniały im poruszanie się, mogły one zadecydować o życiu lub śmierci całego zespołu. Spoglądając ponad ostrym jak brzytwa, pobliskim szczytem, dostrzegła kilkanaście odległych rozbłysków, wyglądających jak iskry strzelające z ogniska. W przestrzeni wciąż toczyła się walka. A ona i jej zespół byli być może jedyną nadzieją walczących kolegów... .Zdecydowała się. Wprowadziła szybko kilka poprawek w zaplanowanej trasie. Dawna kompania z „Herdee” szła w bój... .

### Rozdział 6

## PO NITCE DO KŁĘBKA

Wysoki grzbiet, czarny od organicznego węgla, piał się ku górze, zdając się nie mieć końca. Pojedynczy pancerz wspomagany, stojący tuż przy jednej z wielu wyrw, był nie do odróżnienia od otoczenia. Zewnętrzne powierzchnie pancerza pokryły się matową czernią.

Z miejsca obserwacji doskonale było widać dwie potężne, ciężkie kłapy wlotowe. Wydawało się, że tkwią tu od zarania dziejów. Porysowane powierzchnie nie odróżniały się wiele od otaczających skał. Jedynie kanciaste kształty włazów pozwalały się domyśleć, że to nie jest naturalna formacja skalna.

Obserwator zmrużył oczy, gdy dostrzegł powolny ruch przy pierwszym wlocie. Przy ostrej krawędzi budowli pojawiła się wąska, ciemna szczelina. Poszerzała się z każdą chwilą, gdy otwierająca się pokrywa nabrała prędkości. Ku zdumieniu żołnierza, z wnętrza nie dobiegł jeden promień światła. Głęboki mrok szybu nie pozwalał go wykryć potencjalnemu zwiadowcy. Gdzieś z otchłani przestrzeni wyłonił się pojedynczy, chiński myśliwiec. Część krótkich skrzydeł poszarpał szrapnel. Pokiereszowany dziób wyglądał jak rozdarta puszka po konserwie. Z pewnością nie nadawał się już do remontu. Pilot musiał mieć nie lada umiejętności, skoro udało mu się doprowadzić wrak do bazy. Myśliwiec, bez udziału silników manewrowych, powoli zanurzył się w tunel. Obserwator wzmógł uwagę. Sensory nic nie zarejestrowały. Odczekał trzy minuty, po czym powoli, bez pośpiechu zaczął się wycofywać. Krok za krokiem, podążając do miejsca ukrycia reszty grupy.

- Zgłasza się HERNs - odezwał się wreszcie w mikrofon, gdy kontrolka łączności bezpośredniej zabłysła uspokajającą zielenią.



- Nie zaobserwowałem żadnej osłony przy włączach. Czas reakcji klap to niespełna trzydzieści sekund... - zanim skończył raport, zatrzymał się w naturalnej kawernie, gdzie ukryli się pozostali. Porucznik wysłuchała raportu do końca, po czym przygryzła wargi. Korciło ją, by wysłać zwiad jeszcze raz. Poszukać awaryjnego wyjścia, mniej chronionych kanałów wentylacyjnych. Czegokolwiek, by uderzyć z zaskoczenia. Potrząsnęła głową. Nie mieli na to czasu. Droga na miejsce zabrała im ponad dwie godziny. Było późno. Być może zbyt późno, ale Feretti nie chciała rezygnować. Zamierzała wypełnić rozkazy co do joty.

- Dobrze moi państwo - sama była zaskoczona mocą swojego głosu. Bez cienia uśmiechu, ciągnęła dalej.

- Czas wystąpić z odkrytą przyłbicą... - zamyśliła się na moment, ale nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, ciągnęła dalej.

- Podchodzimy w szyku szturmowym do włączów hangarowych. HERNs, odpowiadasz za M-94. Razem ze swoim sekcyjnym idziecie za nami. Odpalacie tylko na mój wyraźny rozkaz. Pamiętaj, że te pięćdziesiąt kiloton może nas posłać w podróż bez powrotu, więc bez samowolki. Na czas misji, otrzymujesz rangę sierżanta... - mężczyzna odruchowo zaszutował, uderzając wąską, szczupłą dłoń w wewnętrzną kryzę ramienia.

Rita kątem oka obserwowała hologram taktyczny. Ikony oznaczające jej podwładnych kolejno zgłaszały gotowość do otwarcia ognia. Odczyty wskazywały na pełne magazyny amunicyjne.

- To krzepi mą duszę - mruknęła pod nosem, umyślnie włączając mikrofon. Odpowiedział jej cichy, nerwowy śmiech. Gdy ruszyli, zapadła cisza. Ludzie, odziani w ciężkie, zmechanizowane skafandry, kolejno wysuwali się z niskiej kawerny, ustawiając się w szyku bojowym. Ruszyli

w dół, po stromym zboczu, kryjąc się pomiędzy gigantycznymi głazami wystającymi z pylistej powierzchni planetoidy...

\* \* \*

### *USSS „Westmoreland”*

Na mostku panowała całkowita cisza. Trójwymiarowa mapa, wyświetlana przed fotelem kapitana, wciąż prezentowała bitewny chaos. Żadna ze stron nie osiągnęła przewagi. Komandor Sereda przygryzła wargi. Czas grał na niekorzyść samotnego okrętu. Chińczyków stać było, by wysłać pilotów na śmierć, dla komandor, każda utracona maszyna była niepowetowaną stratą. Zmniejszała szansę powodzenia misji. Bitwa zbliżała się do momentu krytycznego. Chwili, którą starała się odwlekać – wkroczenia samego lotniskowca do walki.

- Zgłasza się nasza czwórka oddelegowana na „Deversa” – odezwał się naraz jeden z operatorów.

- Trzy maszyny, lecą na oparach – zaraportował beznamiętnie. Sereda uśmiechnęła się zdawkowo. W jej wykonaniu równało się to żywiołowemu wybuchowi radości. Skinęła głową i wstała z fotela wchodząc w obszar hologramu taktycznego. Obraz zamigotał, nie wiedząc jak zinterpretować nagle wtargnięcie.

- Mamy kontakt z zespołem desantowym?

- Nic, poza potwierdzonym zniszczeniem jednego z wahadłowców – zameldował cichym głosem pierwszy oficer, który jak duch, pojawił się za plecami pani komandor. Zawahał się, ale mówił dalej.

- Nie ma żadnej gwarancji, że drugi ocalał. Zwłaszcza, że myśliwce osłony zarejestrowały wybuch na powierzchni planetoidy. Sugeruję wysłanie następnej gru-

py... – zakończył cichym głosem. Machnęła gwałtownie dłonią, przerywając mu wypowiedź. Odwróciła się i ze ściągniętą, złą miną wysyczała.

– Nikogo więcej nie poślę tam na śmierć!. Pozostałe dwa plutony będą potrzebne, by zdobyć instalacje przejścia – odetchnęła głęboko. Jej twarz przybrała beznamietną maskę.

– Kończymy te szarady. „Westmoreland” wchodzi do bitwy...

\* \* \*

Ferreti spoglądała na zniszczoną powierzchnię potężnych wrót, wiodących w głąb planetoidy. Ku swojemu zadowoleniu, dotarli w to miejsce niezauważeni. Systemy rozpoznania nie zarejestrowały żadnej reakcji przeciwnika. Mimo to, plan działania zaczynał się sypać, przez brak możliwości wejścia do środka. Uśmiechnęła się krzywo do siebie. Jak mogła sądzić, że przeciwnik, niejako na „zamówienie” uchyli im drzwi?

– Mam ślad tlenowy – usłyszała naraz głos Hernsa. Ekran zabłyśł nowymi danymi, przekazywanymi przez sierżanta. Ewidentnie namierzył wyciek atmosfery. Jej twarz przybrała orli, dziki wyraz. Niczym drapieżnik za smugą krwi rannej zwierzyny, ruszyła niewidocznym śladem cząstek powietrza. Wśród podwładnych wszczęło się poruszenie, gdy dostrzegli porucznik opuszczającą swoją pozycję.

– Czwórka za mną. Reszta zostaje na stanowiskach! – rzuciła przed siebie, nie zwracając uwagi na ekran. Skupiła się na jasnozielonej, rozmywającej się smudze, obrazowanej za pośrednictwem soczewki kontaktowej, idąc za nią naprzód. W pewnym momencie dostrzegła głęboki, czarny lej, wokół którego widniał częściowo stopiony lód

azotowy. Sprawdziła rozmiar szczeliny. Sto dwadzieścia metrów, prosto w dół. Ściany gładkie jak lustro... .

Z krzywym uśmiechem uruchomiła palnik. Płomień błyskawicznie poradził sobie z lodową pokrywą, wycinając głęboki stopień, zdolny pomieścić zmechanizowaną stopę skafandra.

- Czwórka, przejmujesz moją łączność - boczny Ferretti pozostał na górze. Nadajnik towarzysza Rity przełączył się w tryb stacji przekaźnikowej. Z uwagą obserwował przełożoną, znikającą pod powierzchnią planetoidy. Łamała wszystkie możliwe regulaminy, wystawiając się na niebezpieczeństwo. Jako oficer dowodzący mogła posłać kogokolwiek. Nikt jednak, prócz niej nie mógł ocenić, czy nowe znalezisko przybliży ich do sukcesu... . Szerokie, ostre kolce na łapach skafandra pomagały jej utrzymać się na gładkiej ścianie. Schodziła powoli w dół, wycinając pojedyncze stopnie, umożliwiające ewentualny powrót na górę. Kilka długich minut zastanawiała się, ile czasu zajmie jej powrót na górę, gdy nagle sensory zasygnalizowały wzrost ciśnienia na zewnątrz skafandra. Niewielki, ale dużo powyżej minimalnej czułości. Przyspieszyła, docierając do dna, skośnie zbiegającego ku wąskiemu pęknięciu. To właśnie stamtąd ulatniał się tlen. Sięgnęła po palnik. Ku jej zadowoleniu, ściana ustępowała błyskawicznie pod ognistym ostrzem. Gdy dotarła do betonowej skorupy, będącej zewnętrzną warstwą, osłaniającą tunel włotowy, wyłączyła płomień.

- Oddział w szyku uporządkowanym, na dół! - wydała rozkaz, sięgając po mikroładunki wybuchowe. Osiem stożków, zawierających rdzenie plazmowe, ustawiła zgodnie ze wszystkim zasadami sztuki saperskiej. Schodzący jej śladami żołnierze sprawnie pokonali drogę w dół. W zwykłym ciężeniu, nawet w skafandrach, zajęło by

im to kilkadziesiąt minut. Teraz byli na dole po niespełna kwadransie, zeskakując w połowie drogi w dół.

- Cwaniaczki - mruknęła Rita pod nosem. Podwładni wykorzystali dane zebrane przez nią podczas zejścia, co zapewniło im bezpieczne lądowanie. Porucznik stanęła przodem do pozostałych członków zespołu. Przez grube osłony hełmów doskonale widziała ich twarze.

- Za moment wysadzimy ścianę. Czwórka i dwójka utorują nam przejście. Piątka idziesz z sierżantem. Odpowiadacie głową za ładunki. Pozostali wchodzimy w szyku odwróconego V. Cel podstawowy - opanować centrum dowodzenia - zebrani na dźwięk tych słów, spojrzeli po sobie. Załoga planetoidy liczyła z pewnością więcej, niż trzysta, czterysta osób. Myśl o tym, by ośmiu żołnierzy, nie wiadomo jak dobrze uzbrojonych, mogło opanować rozległy kompleks, był bredzeniem szaleńca. I to wyrażały spojrzenia podwładnych Feretti.

Porucznik podchwyciła tę wzrokową wymianę opinii. Zacisnęła zęby. Chciała uniknąć takiego rozstrzygnięcia. Z drugiej strony, nie wiodła za sobą nieudaczników i wiecznie płaczących maminsynków. Zasługiwali na jej szczerłość.

- Nie mamy odwrotu... - zaczęła spokojnie. Nagle na myśl przyszła jej historia Hernana Corteza. „On też kazał spalić statki” przeszło jej przez myśl. Potrząsnęła głową. Ostatecznie, to nie ona zniszczyła ich transportowiec. Mimo wszystko, sytuacja wyglądała podobnie.

- ... za to otrzymaliśmy zadanie. Nikt go za nas nie wykona - nie starała się nadać swemu głosowi pompacyjnego tonu. Mówiła z głębi serca.

- Jeśli uda nam się zaskoczyć przeciwnika, będziemy mieli niewielką szansę by go pokonać. Jeżeli nie, musimy zniszczyć całą instalację - zakończyła z naciskiem. Kolejno spoglądała na zacięte twarze podwładnych.

- HERNs, pozostajecie z tyłu. Jeśli okaże się, że sytuacja wymyka się spod kontroli, odpalisz wszystkie ładunki. Niech nie pozostanie kamień na kamieniu. W takiej sytuacji, każdy ratuje się samodzielnie. Punkt spotkania ustalam na południowym biegunie planetoidy. - Zamilkła, czekając przez chwilę na jakiś protest, próbę polemiki. Odpowiedziała jej głęboka cisza. W ich oczach wyczytała, że ostatnie słowa i płynące z nich kłamstwo jest dla tych specjalistów całkowicie przejrzyste. Rozumieli, dlaczego je powiedziała. Idąc w śmiertelny bój, potrzebowali mieć nadzieję. Nawet taką. Dla każdego z nich było jasne, że sześć pięćdziesięciokilotonowych eksplozji rozszarpie tę część niewielkiego globu. Żadne z nich, nawet w skafandrach, nie miało szans uniknąć przeznaczenia - zwłaszcza na tak niewielkim obszarze.

- Ruszajmy - ponury głos HERNsa zabrzmiał niczym gong do bitwy. Zespół przyjął pozycje osłonowe, ustawiając się najgrubszym pancerzem w kierunku do źródła wybuchu. Feretti włączyła inicjatory ładunków. Poczuli wstrząs. Bezgłośnie uderzyła w nich salwa drobnych fragmentów lodu i betonowych odłamków. Plazma przeszła przez zbrojony beton, jak nóż przez masło. Jeden z żołnierzy, wykorzystując mechaniczną siłę skafandra, wybił w osłabionej ścianie przejście. Kolejno przekraczali wąską szczelinę. Feretti szła jako ostatnia.

Wnętrze tunelu spowijała ciemność. Okrągłe sklepienie przywodziło na myśl ziemskie metro, powiększone do monstrualnych rozmiarów. Porucznik, świadoma tego, że w każdej chwili ktoś może odkryć ich obecność, natychmiast ustaliła trasę marszu. Trzy kilometry, dzielące ich od krańca tunelu, pokonali w niespełna sześć minut, wykorzystując w pełni możliwości skafandrów.

Zdawali sobie sprawę, że nagła utrata szczelności konstrukcji z pewnością zainteresuje właściciela, toteż

broń była trzymana w pogotowiu. Mimo to, dotarli do przejścia technicznego bez przeszkód.

- Dobrze, przystępujemy do realizacji zadania - warknęła Feretti, wskazując na swego bocznego. Ten umocował swoje ładunki wokół kwadratowego wjazdu, widniejącego tuż obok głównych wrót. Tym razem eksplozja w widowiskowy sposób zerwała blokady, a ciśnienie atmosfery po drugiej stronie częściowo wyrwało płytę, ukazując rozświetloną przestrzeń wewnątrz. Towarzysz Rity, nie czekając na ustabilizowanie się ciśnienia, wpadł przez powstały otwór do środka. Na wyświetlaczach holograficznych pozostałych członków zespołu natychmiast pojawiły się ikony przeciwnika, automatycznie oznaczane przez systemy celownicze żołnierza.

- Do ataku! - podążyli śladem swojego towarzysza. Feretti spojrzała na Hersa, stojącego tuż przy wejściu.

- Czekajcie na sygnał...

- Powodzenia pani porucznik - odpowiedział jej z siłą, jak gdyby chciał dodać jej animuszu. Skinęła głową i wbiegła z impetem za swoimi ludźmi. Słabe światło elektryczne nie oślepiło jej. Osłona hełmu ściemniła się minimalnie. Minęła dwa ciała techników rozerwane dekompresją i stanęła na chwilę zdumiona. Weszła wprost do potężnego hangaru, ciągnącego się dobre pół kilometra w głąb niewielkiego globu. Pod skalną ścianą, w jednym rzędzie, stały chińskie maszyny myśliwskie. Niczym w salonie sprzedaży. Dookoła leżało kilkadziesiąt osób obsługi, zaskoczonych spadkiem ciśnienia. Systemy bojowe skafandra zarejestrowały odległy strzał i Feretti rzuciła się susem za szeroką osłonę głównej komory dekompresyjnej. Nie mogła zapominać, że wchodziła wprost w paszczę ziejącego ogniem smoka. Zerknęła na ekran taktyczny. Zespół rozstawił się strategicznie, po obu stronach. Uniosła brwi, widząc jak „trójka” dotarł do przeciw-

ległej ściany. Żołnierz ukrył się za szerokim kadłubem chińskiej maszyny rozpoznawczej, zasypując zaskoczonych Chińczyków ulewą ognia z rotacyjnego karabinu.

Kilkanaście czerwonych ikon, oznaczających przeciwnika, wyglądało groźnie. W istocie byli to jednak ludzie odziani w lekkie skafandry, dysponujący jedynie boczną bronią. Znikali przepisowo, jak na ćwiczeniach, rażeni ciężką bronią zespołu Feretti.

- Hens, czekasz na sygnał. Wchodzimy głębiej - mruknęła w mikrofon i przetoczyła się za osłonę. Nikt do niej nie strzelał. Zdeterminowany zespół parł szybko do przodu, sporo ryzykując. W istocie, nie mieli jednak nic do stracenia, podobnie jak niegdyś konkwistadorzy Corteza. Feretti dołączyła do nich, rażąc ogniem niewielką galeryjkę, skąd dokuczał im karabin maszynowy, nieszkodliwie rykoszetując na osłonach.

- Nie mogą się otrząsnąć - warknęła, szybko oznaczając dalsze cele ataku. Ledwie oderwała wzrok od trójwymiarowego interfejsu, gdy drzwi prowadzące w głąb kompleksu wyleciały w powietrze. Przywitała ich pustka i niedokończony, długi korytarz. Występy skalne upodabniały go do jaskini. W sercu Rity zaświtała nadzieja. Może nie byli na straconej pozycji? Wyglądało na to, że kolonia wciąż jest w budowie. Nagle, gdzieś zza węgła rozbłysł pojedynczy strzał. Na ekranie natychmiast pojawił się alarm przy jednej z ikon oznaczających żołnierzy zespołu. Pozostali odpowiedzieli ogniem, zasypując korytarz gradem pocisków.

Feretti, z niepokojem obserwowała odczyt funkcji życiowych. Spadało ciśnienie krwi u „Trójki”, który tak sprawnie rozprawił się z osłoną hangaru.

- Stan? - zdecydowała się na staromodne zapytanie przez mikrofon.



- Wylizę się - stęknął ponury osiłek, czekając cierpliwie, aż zaaplikowane przez system medyczny środki zaczną działać. Pojedynczy pocisk przeciwpancerzy przeżył pancerz naramienny i samo ramię, pozostawiając w nim sporych rozmiarów dziurę.

Rita chciała zadać kolejne pytanie, gdy systemy celownicze oznaczyły daleko przed nią strzelca wyborowego, który wcześniej trafił „Trójkę”. Odruchowo nacisnęła spust. Odziany w lekką osłonę mężczyzna nie miał najmniejszej szansy. Plazmowa lanca odparowała całą górną część jego ciała.

- Koniec tego dreptania w miejscu - warknęła, wskazując kierunek biegu - ruszamy naprzód!. Korytarz zadudnił od ciężkich kroków.

- Wejście zablokowane. Chińczycy zasypali najbliższe pomieszczenie - usłyszała poprzez zakłócenia daleki głos Hernsa. Tego obawiała się najbardziej. Zacisnęła szczęki. Nadal mieli szansę...

- Czekaj na wykonanie rozkazu... - mruknęła, zbliżając się do pozostałych członków zespołu. Ominęli na wprost spalone ciało snajpera, wpadając do pomieszczeń warsztatowych. Sprawnie podzielili się na dwójki, idąc pomiędzy zespołami mechanicznymi.

- „Trójka” wraca na linię - odezwał się naraz euforyczny głos rannego. Bez wątpienia był to efekt narkotyków wprowadzonych do organizmu. Porucznik potrzebowała każdego - również jego. Gdzieś z przodu rozległo się kilka strzałów z ręcznej broni.

Ku swojemu zdumieniu, Feretti dostrzegła kilka osób bez żadnych pancerzy, kryjących się za osłonami. Już wiedziała, czemu przeciwnik przywrócił ciśnienie powietrza. Desperacja Chińczyków musiała być olbrzymia. Rzucali swych ludzi na śmierć, przeciwko ciężko opancerzonemu przeciwnikowi. Dołączyła do narastającej palby, li-

kwidując kolejnych strzelców. Pochyliła się naprzód, wystawiając najgrubszy, doskonale wyprofilowany pancerz na chiński ostrzał.

Gdy poczuła kołysanie podłogi, nie zwróciła na to uwagi. Dopiero rozpaczliwy krzyk rannego oderwał ją od walki. Spojrzała w stronę „Trójki” i serce podeszło jej do gardła. Przez jedną ze ścian przedarł się lekki, chiński M.A.V.E. Na otwartej przestrzeni nie miałby z nimi najmniejszej szansy. Tu nie mieli pola manewru. A to dawało przewagę wrogiej maszynie. Na oczach porucznik, wyloty dział laserowych po obu stronach wąskiego kokpitu zaczęły pulsować czerwonym blaskiem. Każdy z nich oznaczał jeden morderczy impuls. Jeden z nich trafił „Trójkę” wypalając w jego tułowi dwa otwory, przechodzące na wylot. Ranny nie miał najmniejszych szans. Pozostali skryli się za korpusami obrabiarek. Feretti rzuciła się na podłogę, w ostatniej chwili schodząc z linii strzału. Bez żadnej nadziei skontrolowała stan trafionego. Szara ikona nie pozostawiała złudzeń. Osilek był martwy. Na ekranie wyraźnie widziała, że Chińczyk ruszył z miejsca. Ze złością przyglądała się trójwymiarowej miniaturze podpisanej „Pu-Ren”. Gdyby ktoś jej powiedział, że przeciwnik będzie tu trzymał trzydziestoletniego grata, w życiu by nie uwierzyła. Ani w to, że da im łupnia... Zmrużyła oczy, przypominając sobie wszystko, co wiedziała na temat tej maszyny.

Chińczycy nie zamierzali jednak dawać przeciwnikowi czasu na otrząśnięcie się. Z trzaskiem łamanych przegród i skrzyń, Pu-Ren ruszył z miejsca. Rita oznaczyła na mapie taktycznej drogi odwrotu. Dopiero teraz, na holograficznym wyświetlaczu pojawiły się dane maszyny przeciwnika. Tuż obok zaklekotały pociski z chińskiej broni ręcznej. Nie zwróciła na nie uwagi. Szybko zlustrowała dane.

- Ma szesnaście strzałów, pięć minut przeładowania - warknęła w mikrofon - musimy wykorzystać ten czas.

- A jeśli to nowsza wersja? - zapytał zdławionym głosem „numer cztery”

- To po nas... - odpowiedziała z przekąsem. Szybko skontrolowała stan amunicji.

- Pani porucznik, uwaga! - okrzyk jednego z żołnierzy przyszedł w samą porę. Chińska maszyna dotarła do obrabiarki, za którą ukryła się Feretti. Dwa potężne, laserowe impulsy przeszły tuż nad skafandrem Rity. Dziewczyna odskoczyła w prawą stronę, prosto pod lufy nieopancerzonych członków załogi kolonii. Kilkanaście pocisków zrykoszetowało od pancerza, ale dwa przeszły na wylot. Nawet tego nie zauważyła, uciekając przed obracającymi się w jej stronę działami Pu-Ren. Wydawało się jej, że dostrzega pilota za grubą przesłoną kokpitu. Nie mogła nawet marzyć o tym, by odpowiedzieć ogniem. Zwłaszcza, że jeden z laserowych impulsów wypalił dziurę w podłodze tuż za nią, osmalając jedną z łap jej pancerza.

Podwładni Feretti wykorzystali zaabsorbowanie przeciwnika przełożoną i ruszyli do szturmu. Nagła nawała ogniowa zachwiała chińskim M.A.V.E. Dopiero teraz, mało doświadczony, chiński pilot zorientował się, że popełnił błąd. Nie zdążył obrócić się w stronę pozostałych, gdy kilka plazmowych pocisków wylądowało na bocznej ścianie kokpitu. Trafienia uszkodziły systemy pokładowe. Lewe działko laserowe smętnie zamilkło. Drugie odpowiedziało ogniem, gdy bezpośrednie trafienie ciężkim pociskiem kinetycznym w kokpit Pu-Ren niespodziewanie zakończyło walkę.

Zaskoczenie obu stron było tak wielkie, że na moment odgłosy walki ucichły. Feretti nie zamierzała rezygnować z odzyskanej inicjatywy. Szybko oznaczyła cele. Gdy podwładni ruszyli do boju, zainteresowała się krwa-

wiącą dłonią. Chiński pocisk, który zdołał się przebić przez tylny pancerz, urwał jej koniec kciuka. Ze zdziwieniem przyglądała się ranie. Adrenalina, a zaraz po niej chemiczne medykamenty, zaaplikowane przez system medyczny sprawiły, że nie zauważyła tych obrażeń.

Zmechanizowane skafandry przeszły po improwizowanej linii obrony załogi kolonii jak huragan. Wydawało się, że Amerykanie biorą odwet za śmierć współtowarzysza. Salwy plazmowych lanc krzyżowały się z coraz słabszym ogniem karabinowym. Porucznik rzuciła ostatnie spojrzenie na „trójkę”. Z dziur w pancerzu zabitego wciąż sączył się dym. Korciło ją przez chwilę, by go pozostawić. Uczucie obowiązku wzięło górę. Sięgnęła do szarej ikony i włączyła proces autodestrukcji. Nic się nie stało. Żadnego potwierdzenia o eliminacji. Impulsy laserowe, które zabiły pilota, zniszczyły też całkowicie elektronikę skafandra.

- Czwórka do dowódcy. Dotarliśmy do zamkniętego przedziału. Zakładam, że to centrala dowodzenia. Podejmujemy atak!. - Usłyszała podniecony walką głos kaprała. Pozostawiła zabitego podwładnego. Opustoszałe nagle pomieszczenie zadudniło od jej kroków. Minęła kilkanaście martwych ciał członków chińskiej załogi. Przebiegła okrągły właz z otwartą klapą ciśnieniową. Dostrzegła swoich ludzi w obronie okrężnej. Jedynie kapral stał przy zamkniętym, okrągłym włazie, torując sobie plazmowym palnikiem wejście do wnętrza. Ustawiła się tak, by szachować drzwi. Z niepokojem skontrolowała otaczający ją obszar. Dysponowali tylko jednym wyjściem. Pomieszczenie, do którego próbowali się dostać, mogło okazać się śmiertelną pułapką dla piątki śmiałków.

Nim zdążyła coś zdecydować, oporny metal włazu poddał się. Miał być tylko zabezpieczeniem przed spadkiem ciśnienia. Plazmowy palnik poradził sobie z nim w kilka minut. Kapral wsunął się pierwszy w powstały

otwór. Rita ruszyła w jego ślady, oznaczając pozostałym stanowiska obronne. Przywitał ją rząd podniesionych rąk. Kilku techników, trzymających karabiny piechoty, widząc dwa ciężkie skafandry zmechanizowane, potulnie podniosło swój oręż do góry. Feretti powiodła wzrokiem po ścianach pomieszczenia. Przykrywały je staromodne, płaskie ekrany. Kilka projektorów holograficznych, zawieszonych pod sufitem, wyświetlało jedynie kontrolny obraz. Z pewnością obsługa wyłączyła je, gdy Amerykanie przepalali właz. Jej uwagę przykuł schemat, zajmujący niemal połowę ściany po prawej stronie. Wyglądał niczym projekt instalacji elektrycznej. Poczowała uderzenie adrenaliny. To musiała być mapa kolonii. Nie trafili na centrum dowodzenia, ale rozdzielnia zarządzająca instalacjami też była nie do pogardzenia... . Zaczęła wywoływać sierżanta. Zgłosił się dopiero za trzecim razem. Ledwie była w stanie zrozumieć jego słowa.

- Herns. Wszystko zależy od was. Zróbcie tak...

\* \* \*

### *USSS „Westmoreland”*

Kolejny wstrząs targnął ciężkim kadłubem lotniskowca. Wbrew wszelkim prawidłom nowoczesnej sztuki wojennej, „Westmoreland” tkwił w największym wirze walki. Stanowiska przeciwlotnicze zasypywały przestrzeń wokół tonami amunicji. Przeciwnik odgryzał się zaciekle, ale nie trafił dotąd w żadne żywotne urządzenia okrętu. Wsparcie lotniskowca dodało sił walczącym pilotom. Sereda, obserwując starcie na ekranie taktycznym, dostrzegła pierwsze oznaki uzyskiwania przewagi.

- Zarejestrowany wybuch na północnym biegunie AL-45-3. Planetoida weszła w ruch obrotowy - Sereda ob-

róciła się gwałtownie. Zaaferowana toczącą się bitwą, zupełnie zapomniała o chińskiej kolonii.

- Wybuch około pięćdziesiąt kiloton. Charakterystyka pasuje do naszych M-94. Duży wzrost stężenia mieszanin oddechowych wokół miejsca wybuchu- raportował operator. Odczytał kilka dodatkowych pozycji i stwierdził autorytatywnie.

- Tracą atmosferę. Lądowisko przeciwnika wyeliminowane - daleko przed lotniskowcem powoli obracał się skalny masyw planetoidy, ujawniając płytki, rozległy krater. Na podobieństwo gejzeru, raz po raz błyskał tam ogień, gdy wysoka temperatura wnętrza zapalała wycieki atmosfery.

- Siedem jeden „Westmoreland” - na głównym paśmie łączności zgłosił się jeden z pilotów siódmego dywizjonu. Komandor Sereda miała już na końcu języka solidny opieprz za tę nieprzewidzianą w żadnym regulaminie łączność, ale reszta meldunku sprawiła, że zapomniała o tym całkowicie.

- Przeciwnik się wycofuje... - na trójwymiarowej mapie taktycznej dowódca okrętu widziała to doskonale. Chińczycy po utracie planetoidy, rzucili się do ucieczki. Kilku z nich ta sztuka się nie udała. Myśliwce z „Westmorelanda” raziły odchodzących, nie żałując amunicji.

- „Freddie” - Sereda przywołała pierwszego oficera krótkim, energicznym ruchem dłoni.

- Wezwij wszystkie zespoły myśliwskie. Niech uzupełniają amunicję i energię. Reżim patrolu bojowego. Nawiązać łączność z oddziałem na A1-45-3!.

Patrzyła w milczeniu na krzątanie załogi. Jeszcze dziesięć minut temu walczyli o życie. Nie była pewna, czy dobrze wycelowana głowica przeciwokrętowa nie zakończy ich istnienia. Nagły koniec walki sprawił, że nie potrafiła poradzić sobie z nadmiarem adrenaliny. Zaczęła

energicznie spacerować wzdłuż holograficznej mapy, zaciskając i rozprostowując palce.

- Pani komandor! - napastliwy głos obserwatora obudził w niej bestię.

- Czego? - warknęła. Spojrzenia wszystkich obecnych na mostku skierowały się na nią. Odetchnęła głęboko i patrząc przez okna na czerń kosmosu, powtórzyła spokojniej.

- Raport? - w milczeniu słuchała przestraszonego głosu operatora, przekazującego informację od dowódcy osłony myśliwskiej. Mimo wygranej bitwy, potencjał uderzeniowy „Westmorelanda” spadł o połowę. Sam okręt znacznie lepiej zniósł bitwę, chociaż lista uszkodzeń była długa.

Lotniskowiec wszedł na odległą orbitę wokół planetoidy. Komandor nie zdecydowała się na podejście do niestabilnego globu. Wierzyła, że eksplozję spowodował taktyczny ładunek wieziony w wahadłowcu Feretti, ale dopóki nie nawiązali łączności z zespołem desantowym, wołała się zabezpieczyć. Dopiero po zatankowaniu osłony myśliwskiej, gdy wokół „Westmorelanda” pojawiło się dwanaście maszyn, w stronę planetoidy pomknął pojedynczy wahadłowiec desantowy. W napięciu oczekiwali na jego powrót. Mimo wielu niewiadomych, Sereda wydała kategoriyczny zakaz nawiązywania łączności. Nie zamierzała ułatwić przeciwnikowi zadania.

Jej cierpliwość została wystawiona na długą próbę. Miała świadomość, że każda minuta przebywania w pobliżu planetoidy to ogromne ryzyko, ale nie zamierzała zmieniać rozkazu. Mogła nie przepadać za Feretti, ale dopóki była jej podwładną, zamierzała zrobić wszystko, by zapewnić jej bezpieczny powrót na pokład.

Z lekkim uśmiechem powitała odległy, samotny punkt zbliżający się do lotniskowca. To był długo oczeki-

wany transportowiec. Leciał powoli, bez świateł. Jedynie oznaczenia przez system „swój-obcy” pozwalały go odróżnić na tle przestrzeni kosmicznej.

- Podchodzą do hangaru technicznego - raport usłyszała już w drzwiach mostka. Zamierzała przywitać żołnierzy straceńczej misji osobiście. Szybkim krokiem przebyła główny ciąg komunikacyjny. Trójka zaskoczonych jej widokiem techników przepisowo zasalutowała. Odpowiedziała im siarczystym zamachnięciem, nie przerywając biegu. Do hangaru dotarła w momencie, gdy gaśły czerwone światła ostrzegawcze. Ciśnienie wewnątrz śluzy powietrznej rosło. Z zadowoleniem dostrzegła przy wejściu, pośród techników, pękatą sylwetkę pierwszego oficera. Ten, widząc przełożoną, skierował ku niej swe kroki. W dłoni trzymał płaski ekran holograficzny. Wyłączył go i z uśmiechem zagaił rozmowę

- Pani komandor. Wiem, że to się pani nie spodoba, co powiem... - zmrużył nonszalancko jedno ze swych małych oczek -... ale admirał miał rację, przysyłając nam swoich pupili. Czytałem krótki raport z ich działalności na planetoidzie. To prawdziwi rzeźnicy... - nie przerywała, choć na wzmiankę o admirale, zmarszczyła brwi.

- Wypuścili w próżnię z trzystu żółtych. Po prostu wysadzili ich w kosmos...

Słuchając zachwyty swego „pierwszego” uważnie spoglądała na podnoszące się, ciężkie drzwi śluzy. Tuż za nimi, na tej niewielkiej przestrzeni, stał odrapany transportowiec. Przez otwartą rampę schodziło siedmiu żołnierzy. Ciężkie, zmechanizowane pancerze nosiły ślady walki. Wgłębienia po pociskach, odpryski farby, pęknięcia pancerza mówiły o piekle, przez jakie przeszli.

Westchnęła. Nie było to łatwe, ale nawet komandor Sereda potrafiła wyrazić uznanie, gdy zasługa była ewidentna. Sztywnym krokiem podążyła w stronę grupki we-



teranów, nie zwracając uwagi na falę chłodu, z którą bezskutecznie walczyła klimatyzacja. Szum hydraulicznych siłowników pancerzy osobliwie brzmiał w tej niewielkiej przestrzeni. Mimo zmęczenia, zespół Feretti zatrzymał się w równej linii. Zasalutowali, w milczeniu patrząc na chudą postać dowódcy. Sereda energicznie odwzajemniła gest.

- Dziękuję - rzuciła po żołniersku. Chłodno i oschle.

Feretti nic nie odpowiedziała. Skinęła jedynie głową.

- Spocznij! - Sereda odwróciła się na pięcie i odeszła, nie odwracając się. Pani porucznik odprowadziła ją wzrokiem. Domyślała się, jak wiele musiało kosztować Seredę przyście tutaj, osobiste powitanie zespołu desantowego. Pokręciła głową i odwróciła się, napotykać wlepiony w siebie wzrok podwładnych.

- Na co się tak gapicie - burknęła. Widząc ich dezorientację, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Nie słyszeliście? Sama pani komandor wydała komendę „spocznij”. Zatem widzimy się w przedziale mieszkalnym!. - Zanim wypowiedziała ostatnie słowa, cała szóstka na wyścigi rzuciła się do magazynu uzbrojenia. Nim dotarła tam za nimi, skafandry zostały ustawione pod ścianą. HERNs zdążył nawet wydostać się z wnętrza. Feretti pokręciła głową, kryjąc krzywy, ironiczny uśmiech. Bez pośpiechu ustawiła się jako ostatnia w rzędzie. Odpięła pasy i wyłączyła elektronikę pancerza. Poczowała ból w dłoni i przypomniała sobie o ranie. Systemy medyczne przestały podawać chemię wzmacniającą. Wzruszyła ramionami i przypomniała sobie suchą, ale jednak pełną uznania minę Seredy. „W końcu też mi się należy coś od życia” - pomyślała uruchamiając interkom pokładowy.

- Do sekcji medycznej. Potrzebna pomoc dla Alfa „Herdee”. Hangar techniczny!...

\* \* \*

*USSS „Westmoreland”.*

*Przedział C8 Maszynownia pomocnicza.*

Samotna, szczupła, kobieca sylwetka stała w wąskim przejściu pomiędzy dwoma generatorami. Potężna maszyna pięła się wysoko pod obłe sklepienie. Eileen spoglądała na nie, nieświadoma roli, jakie odgrywały w potężnym, mechanicznym organizmie lotniskowca. Cichy szum, panujący w długim pomieszczeniu działał kojąco na kobietę. Przymknęła na chwilę oczy, starając się wyobrazić sobie, że stoi na plaży. Chłodny powiew z kanałów wentylacyjnych rozrzucił blond włosy na ramionach. Za wszelką cenę starała się wymazać z głowy obraz masakry na „Deversie”.

- Eileen? - tego głosu nie spodziewała się usłyszeć. Gwałtownie odwróciła się, obdarzając nadchodzącego mężczyzną szerokim uśmiechem. Lovat, biały jak śmierć, odwzajemnił niepewnym grymasem na twarzy. W oczach kobiety pojawił się niepokój.

- Nie wyglądasz najlepiej... - zaczęła, chwytając go za dłoń. Mężczyzna oparł się o barierki, ciągnące się po obu stronach przejścia. Kręciło mu się w głowie i gdyby nie ten zabieg, wyłożyłby się jak długi. Odetchnął, jak nurek wypływający z głębin.

- Myślisz, że wszyscy śmigają na orbicie w ciepłych kokpitach? - zaczął z przekąsem. Zamierzał droczyć się z nią dalej, ale błyszczące oczy mówiły co innego. Eileen bezbłędnie odczytała jego intencje, zamykając mu usta pocałunkiem. Na chwilę zniknęła gdzieś bezwzględna wojna, czyhające zewsząd zagrożenie, groźba utraty życia. Byli tylko oni... .

- Taka kuracja z pewnością postawi mnie na nogi - Lovat zadziornie przyciągnął ją do siebie, czując jak jej krągłości przyjemnie wtulają się w niego. Obdarzyła go największym ze swych ponętnych spojrzeń.

- To zależy, co zaaplikuje ci system medyczny... - przerwał jej cichy szept.

- Bez wątpienia pełny pakiet... - wpił się w jej usta, zachłannie, gwałtownie.

Nagły szcęk drzwi ciśnieniowych gdzieś za generatorami, zakończył sielankę. Zaciekawieni, trzymając się za ręce, podeszli bliżej.

Ciche szepty przebijały się przez szum maszyn, ale nie byli w stanie rozróżnić słów. Eileen zawahała się na moment, ale Lovat pociągnął ją za sobą. Wyszli poza maszynę i zamarli, zaskoczeni widokiem, jaki ujrzeli. Przy bocznym, okrągłym wejściu do zbiornika opadowego stała komandor Sereda w towarzystwie kilku oficerów. Naprzeciwko, podtrzymywany przez dwóch żandarmów, chwiał się zakrwawiony, niski Chińczyk. Naszywki jego munduru wskazywał na służby techniczne.

Grupa natychmiast dostrzegła parę. Komandor, zaskoczona chyba po raz pierwszy w życiu, skinęła na oboje.

- To miało być odizolowane miejsce - warknęła gniewnie do Freddiego. Zmierzyła wzrokiem nadchodzącego Lovata. Pierwszy oficer mruknął coś na swe usprawiedliwienie, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Na wszelki wypadek odsunął się nieco od przełożonej, jak gdyby spodziewał się ciosu. W milczeniu obserwowali nadchodzącą dwójkę. Żandarmi, zdeorientowani sytuacją, przystanęli, trzymając pod ręce jeńca. Chińczyk zemdlał, zwisając bezwładnie. U jego stóp zbierała się powoli plama krwi, kapiącej z ust więźnia.

- Co tu robicie? To zamknięty rejon! - zaatakowała ostro pani komandor, gdy para stanęła, salutując. Eileen,

zaskoczona agresją w głosie dowódcy okrętu, otworzyła usta i zamknęła je nic nie mówiąc. Jej towarzysz w milczeniu zmierzył wzrokiem Seredę. Dopiero po dłuższej chwili ciszy odpowiedział z nutą ironii w głosie.

- Zwiedzamy ciemniejsze zakątki tego wspaniałego okrętu... - znacząco wskazał głową na jeńca - powiedziałbym nawet, że mroczne - zakończył, beczelnie patrząc w oczy pani komandor. Ta jednak nie dała się zbić z tropu. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, ale zareagowała błyskawicznie.

- Jeśli zdaje się panu, panie poruczniku, że to admirałski okręt, to grubo się pan myli. Tu panuje dyscyplina. To, że Harrivan pozbył się odpadów, nie znaczy, że możecie sobie poczynać według własnego widzimisię... - Przeniosła wzrok z Lovata na Rozmowsky, dając wyraźnie do zrozumienia, kogo uważa za śmieci. Kapitan poczerwieniała, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. Zaciśnęła usta, aż utworzyły wąską kreskę. W przeciwieństwie do niej, w mężczyźnie obudził się bitewny zapach.

- Admirał nie musiał mnie wysłać. Sam się wkręciłem na tę szaloną wycieczkę - warknął i dodał szyderczo, wpatrując się w nieprzytomnego jeńca.

- Chociaż mam nadzieję, że nie potraktujecie mnie tak, jak tego pasażera na gapę... - Sereda, zaaferowana dwójką oficerów, nie zauważyła, że żandarmi wciąż stoją z tyłu. Chińczyk, niczym wyrzut sumienia, wisiał pomiędzy nimi.

- Długo będziecie się jeszcze przysłuchiwać rozmowie? Czy nie powinniście realizować mojego ostatniego rozkazu? - komandor nawet się nie obróciła. Żandarmi jednak doskonale wiedzieli, do kogo kieruje swoje słowa.

- Do aresztu głównego... - mruknął cicho „Pierwszy”, nie mieszając się dotąd do dyskusji. Żandarmi, szczęśliwi, że ktoś podjął za nich konkretną decyzję, natychmiast

powlekli jeńca, znikając za ciśnieniowymi drzwiami. Lovat wpatrywał się w smużkę krwi.

- Ktoś to będzie musiał posprzątać... - zaczął, ale przerwała mu komandor.

- ... zapewne pyskaty porucznik... - ton wskazywał, że dalsza konwersacja może się dla niepokornego oficera zakończyć nieciekawie.

- Wszystko, co tu widzieliście, obejmuje tajemnica wojskowa - oficjalnie wtrącił „Freddie”. Zachęcony miną komandor, kontynuował.

- Nie zamierzam tłumaczyć, co grozi za jej ujawnienie. W końcu wszyscy jesteście dorośli. Za trzy godziny odprawa starszych oficerów, obecność dla was - zrobił dramatyczną przerwę - obowiązkowa!. - Mina Seredy świadczyła wyraźnie, że i ona jest zaskoczona decyzją swojego zastępcy. Nie zaprotestowała, nie odezwała się jednym słowem.

- Skoro wkroczyliście w tę sprawę z butami, to będziecie siedzieć w niej po uszy - dodał złośliwie pierwszy oficer „Westmorelanda”.

- Odmaszerować!

\* \* \*

*USSS „Westmoreland”.*

*Sala odpraw.*

Lovat poruszył się niespokojnie. Nawet taki pyskacz jak on, czuł się nieswojo w towarzystwie sześciu starszych oficerów, siedzących wokół metalowego stołu. Każdy z nich przewyższał go rangą. Siedząca obok Eileen zachowywała kamienną twarz. Kilka narad na admirałskim okręcie, zahartowało panią kapitan. Spod przymrużonych oczu, spoglądała na zebranych. Pierwszy oficer lotni-

skowca kończył właśnie referowanie wyników przesłuchania, najlepsze zostawiając na koniec.

- ... otrzymaliśmy przypuszczalną lokalizację przejścia. Wyjawił ją chiński jeniec... - Sereda skrzyżowała wzrok z Lovatem. Porucznik zdradzał ogromną ochotę, by włączyć się do dyskusji o przesłuchaniu. Powstrzymał się jednak, widząc w twarzy komandor niczym nieskrywaną groźbę.

- ... oczywiście, mógł on nas wprowadzać w błąd... - wydawało się, że „Freddie” nie zauważył tej wymiany spojrzeń.

- ...ale Hagrax raczej wyklucza kłamstwo - złośliwy uśmiech wykwitł na twarzy pierwszego oficera. Nafaszerowany substancjami psychoaktywnymi jeniec wyjawił wszystko, co wiedział. Bicie miało go jedynie zmiękczyć. Zadowolający efekt końcowy osiągnięto kosztem zamiany Chińczyka w bezwolne zombie z wypalonym umysłem.

- Tak naprawdę, wiemy jedynie, gdzie to jest - wyjaśnił wreszcie „Pierwszy” uważnie spoglądając na zebranych - natomiast nie mamy zielonego pojęcia, co tam znajdziemy. Jaka osłona, jaki sprzęt rozpoznawczy, czy ile osób liczy załoga pokładowa.

Zapadła cisza. Chwilowa euforia po słowach „Frediego” o lokalizacji chińskiej instalacji ulotniła się bez śladu. W sali nie siedzieli nowicjusze. Każdy z nich orientował się, że znajomość samego miejsca ataku to kluczowa, ale niewielka składowa ewentualnego sukcesu.

- Podjęłam decyzję o kontynuowaniu operacji - oświadczyła autorytatywnie komandor Sereda stojąc u szczytu stołu. Spojrzała po kolei w twarz każdemu z siedzących przy stole. Najdłużej zatrzymała się na Lovacie. Wydawało się, że mówi bezpośrednio do niego.

- Informację o lokalizacji przejścia prześlemy do floty jedynie w ostateczności. Nie chcę ryzykować przy-

padkowego namierzenia przez instalacje obserwacyjne na Tolimanie Prime – przeniosła wzrok wyżej, nie patrząc już na nikogo w szczególności, zapytała.

- Stan okrętu? – wśród zebranych wszczęło się poruszenie. Trudno było dociec, komu Sereda zadawała to pytanie. Wreszcie odezwała się oficer uzbrojenia, krępa, otyła brunetka.

- Magazyny amunicyjne na poziomie siedemdziesięciu procent. Urządzenia pokładowe sprawne, stan załóg abordażowych – bez strat. – Wyrecytowała na jednym oddechu.

- Dwadzieścia jeden myśliwców, osiem szturmowców, sześć pojazdów uderzeniowych – mruknął „Freddie”, starannie unikając wzroku komandor.

- I jeszcze trzy maszyny, przyprowadzone przez obecną tu panią kapitan – dodał po chwili wahania. Rozmowski skłoniła głowę, nic nie odpowiadając.

- Dziękuję – bezosobowy, chłodny głos Seredy nie zdradzał jej nastawienia. Trudno było wyczuć, czy jest zadowolona z raportu.

- To są nasze zasoby – oficjalnym tonem stwierdziła komandor – teraz oczekuję od was konstruktywnych propozycji zrealizowania misji... – dyskusja, początkowo nieśmiała, szybko nabierała rumieńców. Podwładni doskonale znali swoją przełożoną. Wymagała bezwzględniego posłuszeństwa w bitwie, ale doceniała indywidualną inicjatywę podczas planowania.

- Na brutalną siłę nie ma co liczyć... – zaczął z przekąsem Lovat. Rozejrzał się po twarzach zebranych. W większości odczytał nadzieję, że skoro już zabrał głos, z pewnością rzuci jakąś koncepcję na stół.

- Nie da się ukryć – ironicznie mruknęła Sereda. Jej mina wyraźnie wskazywała, że nie spodziewa się po poruczniku jakiegokolwiek konstruktywnego pomysłu. Na

ten widok zagrała w nim krew. „Ja ci pokażę, stara suchotnico” , pomyślał, spoglądając w jej blade oczy, po czym rzucił główno.

- Jak dla mnie, jedyna szansa, to podstęp i zaskoczenie - rozłożył ręce z okrutnym uśmiechem - chyba że chodzi nam jedynie o wyłączenie tego miejsca z użytkowania. Wtedy po prostu wysadźmy ich w kosmos kilkoma megatonami czystej, termonuklearnej energii... .

- Ot, powiedział, co wiedział... - warknął główny mechanik. Otyły mężczyzna szarpnął gwałtownie gładko ogoloną głowę. Uwielbiał konkrety, nienawidził siedzieć i dyskutować o niczym, gdy w maszynowni robota paliła się w rękach.

- ..nie mam czasu na popisy elokwencji co młodszych oficerów - kontynuował, patrząc spode łba na porucznika - jak dla mnie, jedyną szansą jest bezpośrednio uderzenie. Podejźmy na dużej prędkości, w ostatniej chwili wyrzucimy zespół myśliwski i zbombardujemy powierzchnię planetoidy.

- Czyli jednak brutalna siła... - zaczęła Sereda zamyślonym tonem. Trudno było powiedzieć, za którą opcją się opowiada. Mechanik pokiwał przecząco głową.

- Żadna brutalna siła - zaprzeczył - finezyjne uderzenie w czuły punkt. Tuż przed atakiem wypuścimy drony. Oznaczą nam cele, dla „Westmorelanda” pozostanie jedynie dokończenie dzieła.

- Jest to jakieś rozwiązanie - słabo poparła kolegę oficer uzbrojenia. Chwiejny ton głosu wskazywał, że zabrała głos bez przekonania. Pozostali zaczęli kiwać głowami. Lovat obserwował rozmowę w milczeniu. Jego twarz zaczęła oblekać się różem, a chwilę później purpurą. Wreszcie, gdy oficer uzbrojenia zaczęła omawiać przeprowadzenie ataku za pomocą uzbrojenia głównego, nie wytrzymał, zrywając się na równe nogi.



- Rany boskie... - wokół stołu zapadła cisza. Cały zespół utkwiał zaskoczony wzrok w sylwetce stojącego Lovata. Jedynie Eileen, która już wcześniej widziała co się szykuje, obserwowała zajście z lekkim uśmiechem. To najbardziej podobało jej się w pilocie M.A.V.E, ta nieskrywana zadziorność, twarde, nieustępliwy charakter.

- Chciał pan coś dodać? - zapytała chłodno Sereda, sięgając po syntetyczną kawę. W jej oczach pojawiły się cieplejsze uczucia, gdy patrzyła na porucznika.

- Tak wam śpieszno do losu „Deversa”...? - Nagły wybuch emocji uspokoił Lovata. Spokojniej kontynuował wypowiedź.

- Znakomity plan, naprawdę, chylę czoła - porucznik przybrał swój zwykły, ironiczny ton.

- Lotniskowiec wprowadzony do bitwy, to wielki, doskonale widoczny cel. Czy ktoś, tu obecny, może zaręczyć, że żółci nie mają tam ciężkiego uzbrojenia? To najważniejsza instalacja Chińczyków na Alfa Centauri. Czy naprawdę myślicie, że wróg to idiota? Że nie zabezpieczył perymetru?

- Po to są drony... - wtrącił główny mechanik, zły, że młodszy oficer podważa jego zdanie. Lovat spojrzał nań z politowaniem i westchnął głęboko, jak lekarz psychiatra, obserwujący ciekawy, kliniczny przypadek.

- Taak, oczywiście - odpowiedział przeciągle - wykrycie ewentualnych pól minowych na trasie lotu i ich dezaktywacja w ciągu kilku sekund lotu... - wzrok porucznika zdawał się mówić „czy aby wszystko w porządku pod kopułą?”. Było to tak oczywiste, że nawet główny mechanik zrozumiał i zamilkł, czerwieniąc się ze złości.

- Nie wiemy, co tam jest - zaprotestowała milcząca dotąd, niska, chuda szefowa służby pokładowej. Ni stąd ni zowąd postanowiła wesprzeć głównego mechanika.

- ..wiedzą, że nas pokieroszowali - starała się wyjaśnić swój punkt widzenia - ... to i taki atak nie będzie prawdopodobny... .

- Dokładnie - podchwyciła oficer uzbrojenia, niezadowolona, że szansa na bezpośrednie wykazanie się w walce może jej umknąć.

- Nie spodziewają się uderzenia. Z osłoną myśliwską sobie poradzimy. Zaskoczenie będzie kluczem do sukcesu... - przerwała odruchowo, widząc jak Lovat kręci przecząco głową.

- Pani komandor - zaczął oficjalnym tonem. Dowodząca okrętem spojrzała nań z pewną dozą zainteresowania. Porucznik zaskakiwał ją. Zakwalifikowała go już do rzędu uciążliwych „wrzodów” jakich kilku zawsze było w załodze. Przemądrzałych, pyskanych i zazwyczaj niezbyt przydatnych. Lovat wymykał się tej systematyce.

- Jesteśmy bodajże ostatnią nadzieją Drugiej Floty - słuchając głosu porucznika, Sereda szukała w jego twarzy śladu ironii, czy szyderstwa, ale nic nie znalazła. Twarz mówiącego była poważna.

- Nie mamy drugiej szansy, dodatkowego podejścia. To co proponujecie, to delikatnie mówiąc hazard... .

- Ja bym to nazwała spacerem na linie, bez trzymanki, nad rzeką pełną lawy - cichym głosem poparła go milcząca dotąd Rozmowsky. Podziękował jej wzrokiem i z napięciem wpatrywał się w twarz komandor Seredy, jak gdyby domagał się od niej podjęcia decyzji.

- No tak, ale jeśli nie to, to co? - niechętnie mruknęła dowódca okrętu. Dynamiczny plan głównego mechanika posiadał pewne wady, ale przemawiał do wyobraźni. Gdyby nie stanowczy sprzeciw Lovata, omawialiby zapewne sposoby wprowadzenia go w życie. Kobieta czuła, że czas gra na ich niekorzyść. Nie chciała tracić ani jednej minuty, mogącej decydować o życiu lub śmierci wszyst-

kich na pokładzie. Z zawodem w oczach dostrzegła bezradne wzruszenie ramion porucznika.

- Wiem na pewno, że nie to, co proponuje pani nieoceniony, główny mechanik - grubas spojrzał wrogo na Lovata.

- Ja wiem - mruknęła cicho Eileen. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dopiero gdy powtórzyła głośniejszym głosem, szum cichych rozmów umilkł. Zaciekawione spojrzenia spoczęły na szczupłej blondynce. Ta podniosła się z siedzenia, choć nadal była niższa od potężnej sylwety mechanika.

- Wiemy, jak daleko jest planetoida? - Sereda skinęła głową, wyszukując szybko dane na podręcznym notatniku. Nie chciała polegać jedynie na swojej pamięci, a wyglądało na to, że Eileen rzeczywiście ma jakiś pomysł.

- Zgodnie ze słowami jeńca, około dwudziestu pięciu jednostek astronomicznych - nie wierzyła co prawda do końca w te zeznania. Ponad osiemdziesiąt jednostek astronomicznych od Alfa Centauri A. Nawet światło potrzebowało więcej niż godzinę, by dotrzeć na tę odległość. Co skłoniło przeciwnika, by założyć tę instalację tak daleko?.

- No cóż, spory kawałek drogi dla myśliwca - miękki głos pani kapitan zdawał się wyciszać zaostarzającą się atmosferę.

- Proponuję wysłanie niewielkiego, dobrze dobranego zespołu myśliwskiego - sylwetka Rozmowsky emanowała pewnością siebie.

- Pociągniemy za sobą kontenery transportowe z oddziałami abordażowymi. To pozwoli na skryte podejście i atak bezpośrednio na instalację - Eileen podniosła dłoń, na znak, że jeszcze nie skończyła. Oficer uzbrojenia chciała coś dodać, ale widząc ten gest, otworzyła i zamknęła usta, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku.

- Nasza eskadra... - ten nacisk na słowo „nasza” wskazywał wyraźnie, że Rozmowsky sama chce poprowadzić akcję.

- ... przeprowadzi rozpoznanie, którego wyniki prześlemy zarówno tutaj, jak i bezpośrednio dla Drugiej Floty. Jeśli oddziały abordażowe nie zdołają opanować instalacji, wówczas „Westmoreland”, korzystając z naszych danych, roznieśnie przeciwnika w pył... .

W sali zapadła cisza. Słysząc było ledwie uchwytny szum powietrza w przewodach wentylacyjnych. Zgrabna kapitan przedstawiła plan, jawiący się jako niemal doskonały. Aż dziw brał, że nikt na niego wcześniej nie wpadł.

- Ciekawe, jak pani zamierza utrzymać żołnierzy przy życiu, przez trzy miesiące w kontenerze transportowym? - główny mechanik nie omieszkał wbić szpilki w propozycję Eileen. Niezrażona powątpiewającym tonem mężczyzny, odparła.

- Myślałam o wykonaniu mikroskoku przez „Westmorelanda”. Pojawilibyśmy się w odległości około czterech jednostek astronomicznych za planetoidą, od strony otwartego kosmosu. Na połowie mocy dotrzemy tam w ciągu dwudziestu dni. Nie przeczę, będziemy potrzebować dodatkowych zbiorników paliwa, kontenery też trzeba będzie odpowiednio przygotować. I zawsze mamy plan awaryjny - zakończyła z naciskiem.

- Ze swojej strony powiem tylko tyle - odezwał się naraz Lovat - jeśli dokooptujemy do zespołu M.A.V.E - choćby Hellhouna, to mogę zapewnić, że da się w nim przeżyć więcej niż dwadzieścia dni - spojrzał rozognionym wzrokiem na komandor Serebę.

- Za pozwoleniem, chciałbym poprowadzić atak na powierzchnię...

Wokół stołu rozpętała się burza dyskusji. Kolejne argumenty łamały opór przeciwników planu. Wreszcie pozostał jedynie główny mechanik i oficer uzbrojenia. I chociaż oboje wyrazili głośny sprzeciw, oficerski zespół dowodzenia pod przewodnictwem komandor Seredy podjęli decyzję...

### Rozdział 7

## STRACENICY

W otchłani mroku kosmosu panował zwodniczy spokój. Odległe światło gwiazd nie odbijało się w matowych kadłubach dziewięciu myśliwców klasy „Wasp”. Płynęły w przestrzeni, w ciasnym szyku. Idąca na końcu szyku Rozmowsky doskonale widziała swój zespół. Zastanawiała się przez chwilę, czy aby nie postawiła wszystkiego na jedną kartę. Miała nadzieję, że lot skrzydło w skrzydło pozwoli zminimalizować ryzyko wykrycia.

- No chyba, że jakiś żółtek, jednym strzałem zaliczy od razu dziewięć trafień - rzuciła na głos w pustkę kokpitu. Istotnie, dobrze wycelowana głowica mikroraket mogła w sprzyjających okolicznościach załatwić całą eskadrę.

- Mówiłaś coś? - drgnęła przestraszona, słysząc przytłumiony, płaski głos Lovata, dobiegający za pośrednictwem prowizorycznego interkomu. Uśmiechnęła się pod nosem do siebie. Na śmierć zapomniała o tym „drobnym” usprawnieniu. Każdy myśliwiec otrzymał zapasowy moduł łączności z uszkodzonych pancerzy zmechanizowanych, by mieć jakąkolwiek łączność z „podopiecznymi”, ukrytymi w kontenerach transportowych.

- Pytałam, jak się czujesz Lonny? - Skłamała na szybko, zastanawiając się, jak porucznik radzi sobie w niewielkiej przestrzeni kokpitu M.A.V.E. Piloci skafandrow bojowych mieli więcej miejsca. Na każdą trójkę przypadała kapsuła ratunkowa. Choć przez chwilę mogli w pełni się rozprostować, a fizjologia nie wymagała ekwilibrystyki. Przypomniała sobie gorące pocałunki mężczyzny w maszynowni „Westmorelanda” i naraz oblała się purpurą. Ileż mogłoby się wydarzyć w ciągu minionych dziewiętnastu dni. Jak dobrze poznałoby własne ciała?

- No cóż, skłamałbym mówiąc, że siedzenie tu jest moim marzeniem - rzucił z przekąsem Lovat. Wisiał nad fotelem, splatając nogi w kwiat lotosu. Na półnagim ciele lśnił pot. Umyślnie podkręcił ogrzewanie, tworząc sobie półgodzinną saunę. Zamknął oczy, nie chcąc spoglądać wciąż na ciemność za oknem. Słuchając ciepłego głosu Eileen, wyobrażał sobie, że jest tuż za nim, szepcząc wprost do ucha. Na holograficznym wyświetlaczu widniał wizerunek nieregularnej planetoidy. Ostatnie sześć dni bez przerwy konferowali, starając się ułożyć plan doskonały. Trzy drony rozpoznawcze zdołały nakreślić zarys kolonii, odkryć trzy obszary zabójczego promieniowania. Rozległe pole minowe otaczało planetoidę ze wszystkich stron. Udało się wykryć jedynie niewielki, czysty tunel prowadzący do wnętrza strzeżonej strefy.

Lovat znał wszystkie te elementy na pamięć. Miłosiernie nie pastwił się nad nikim, zaznaczając „...a nie mówiłem...”. Sądząc po ilości zabezpieczeń, ewentualna realizacja planu głównego mechanika skończyłaby się efektownym zejściem w stylu kamikaze. Zerknął na dół. Z tej strony trójwymiar wyglądał dziwnie. Niczym żyjący, pulsujący organizm. Sprawiała to głowica projektora.

- Gdybyś tu była na dole, ten przymusowy areszt byłby zdecydowanie miłszy... - zastanawiał się przez chwilę, czy nie przesadził.

- ... tak - w tonie dziewczyny pobrzmiwała nuta erotyzmu - ... już to widzę. Jednak to prawda, co mówią o piechocie, sami zboczeńcy... - oczyma wyobraźni widział ją, jak protestuje. Bez jednego skrawka odzieży.

- ... sami zboczeńcy kochanie. A ty umawiasz się z ich dowódcą... - zachichotał. Obojgu było to potrzebne. Wiedzieli na co się piszą, ale potrzebowali tej odrobiny nadziei, że mimo wszystko wyjdą cało z bitewnej zawieruchy...

\* \* \*

*USSS „Westmoreland”*

*Mostek kapitański.*

*Godz. 03.17*

- Zgodnie z obserwacjami optycznymi, lada chwila powinni przeprowadzić separację - „Freddie” zameldował tonem znudzonego człowieka. Jak gdyby co kwadrans zdarzały mu się sytuacje mogące zaważyć na losie milionów. Nawet komandor Sereda wydawała się być przejęta losem niewielkiej grupki śmiazków. Skinęła głową, dziękując za meldunek. Odmiennie niż zazwyczaj, stała przy holografii, usiłując rozpoznać ewentualne zagrożenia. Odległość i konieczność zachowania całkowitej ciszy informacyjnej sprawiała, że byli jedynie biernymi obserwatorami. Po raz pierwszy w swojej karierze komandor zacięła kciuki z całej siły, by choć w ten sposób pomóc atakującym.

Pierwszy oficer, podniósł brwi w zdziwieniu. Nie znał pani komandor z tej strony.

- Mają sporą szansę - zaczął niespodziewanie, nawet dla siebie. Starał się włożyć w te słowa jak najwięcej otuchy.

- Wiem „Freddie”, wiem - westchnęła Sereda - ale jeśli im się nie uda, to po nas - operatorzy spojrzeli niespokojnie po sobie. W głosie kobiety pobrzmiwała obawa. Nigdy dotąd to się nie zdarzało... . Nie na mostku lotniskowca, gdzie zawsze dominowała twarda jak stal, niezniszczalna komandor.

- Zostanie jeszcze Harivan - „Freddie” usiłował znaleźć jakieś jaśniejsze strony sytuacji.

- Nie rozumiesz - „Pierwszy” z największym zaniepokojeniem dostrzegł nagle zawilgocenie oczu kobiety.

- Jeśli nam się nie uda, zginiemy wszyscy. Nie tylko „Westmoreland”, ale cała druga flota... - dodała ciszej drżącym głosem.

\* \* \*

### *Czwarta eskadra myśliwska. Godz. 04.21*

Bezgłośnie eksplodowały pironaboje, uwalniając transportowe kontenery z więzi, łączących je z myśliwską osłoną. Od tej pory każdy z nich był zdany na siebie. Eileen obserwowała swój, nie zdając sobie sprawy z tego, że przygryza wargę. Tam była najbliższa jej osoba. Decydując się na udział w locie do Alfa Centauri, zdawała sobie sprawę, że zostawia za sobą przyjaciół i rodzinę. Wojna była najmniej sprzyjającą okolicznością, by nawiązać romans. „Serce nie wybiera” - pomyślała z przekąsem. Kontener rozmył się w ciemnościach. Mogła go jeszcze dostrzec przez teleskop optyczny. Potrząsnęła głową. Musiała zająć się swoim zadaniem. Posłała ostatnie, poże-



gnalne spojrzenie Lovatowi, po czym skupiła uwagę na trójwymiarowym ekranie taktycznym. Zgodnie z przyjętym wcześniej planem, myśliwce, uwolnione od ciężaru ładunku, powoli oddalały się od siebie.

Nikt nie zgłaszał awarii. Odetchnęła głęboko. Nawet jeśli coś przegapiła, było już za późno. Spojrzała wprost w rozgwieżdżone niebo, poprzez dane wyświetlane na soczewce kontaktowej. Gdzieś tam tkwiła chińska planetoida. I, być może, dziesiątki maszyn przeciwnika... . Nagle, przed jej oczyma zabłysł szary romb oznaczający niezidentyfikowany obiekt. Jak gdyby wywołała go myślami. Obok pojawiła się prędkość celu i kąt lotu względem pozycji pani kapitan. Już wiedziała, że skryte podejście się nie udało.

- Do wszystkich - włączyła kanał łączności bezpośredniej. Z zawziętością w głosie wypaliła.

- Rozpoczynamy bal trochę wcześniej. Przekazuję dane. Moja trójka atakuje oznaczony cel. Pozostali, ruszacie zgodnie z planem! - gdy wypowiedziała te słowa, cały stres spłynął z niej. Wypełnił ją spokój. Powoli, bez pośpiechu, obróciła myśliwiec w stronę pojazdu przeciwnika. Systemy celownicze natychmiast podały koordynaty strzału dla uzbrojenia pokładowego. W przestrzeń pomknęła cała kiść laserowych impulsów. Komputer pracowicie rejestrował trafienia.

- Boże, a co, jeśli to jakiś śmieć.... - odezwała się nagle sama do siebie, z gardłem ściśniętym przez strach, że oto skazała wszystkich na zagładę, ujawniając przedwcześnie swoje istnienie.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa, odległa maszyna przeciwnika zamieniła się w krótki rozbłysk i rozpraszające się, żarzące się szczątki płatowca. Dopiero teraz, systemy pokładowe zdołały zidentyfikować przeciwnika. Obok powoli rozmywającej się ikony, pojawił się napis

„Bat”. Przeczucie jej nie myliło. Być może, jej interwencja była spóźniona, ale uniemożliwiła przeciwnikowi namierzanie całego zespołu.

Dwa pozostałe klucze znikły w mroku, oddalając się od dowódcy. Każdy z nich był zdany na siebie. Spoglądając na ostatnie odczyty, przesunęła dźwignię mocy do przodu. Jej boczni zareagowali z minimalnym opóźnieniem, ale niewiele. Uśmiechnęła się pod nosem. Zarówno Locknar jak i Dervan zgłosili się na ochotnika. Eileen nie wyobrażała sobie nikogo innego u swojego boku.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie uruchomić aktywnego rozpoznania, ale ubiegł ją klucz numer dwa, prowadzony przez dowódcę osłony myśliwskiej „Westmorelanda”. Holografia rozbłysła dziesiątkami szczegółowych informacji. Rozmowsky cmoknęła z uznaniem. Miny kierunkowe, kilkanaście platform raketowych, wreszcie dokładny skan budowli powierzchniowych.

- Ma fantazję, gnojek - mruknęła pod nosem. Chińczycy, jak gdyby ocknęli się z letargu. W stronę klucza pomknęły pociski. Wyglądało to tak, jak gdyby dowódca osłony rozbił gniazdo os. Cała trójka odpaliła automatyczne wabie. Drony pomknęły wprost na pole minowe. Eileen aż zmrużyła oczy, gdy przestrzeń przed nimi rozbłysła kilkunastoma eksplozjami nuklearnymi.

Pod ich osłoną przemknęli wprost ku bezpiecznej ścieżce wlotowej. Widząc na ekranie kolejne ikony oznaczające myśliwce przeciwnika, startujące gdzieś z powierzchni planetoidy, Rozmowsky rozchyliła usta w drapieżnym uśmiechu. Choć raz przyłapali Chińczyków bez spodni. Nawet jeśli gdzieś w mroku przestrzeni czaiła się osłona myśliwska, spóźniła się. Kilkadziesiąt sekund należało do Rozmowsky i jej ludzi. Zamierzała wykorzystać każdą z nich do cna. Odbezpieczyła ciężki pocisk manewrujący, umieszczony centralnie pod kadłubem myśliwca.

- Ostrzelajcie ich przy końcu tunelu - mruknęła na kanale łączności bezpośredniej. Nie chciała odrywać dłoni od konsol sterujących. Mrugnęło potwierdzenie na ekranie i w rogu trójwymiarowego obrazu widzianego przez Eileen. „Czy zdołali się przedostać przez kanał wejściowy?” błyskawica niepokoju przemknęła jej przez głowę. Nie miała już czasu zastanawiać się. Widziała wyraźnie efekty trafień impulsów laserowych Locknara. Teraz nadszedł jej czas. „Wasp” pani kapitan zakołysał się uwolniony od masy ciężkiego pocisku. Rozmowsky dostrzegła go przez moment, gdy uruchamiał się główny silnik raketowy. Ciemny, wydłużony kształt znikł, nabierając prędkości. Eileen natychmiast zmieniła kurs, wiedząc, że start został zarejestrowany na wszystkich możliwych skanerach w okolicy.

Moment później, rozpętało się piekło...

\* \* \*

*Kontener transportowy C-XX-23 W.  
Godz. 4.28*

Lovat poprawił się w fotelu, dociskając mocniej pasy. Ku swojemu zdumieniu dostrzegł drżenie lewej dłoni opartej na dźwigni sterującej napędem. „Starzeję się” - pokręcił przecząco głową. Od niechcenia musnął przyciski uruchamiające pironaboje przedniej części kontenera. Bezgłośnie zabłyśły, rozrzucając blachy na boki. Na wprost widniała planetoida. Tuż przed nim, w szalonym pędzie przemknęła chińska maszyna. Porucznikowi wydawało się nawet, że dostrzegł przez moment zdziwioną twarz pilota. Niewielki glob potężniał z całą siłą. Nim zdążył zareagować, komputer nawigacyjny uruchomił silniki hamujące. Czuł jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Plat-

forma wpadła w lekki ruch wirowy, rozrzucający resztę metalowych szczątków byle dalej. Jedna z blach lecących równoległe do Lovata wyparowała trafiona potężnym impulsem laserowym. Nagle całą okolicę zalało jasne światło nuklearnej eksplozji. Osłona kokpitu M.A.V.E Lovata natychmiast przybrała czarną, nieprzepuszczalną barwę. Pilot nie zdążył się nawet przestraszyć. Zabłyśł alarm o promieniowaniu, ale natychmiast zgasł. Porucznik wy dostał się poza zasięg eksplozji. Świadczyła o tym wyraźnie osłona, rozjaśniająca się z każdą chwilą. W samą porę, bowiem pokryta kraterami, szara powierzchnia planetoidy była już blisko. Kontener automatycznie uruchomił ostatni stopień hamujący, zmniejszając prędkość do minimum. Trzasnęły blokady przytrzymujące dotąd „Hellhouna” w miejscu.

- Czas na skok - mruknął do siebie Lovat i postąpił krok naprzód. Maszyna zsunęła się z platformy. Chwilę później przyziemiła, wznosząc ogromny tuman pyłu. Obok, z minimalnym opóźnieniem, bezgłośnie gruchnęły resztki kontenera. Porucznik nie tracąc czasu, ruszył. M.A.V.E ocieźale, majestatycznie kroczył naprzód, powoli wychodząc poza obszar lądowania. Systemy kontroli ruchu pilnowały, by maszyna nie oderwała się od podłoża, balansując pomiędzy prędkością, a siłą przyczepności. Ze zmechanizowanych łap wysunęły się dodatkowe haki, krusząc zwietrzałe skały.

Na ekranie taktycznym pojawiły się trzy zgłoszenia zespołów, dowodzonych przez Feretti. Oznaczało to jedynie, że w całości dotarli do powierzchni. Natychmiast oznaczył kierunek marszu. Chciał jak najszybciej przejść na drugą stronę planetoidy, by uniknąć ostrzału z myśliwców. Szedł o zakład, że przeciwnik, przelatując mu przed dziobem, doskonale widział, co mija. Zacisnął zęby, spoglądając na odczyt prędkości. Niespełna dwadzieścia

kilometrów na godzinę było wszystkim, na co pozwalały urządzenia M.A.V.E. Przez chwilę czuł pokusę, by wyłączyć ograniczenia. Zacisnął zęby i porzucił straceńczą myśl. Utrata kontaktu z powierzchnią byłaby wyrokiem śmierci. Szary pejzaż urywał się ostrą linią tuż przed nim. Świadczyło to aż nadto wyraźnie, że dotarł do górnej krawędzi niewielkiego globu. Dostrzegł z prawej strony ruch. Systemy celownicze natychmiast oznakowały ten punkt. Romb przez chwilę był szary, by rozblysnąć uspokajającą zielenią.

- Spokojnie nerwusie - na kanale łączności bezpośredniej rozbrzmiał odległy głos porucznik Feretti. Za nią pojawili się kolejni. Lovat z zadowoleniem obserwował następne ikony pojawiające się na ekranie taktycznym. W tym czasie M.A.V.E. zdążył przekroczyć linię światła i zanurzył się w mrok rzucany przez obłę, popielate szczyty przypominające głowy cukru. Znikła gdzieś odległa, rozpalona kula Alfa Centauri A. Lovat podniósł wzrok znad ekranu i zamarł. Otworzył usta, nie zdając sobie z tego sprawy. Daleko przed sobą widział dwa potężne kable nadprzewodnika. Biegły wprost w przestrzeń, ku ażurowej konstrukcji, przypominającej szkolny model walca. Gdyby w tej chwili zaatakował przeciwnik, zniszczyłby cały desant. Żaden z Amerykanów nie spodziewał się bowiem takiego monumentalnego widoku. Kosmos mylił wzrok, ale odczyty urządzeń wskazywały wyraźnie, że rozpiętość urządzenia przekraczała sto kilometrów.

- Rany boskie, co to takiego? - porucznik usłyszał czyjś nabożny szept. Istotnie, w dziedzinie wielkich konstrukcji, państwo Środka nie miało sobie równych.

Nagły alarm zbliżeniowy otrzeźwił Lovata. Wróg dopiero teraz reagował na desant. Pomędzy odległymi głazami pojawiły się sylwetki w lekkich skafandrach bojowych. Jeden z kinetycznych pocisków uderzył w przedni

pancerz „Hellhouna”, natychmiast wywołując alarm nadmiernego przeciążenia kadłuba. Każde trafienie mogło spowodować, że ciężka maszyna oderwie się od powierzchni. Pilot nie tracąc czasu nacisnął spust, zasypując przeciwnika gradem impulsów laserowych.

- Feretti, do przodu! - warknął przez zaciśnięte zęby, nie tracąc czasu na ekran taktyczny - osłonię wasz atak!  
- Nim skończył mówić, zmechanizowane panczerze w szerokiej linii ruszyły naprzód. Na wpeł zgięci, starali się ominąć miejsce starcia, korzystając z tego, że przeciwnik skupił się na unieszkodliwieniu „Hellhouna”.

Kilka starannie wycelowanych pocisków przeszło pancierz nóg. Lovat zerknął na raport uszkodzeń. Gdzieś z przodu musiał zacząć się snajper. Próbował go unieruchomić. System raportował spadek ciśnienia w układach hydraulicznych. Nie mając już nic do stracenia, porucznik uruchomił aktywny skan okolicy. Ryzykował ściągnięcie na siebie ognia, ale opłacało się. Na ekranie taktycznym, niczym króliki z kapelusza, zaczęły pojawiać się kolejne punkty. Każdy z nich oznaczał wroga. Kolejny strzał zatrzęsł M.A.V.E. Osłona kokpitu pękła. W jednej części natychmiast ściemniała, gdy ciecz uwięziona pomiędzy taflami zablokowała dziurę po pocisku. Strzał minął pilota o włos, robiąc potężną dziurę w tylnej ścianie. System rozpoznania natychmiast wyznaczył trajektorię i oznaczył prawdopodobne miejsca ukrycia strzelca.

- To sobie teraz zatańczymy - ponuro mruknął Lonny Lovat, naciskając spust wyrzutni raketowej. Pocisk pomknął naprzód, zostawiając za sobą nikłą smugę szybko rozpraszającego się dymu. Bezgłośnie eksplozja rozrzuciła całą grupę głazów. Kilka z nich zaczęło oddalać się od powierzchni planetoidy. Wśród nich dostrzegł bezładnie miotającego się człowieka. Jeden impuls laserowy wystarczył, by spalić go na popiół.

- I zapamiętaj to sobie... - warknął pilot. Widok dziury w kokpicie, zamiast przestraszyć, rozjuszył go. Dostrzegłszy na ekranie, że zespół Feretti wyszedł na tyły improwowanej chińskiej pozycji obronnej, ruszył na przód.

Powolna szarża M.A.V.E, a nade wszystko rykoszetujące od niego pociski, wzbudziły wśród chińskich żołnierzy panikę. Zaczęli się cofać, padając pod ostrzałem broni zmechanizowanych pancerzy. Ginęli nie wiedząc, kto ich zabił.

Nagle, dwa skafandry bojowe, idące na samym skraju szyku zniknęły z ekranu.

- Straciłam dwóch ludzi - krótki meldunek Feretti potwierdził to, co Lonny widział na ekranie. Chwilę później, na samej krawędzi hologramu pojawiły się dwie ikony z opisem „Pu-Ren”.

- Czyli jednak mają tu coś cięższego - mruknął pod nosem porucznik. Feretti uznała, że słowa były skierowane do niej i odpowiedziała.

- Nie sądziłeś chyba, że będziemy walczyć tylko z lekką piechotą...

- To nie do ciebie - zachnął się Lovat, wykonując powolny skręt - nic tu po was - dodał, odbezpieczając taktyczne głowice nuklearne małej mocy.

- Zamierzam im pokazać, jak wygląda armagedon...

\* \* \*

*Czwarta eskadra myśliwska.*

*Godz. 04.57*

Zza odległej sfery pola minowego, otaczającego planetoidę wysunęło się siedem chińskich maszyn bojowych. Lufy dział laserowych raz po raz pulsowały krwistą czer-

wienia, wysyłając w przestrzeń niewidoczne dla oka, mordercze impulsy energii. Jeden z nich okazał się celny. Ciemności wiecznej nocy kosmosu rozjaśnił krótki spazm termonuklearnego wybuchu, oznaczającego zagładę napastnika.

Rozmowsky zacisnęła zęby, widząc śmierć jednego z podwładnych. Sam był sobie winien, nie trzymając się ustalonego wcześniej planu. Jego niesubordynacja miała jednak niespodziewany finał. Cały chiński zespół był widoczny dla klucza Eileen jak na dłoni. Nieświadomi, powoli wchodzili wprost w paszczę śmierci. Skanowali przestrzeń gdzieś daleko za szczątkami zniszczonej maszyny, rozpraszającymi się w próżni. Rozmowsky błyskawicznie oznaczyła cele.

Gdy tylko na ekranie taktycznym pojawiło się ostrzeżenie o rosnącej sile sygnałów detekcyjnych, nacisnęła spust. Skrzydłowi spóźnili się tylko o ułamek sekundy. Lawina ognia zaskoczyła chińskich pilotów. Pierwszych trzech zamieniło się w obłoki pary, zanim zdążyli się zorientować, że znaleźli się w zasadzce. Drugi klucz, osłonięty przed bezpośrednim ogniem, zareagował błyskawicznie, uciekając w wariackich zwrotach byle dalej. Dla detektorów „Wasp”, dysze silników były niczym jasne reflektory pośrodku nocy. Eileen przeniosła ogień na jednego z uciekających. Pierwszych dwóch serii laserowych Chińczyk zdołał uniknąć. Trafił go jedynie pojedynczy pocisk z działa Gaussa. Uszkodzenie spowodowało przeciek. Systemy rozpoznania zasygnalizowały rozszerzającą się chmurę wodoru. Na twarzy Rozmowsky wykwitł zły uśmiech. Przełączyła broń pokładową na pełną salwę. Skondensowane uderzenie energii zniszczyło pojazd przeciwnika.

- Uwaga, odgryzają się! - usłyszała ostrzeżenie Derwan, rzucone wysokim, tętniącym emocją głosem. Myśli-



wiec Eileen szarpnął się gwałtownie do góry. Komputer zareagował niemal w ostatniej chwili, schodząc z linii strzału. Jej boczna nie miała tyle szczęścia. Skoncentrowana seria mikrorakiet przeszła środkową część kadłuba Anny. Pociski rozerwały jedną z baterii neutronowych. Nagła eksplozja odrzuciła maszyny Locknara i Rozmowsky w przeciwnych kierunkach.

Spocona kapitan, z zaciśniętymi ustami, usiłowała opanować wirującą maszynę. Kokpit rozjaśniły wszystkie możliwe alarmy. Gdzieś w tyle głowy kołatała jej myśl, że trajektoria ataku z góry świadczyła o niewykrytym przeciwniku, który zrobił sobie na nich polowanie.

„Zasadzka na zasadzkę” – pomyślała z przekąsem. Powoli stabilizowała lot. Dopiero teraz pozwoliła sobie na szybkie skontrolowanie stanu technicznego myśliwca. Najpoważniej wyglądał spód pojazdu, który przyjął na siebie cały impet eksplozji. Temperatura poszycia przekraczała grubo tysiąc stopni Celsjusza, mimo tego, że systemy chłodzące zużywały litry wodoru, by zniwelować piekielne ciepło. Zdawała sobie sprawę, że jest niczym latarnia na tle ciemnego brzegu. Można ją było dostrzec nawet przez lornetkę. Nie mając wiele do stracenia, uruchomiła wyrzutnie celów pozornych. Przestrzeń dookoła zaroila się od aluminiowych reflektorów, pułapek termicznych i generatorów gazowych. Rozmowsky zmieniła rozdzielczość ekranu taktycznego, tak, by mogła obserwować przestrzeń bezpośrednio otaczającą myśliwiec. Z zaciśniętymi pięściami oczekiwała na uderzenie wrogich pocisków. Nic takiego nie następowało. Dolne powierzchnie płatowca zaczęły się schładzać. Liczniki temperatury biegły w dół coraz szybciej. Nie czekała dłużej. Zainicjowała pojedyncze uruchomienie rufowych silników korekcyjnych. Myśliwiec powoli wypłynął poza obszar rozrzuconych pułapek. Minutę później w miejscu, z

którego startowała, eksplodowała seria mikrorakiet, a zaraz później głowica większego kalibru. Widząc to, w pierwszej chwili chciała przesunąć dźwignię mocy do końca, by uciekać, ratować się. Tak krzyczała jedna część umysłu, widząc błyski eksplozji za rufą. Opanowała się w ostatniej chwili, zdając sobie sprawę, że cały obszar jest skanowany przez przeciwnika. Uruchamiając główne silniki, nawet na minimalnej mocy, podawała siebie na tacy...

\* \* \*

*Oddział uderzeniowy por. Ferreti.  
Godz. 05.05*

Czternaście postaci w ciężkich, zmechanizowanych skafandrach, w groteskowej pozie, na czworakach przesuwało się w stronę zabudowań chińskiej kolonii. Były one ledwie widocznych spod zwałów szarego pyłu, Porucznik nie mogła się oprzeć, by od czasu do czasu nie spoglądać za siebie. Przez pancerną szybę cały czas można było dostrzec instalację kosmicznej bramy. Gdzieś poniżej rozbłysły dwa wybuchy. Kilka leżących w pobliżu głazów oderwało się od powierzchni. Zespół Ferreti również odczuł tąpnięcie.

- Oho, dyrektor sięgnął po mocne argumenty - rzucił z przekąsem Herns, gdy daleko z tyłu, za pośrednictwem soczewki kontaktowej, dostrzegł pole promieniowania oznaczone przez komputer pokładowy.

- Wyrażajcie się - zimno odpowiedziała Rita, obserwując zminimalizowaną mapę. Na hologramie widziała wyraźnie pojazd dowodzącego operacją Lovata.

- Herns, twoja sekcja zabezpiecza teren do wejścia. Dwójka wchodzi. Czwórka i ósemka po niej, jedenastka

razem ze mną na końcu – na potwierdzenie słów porucznik, ekrany taktyczne żołnierzy rozbłysły rozkazami. Bez zbędnych pytań, natychmiast przyjęli odpowiedni szyk. HERNs wraz z dwójką swoich ludzi znikł gdzieś z przodu. Zajęli pozycje, umożliwiające swobodny ostrzał we wszystkich kierunkach. Gdzieś w środku Rity zadrgała ludzka nuta. Oddziałowy pyskacz jako żywo przypominał jej Johsa, który zginął podczas szturm na „Mao”. Potrząsnęła głową. Rozczulanie się nad sobą i straconymi ludźmi nie było teraz najlepszym pomysłem.

Ze złością spojrzała na ekran. Brakowało jej dwunastu osób. O pozostałe dwa M.A.V.E nie zawracała sobie głowy. To było zmartwienie Lovata.

Kolejna nuklearna eksplozja zerwała z powierzchni planetoidy pryzmę gładów przed którą leżeli. Ferreti poderwała się na równe nogi. To był ostrzał przeciwnika. Nie mogąc powstrzymać desantu, zamierzał go po prostu wypalić, nie bacząc na ewentualne straty wśród swoich.

- Pani porucznik... - zaczął nieśmiało HERNs, ukryty gdzieś pośród niewielkich kraterów uderzeniowych.

- Tak, wiem... - sapnęła, idąc naprzód - ... zespół, zmiana planów. Atakujemy frontalnie wejście do środka. I szybko wyciągać nogi. Żółci zaczęli rzucać dużymi pigułkami... - jakby na potwierdzenie tych słów, wypowiedzianych jadowitym tonem, po obu stronach zespołu wykwitły błyski nuklearnych eksplozji małej mocy. Jeden z żołnierzy nie zdołał utrzymać się przy powierzchni. Jego słaby okrzyk znikł, gdy kolejny wybuch objął go swoim zasięgiem. Nikt się nie odwrócił, wszyscy parli naprzód, świadomi, że są dla przeciwnika niczym tarcza strzelnicza. Gdzieś w przestrzeni tkwiła chińska maszyna szturmowa, sprawiająca im taką gorącą łaźnię.

- Cholerne wsparcie myśliwców - mruzczała do siebie Ferreti, zbliżając się do niewielkiej, betonowej kopuły,

wystającej ponad powierzchnię planetoidy. Włączony kanał łączności sprawił, że wszyscy słyszeli jej narzekania.

- I kto tu powinien uważać na słowa... - wtrącił z przekąsem Herns. Jego głos drżał ze zdenerwowania, choć starał się tego nie okazywać - ... więcej zaufania pani porucznik, do naszych skrzydlatych przyjaciół...

Nic nie odpowiedziała, bowiem pokonali już ostatnie metry, stając przy chińskim posterunku obserwacyjnym. Dwójka saperów umieściła na szerokim wizjerze ładunek plazmowy. Słabo zabłysło zielonkawe światło, gdy ostrze o potwornej temperaturze zostało uwolnione z pułapki magnetycznej. Wypalony otwór jarzył się przez chwilę czerwonym blaskiem na krawędziach stopionych stalowych ram. Żołnierze Ferreti w porządku, bez paniki, kolejno wchodzili do środka z nastawioną do boju bronią.

Zdemolowane wnętrze było puste. Operatorzy bez wątpienia wycofali się stąd znacznie wcześniej, nim Amerykanie zdołali podejść do kopuły.

- Naprzód, wszyscy naprzód. Nie chcecie chyba, żeby chińska głowica przypaliła nam tyłki, jak już wbiliśmy się na imprezę... - porucznik ukrywała strach opryskliwością. Obawiała się, że wróg zdecyduje się odparować kopułę. Żołnierze ruszyli kupą w głąb szerokiego korytarza. Za nimi pozostał namiot powietrzny. Automat wypełnił nim całą kopułę, blokując otwór wyjściowy.

Ferreti stała przez chwilę, czekając aż ciemna powłoka wypełni szczelnie wyjście z korytarza. Rozważała z kamiennym spokojem, co czuje człowiek, gotujący się w blasku nuklearnej pożogi.

- Przebiliśmy pancerne drzwi - zameldował Herns. Dostrzegła lekkie ugięcie powłoki namiotu. Wskaźniki ciśnienia skoczyły w górę. Gdzieś w oddali rozległy się strzały z broni palnej. Chińska załoga bezskutecznie usiłowała walczyć z potężnie uzbrojonym przeciwnikiem.

Ferreti podeszła do dziury wypalanej w ciężkich drzwiach ciśnieniowych. Przed sobą widziała plecy trzech najbliższych żołnierzy.

Nagle pomiędzy nimi przemknął pojedynczy pocisk przeciwpancerny, przeszywając drzwi i grzęznąc gdzieś w stropie korytarza.

- Uwaga, mają karabiny Gaussa! - rozległo się czyjeś ostrzeżenie. Jak za dotknięciem magicznej różdżki, zator się rozładował. Żołnierze, stojący dotąd cierpliwie w miejscu, rozbiegli się. Rita, chcąc nie chcąc, jako ostatnia przeszła przez rozbite wrota. Systemy celownicze wychwyciły gdzieś w przodzie ruchomy cel. Nim zdążyła nacisnąć spust, w pojedynczego snajpera uderzyły trzy plazmowe pociski, zamieniając go w parę.

Minęła na wpół spalone zwłoki kilku obrońców. Na wprost stał też jeden z pancerzy zmechanizowanych. W plecach widniała szeroka, idealnie okrągła dziura, przez którą można było dostrzec barykadę na końcu tunelu. Wychyliła się z za zabitego. W tej samej chwili na obudowie zagrzecotały serie pocisków. Rozległ się charakterystyczny gwizd wystrzału z karabinu Gaussa i Ferreti poczuła szarpnięcie. Miała więcej szczęścia, niż rozumu. Wąski pocisk ledwie zahaczył o ramię, niszcząc kilka płyt pancerza. Nie naruszył skafandra pod spodem.

- Pani schowa głowę, pani porucznik - rozległ się flegmatyczny głos jednego z żołnierzy, ukrytych z przodu, w rozgałęzieniu tunelu - byłoby przykro, gdyby oberwała pani takim kalafiolem... - przeklinając własną nierozwagę, cofnęła się za unieruchomiony pancerz.

Widząc oznaczenie zabitego, podłączyła się do jego systemów celowniczych. Na wyświetlaczu soczewki kontaktowej natychmiast pojawiły się sylwetki przeciwnika. Wychyliła ramię uzbrojone w ciężki karabin plazmowy. Kolejne lance rozprężającego się gazu pomknęły w stronę

przeciwnika. Ten nie spodziewał się otwarcia ognia ze strony zabitego. I chociaż na uszkodzony pancierz spadła lawina ognia, było zbyt późno na reakcję. Skoncentrowany ostrzał Rity zniszczył barykadę i unicestwił jej obrońców.

- Dość tego pełzania - prychnęła nie bez nutki dumy.

- Dobrze zrobione szefowo - z ust Hernsa płynęły słowa pełne uznania. Mężczyzna nie zamierzał dać się komukolwiek wyprzedzić w drodze do sławy. Widziała, jak pierwszy przekracza szczątki barykady. Za nim szli inni...

\* \* \*

*Czwarta eskadra myśliwska.*

*Godz. 05.12*

Samotny „Wasp” przemknął tuż ponad linią bezpieczeństwa, poza którą czaiły się miny kierunkowe. Wygaśnię silniki i zaciemniony kokpit sprawiały wrażenie, że oto w przestrzeni dryfuje wrak myśliwca. Krótkie skrzydła, przebite w kilku miejscach, okopcony kadłub z wyżłobionymi trafieniami dopełniał tego obrazu. Jedynie z bliska można było dostrzec błękitne oczy kobiety, z uporem wpatrujące się w powierzchnię planetoidy. Czekwała na najmniejszy sygnał z powierzchni. Ale poza trzema zaobserwowanymi eksplozjami nuklearnymi, nie była w stanie dostrzec nic więcej. Obawiała się przesunąć dziób pojazdu w dół. To umożliwiłoby wykorzystanie optyki obserwacyjnej, ale jakikolwiek ruch mógłby ją zdradzić przed przeciwnikiem. To zaś oznaczało śmierć.

- Melduje się Locknar – usłyszała naraz podwładnego na otwartym kanale. Zmełała w ustach przekleństwo. Skrzydłowy, jak sztubak, mógł zgubić ich oboje.

- Na powierzchni planetoidy otworzyły się dwa silosy. Coś szykują... – spojrzała na holograficzną mapę. Locknar ryzykując życiem, oznaczył powierzchnię. Był po przeciwnej stronie planetoidy. Nagle całą okolicę rozjaśnił jasny blask. Jak gdyby po drugiej stronie pojawiło się słońce. Osłona kokpitu Eileen ściemniała, zabezpieczając wzrok pilota przed uszkodzeniem.

- Uciekaj stamtąd! – nie panując nad sobą, rzuciła w eter Rozmowsky. Wisząca osiemset kilometrów dalej, chińska maszyna szturmowa, szarpnęła się niczym pies na smyczy. Bez wątpienia namierzyła transmisję samotnego myśliwca. Eileen wiedziała, że nie ma już nic do stracenia. Jednym ruchem ręki ustawiła pojazd w pozycji do strzału i nacisnęła spust, nie czekając nawet na synchronizację linii celowniczych. Na tę odległość nie miało to większego znaczenia. Chińczyk zdołał wypuścić zaledwie kilka niecelnych pocisków z działa Gaussa, gdy salwy impulsów laserowych rozszarpały krępy kadłub szturmowca.

Nagły rozbłysk oślepił wszystkich w okolicy planetoidy. Sensory oszalały, wskazując nagły wzrost promieniowania i temperatury. Przez krótki moment, Eileen sądziła, że przeciwnik zdecydował się na samozniszczenie, by zabrać ich ze sobą. Myśliwiec zakołysał się, gdy dotarła doń fala uderzeniowa. Brak atmosfery sprawił jednak, że kadłub wytrzymał ją bez problemu. Ruch wsteczny został automatycznie skompensowany przez ciąg silników korekcyjnych. Rozmowsky zaryzykowała, uruchamiając aktywny skan. Holograficzna mapa została uzupełniona o szczegóły, wychwycone przez systemy rozpoznawcze. Ku swojemu zdumieniu dostrzegła ogromną wyrwę w polu

minowym. Rozbłysk odparował znaczną część ładunków kierunkowych. Desant na powierzchni musiał odnieść sukces, skoro zmusił Chińczyków do tak desperackiego kroku. Siła wybuchu nie pozostawiała złudzeń, co do jego źródła. Wróg odrzucił rdzenie plazmowe dostarczające energię planetoidzie. Zaseąpiła się. Szła o zakład, że na pokładzie „Westmorelanda” nie było zapasowych. Wyglądało na to, że zamiast przesłać wiadomość na Ziemię, pozostało im jedynie wysadzić całą konstrukcję. W ten sposób wykonaliby przynajmniej część rozkazu.

Jej uwagę przykuło pojedyncze zgłoszenie. Niepoprawny Locknar zgłaszał swoje istnienie. W jakiś sposób, po raz kolejny umknął spod kosy śmierci.

- Ty cholerny szczęściarzu... - mruknęła pod nosem w stronę ikony, oznaczającej myśliwiec swojego skrzydłowego. Ruszyła mu na spotkanie, bacząc, by nie zdradzić się żadnym nieostrożnym manewrem...

\* \* \*

*Oddział uderzeniowy por. Ferreti.*

*Godz. 05.18*

Gwałtowne wstrząsy, przewracające zmechanizowane pancerze niczym kręgle, wygasły. Szeroka, niska kawerna, w której zasadzono ziemskie rośliny, wyglądała jak po przejściu tornada. Gałęzie, krzaki i lekkie słupki wzmacniające posypały się na głowy żołnierzy Ferreti, przykrywając ich barwnym stosem śmieci. Żaden z elementów nie był na tyle ciężki, by czymkolwiek zagrozić ukrytym w egzoszkieletach ludziom.

- Co to było do diaska - zapytał drżącym jeszcze głosem Hens. Gdy rozpętało się to piekło, sądził, że wróg postanowił wysadzić planetoidę.



- Już się szykowałem do wjazdu, na autostradę do nieba - rzucił któryś z oddziałowych żartownisiów.

- Obrona określona - warknęła krótko Ferreti, ucinając pogawędkę - zakładam, że wysadzili istotną część kolonii, byśmy jej nie zdobyli... - przerwała na chwilę, oznaczając miejsca dla sekcji rozpoznawczych.

- ... to zaś oznacza, że mamy już blisko. Skupić się! - Potwierdzenia pojawiły się na mapie taktycznej błyskawicznie. Ferreti obróciła się z pleców na brzuch. Jednym ruchem, jak na ćwiczeniach, odbiła się od podłoża, używając siłowników rąk. Niewielka siła grawitacji nie była żadną przeszkodą. Wzrok porucznik pobiegł do góry. Na szklanym suficie dostrzegła głębokie pęknięcia. Bez wątpienia, kopuła oddzielająca kawernę od próżni zniosła eksplozję o wiele gorzej od nich.

- Ruszamy natychmiast! - Sensory rejestrowały, powiększający się z każdą chwilą, spadek ciśnienia w pomieszczeniu. Nie zamierzała sprawdzać, czy zdoła się utrzymać przy podłożu, gdy uszkodzona kopuła trzaśnie.

Wbiegali parami, wprost w szeroki, niski korytarz, którym wycofała się tylna straż przeciwnika. Posuwali się naprzód skokami. Rita z niepokojem obserwowała światło tunelu. Nie było żadnych odgałęzień, widocznych duków wentylacyjnych. Nic, gdzie można byłoby się ukryć.

Nagle za plecami grupy rozległ się metaliczny huk. Ferreti, idąca jako ostatnia, obróciła się błyskawicznie, usiłując namierzyć przeciwnika. Nic nie dostrzegła. Poza tym, że otwór wyjściowy zniknął. Komputery kolonii musiały zareagować na spadek ciśnienia w ogrodzie, uruchamiając zapory, zapobiegające dekompresji w innych pomieszczeniach.

- Pani porucznik... - usłyszała niepewny głos sierżanta. Zdziwiona tym tonem, mruknęła bardziej do siebie, niż do podwładnego.

- Nie do wiary, HERNs onieśmielony. To wygląda, jak podpis obrazka ze świętym... - nie skończyła mówić, gdy z przodu tunelu zabłysło światło. W nienaturalnym, ostrym blasku dostrzegła kilkanaście postaci. Wszystkie miały wysoko podniesione ręce. W dłoni pierwszej z nich widniała biała flaga...

### Rozdział 8

## STRACENICY

W otchłani mroku kosmosu panował zwodniczy spokój. Odległe światło gwiazd nie odbijało się w matowych kadłubach dziewięciu myśliwców klasy „Wasp”. Płynęły w przestrzeni, w ciasnym szyku. Idąca na końcu szyku Rozmowsky doskonale widziała swój zespół. Zastanawiała się przez chwilę, czy aby nie postawiła wszystkiego na jedną kartę. Miała nadzieję, że lot skrzydło w skrzydło pozwoli zminimalizować ryzyko wykrycia.

- No chyba, że jakiś żółtek, jednym strzałem zaliczy od razu dziewięć trafień - rzuciła na głos w pustkę kokpitu. Istotnie, dobrze wycelowana głowica mikrorakiet mogła w sprzyjających okolicznościach załatwić całą eskadrę.

- Mówiłaś coś? - drgnęła przestraszona, słysząc przytłumiony, płaski głos Lovata, dobiegający za pośrednictwem prowizorycznego interkomu. Uśmiechnęła się pod nosem do siebie. Na śmierć zapomniała o tym „drobnym” usprawnieniu. Każdy myśliwiec otrzymał zapasowy moduł łączności z uszkodzonych pancerzy zmechanizowanych, by mieć jakąkolwiek łączność z „podopiecznymi”, ukrytymi w kontenerach transportowych.

- Pytałam, jak się czujesz Lonny? - Skłamała na szybko, zastanawiając się, jak porucznik radzi sobie w niewielkiej przestrzeni kokpitu M.A.V.E. Piloci skafandrów bojowych mieli więcej miejsca. Na każdą trójkę przypadała kapsuła ratunkowa. Choć przez chwilę mogli w pełni się rozprostować, a fizjologia nie wymagała ekwilibrystyki. Przypomniała sobie gorące pocałunki mężczyzny w maszynowni „Westmorelanda” i naraz oblała się purpurą. Ileż mogłoby się wydarzyć w ciągu minionych dziewiętnastu dni. Jak dobrze poznałoby własne ciała?

- No cóż, skłamałbym mówiąc, że siedzenie tu jest moim marzeniem - rzucił z przekąsem Lovat. Wisiał nad fotelem, splatając nogi w kwiat lotosu. Na półnagim ciele lśnił pot. Umyślnie podkręcił ogrzewanie, tworząc sobie półgodzinną saunę. Zamknął oczy, nie chcąc spoglądać wciąż na ciemność za oknem. Słuchając ciepłego głosu Eileen, wyobrażał sobie, że jest tuż za nim, szepcząc wprost do ucha. Na holograficznym wyświetlaczu widniał wizerunek nieregularnej planetoidy. Ostatnie sześć dni bez przerwy konferowali, starając się ułożyć plan doskonały. Trzy drony rozpoznawcze zdołały nakreślić zarys kolonii, odkryć trzy obszary zabójczego promieniowania. Rozległe pole minowe otaczało planetoidę ze wszystkich stron. Udało się wykryć jedynie niewielki, czysty tunel prowadzący do wnętrza strzeżonej strefy.

Lovat znał wszystkie te elementy na pamięć. Miłosiernie nie pastwił się nad nikim, zaznaczając „...a nie mówiłem...”. Sądząc po ilości zabezpieczeń, ewentualna realizacja planu głównego mechanika skończyłaby się efektownym zejściem w stylu kamikaze. Zerknął na dół. Z tej strony trójwymiar wyglądał dziwacznie. Niczym żyjący, pulsujący organizm. Sprawiała to głowica projektora.

- Gdybyś tu była na dole, ten przymusowy areszt byłby zdecydowanie miłszy... - zastanawiał się przez chwilę, czy nie przesadził.

- ... tak - w tonie dziewczyny pobrzmiwała nuta erotyzmu - ... już to widzę. Jednak to prawda, co mówią o piechocie, sami zboczeńcy... - oczyma wyobraźni widział ją, jak protestuje. Bez jednego skrawka odzieży.

- ... sami zboczeńcy kochanie. A ty umawiasz się z ich dowódcą... - zachichotał. Obojgu było to potrzebne. Wiedzieli na co się piszą, ale potrzebowali tej odrobiny nadziei, że mimo wszystko wyjdą cało z bitewnej zawieruchy... .

\* \* \*

*USSS „Westmoreland”*

*Mostek kapitański.*

*Godz. 03.17*

- Zgodnie z obserwacjami optycznymi, lada chwila powinni przeprowadzić separację - „Freddie” zameldował tonem znudzonego człowieka. Jak gdyby co kwadrans zdarzały mu się sytuacje mogące zaważyć na losie milionów. Nawet komandor Sereda wydawała się być przejęta losem niewielkiej grupki śmiazków. Skinęła głową, dziękując za meldunek. Odmiennie niż zazwyczaj, stała przy holografii, usiłując rozpoznać ewentualne zagrożenia. Odległość i konieczność zachowania całkowitej ciszy informacyjnej sprawiała, że byli jedynie biernymi obserwatorami. Po raz pierwszy w swojej karierze komandor zacięła kciuki z całej siły, by choć w ten sposób pomóc atakującym.

Pierwszy oficer, podniósł brwi w zdziwieniu. Nie znał pani komandor z tej strony.

- Mają sporą szansę - zaczął niespodziewanie, nawet dla siebie. Starał się włożyć w te słowa jak najwięcej otuchy.

- Wiem „Freddie”, wiem - westchnęła Sereda - ale jeśli im się nie uda, to po nas - operatorzy spojrzeli niespokojnie po sobie. W głosie kobiety pobrzmiwała obawa. Nigdy dotąd to się nie zdarzało... . Nie na mostku lotniskowca, gdzie zawsze dominowała twarda jak stal, niezniszczalna komandor.

- Zostanie jeszcze Harivan - „Freddie” usiłował znaleźć jakieś jaśniejsze strony sytuacji.

- Nie rozumiesz - „Pierwszy” z największym zaniepokojeniem dostrzegł nagle zawilgocenie oczu kobiety.

- Jeśli nam się nie uda, zginiemy wszyscy. Nie tylko „Westmoreland”, ale cała druga flota... - dodała ciszej drżącym głosem.

\* \* \*

### *Czwarta eskadra myśliwska. Godz. 04.21*

Bezgłośnie eksplodowały pironaboje, uwalniając transportowe kontenery z więzi, łączących je z myśliwską osłoną. Od tej pory każdy z nich był zdany na siebie. Eileen obserwowała swój, nie zdając sobie sprawy z tego, że przygryza wargę. Tam była najbliższa jej osoba. Decydując się na udział w locie do Alfa Centauri, zdawała sobie sprawę, że zostawia za sobą przyjaciół i rodzinę. Wojna była najmniej sprzyjającą okolicznością, by nawiązać romans. „Serce nie wybiera” - pomyślała z przekąsem. Kontener rozmył się w ciemnościach. Mogła go jeszcze dostrzec przez teleskop optyczny. Potrząsnęła głową. Musiała zająć się swoim zadaniem. Posłała ostatnie, poże-

gnalne spojrzenie Lovatowi, po czym skupiła uwagę na trójwymiarowym ekranie taktycznym. Zgodnie z przyjętym wcześniej planem, myśliwce, uwolnione od ciężaru ładunku, powoli oddalały się od siebie.

Nikt nie zgłaszał awarii. Odetchnęła głęboko. Nawet jeśli coś przegapiła, było już za późno. Spojrzała wprost w rozgwieżdżone niebo, poprzez dane wyświetlane na soczewce kontaktowej. Gdzieś tam tkwiła chińska planetoida. I, być może, dziesiątki maszyn przeciwnika... . Nagle, przed jej oczyma zabłysł szary romb oznaczający niezidentyfikowany obiekt. Jak gdyby wywołała go myślami. Obok pojawiła się prędkość celu i kąt lotu względem pozycji pani kapitan. Już wiedziała, że skryte podejście się nie udało.

- Do wszystkich - włączyła kanał łączności bezpośredniej. Z zawziętością w głosie wypaliła.

- Rozpoczynamy bal trochę wcześniej. Przekazuję dane. Moja trójka atakuje oznaczony cel. Pozostali, ruszacie zgodnie z planem! - gdy wypowiedziała te słowa, cały stres spłynął z niej. Wypełnił ją spokój. Powoli, bez pośpiechu, obróciła myśliwiec w stronę pojazdu przeciwnika. Systemy celownicze natychmiast podały koordynaty strzału dla uzbrojenia pokładowego. W przestrzeń pomknęła cała kiść laserowych impulsów. Komputer pracowicie rejestrował trafienia.

- Boże, a co, jeśli to jakiś śmieć.... - odezwała się nagle sama do siebie, z gardłem ściśniętym przez strach, że oto skazała wszystkich na zagładę, ujawniając przedwcześnie swoje istnienie.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa, odległa maszyna przeciwnika zamieniła się w krótki rozbłysk i rozpraszające się, żarzące się szczątki płatowca. Dopiero teraz, systemy pokładowe zdołały zidentyfikować przeciwnika. Obok powoli rozmywającej się ikony, pojawił się napis

„Bat”. Przeczucie jej nie myliło. Być może, jej interwencja była spóźniona, ale uniemożliwiła przeciwnikowi namierzanie całego zespołu.

Dwa pozostałe klucze znikły w mroku, oddalając się od dowódcy. Każdy z nich był zdany na siebie. Spoglądając na ostatnie odczyty, przesunęła dźwignię mocy do przodu. Jej boczni zareagowali z minimalnym opóźnieniem, ale niewiele. Uśmiechnęła się pod nosem. Zarówno Locknar jak i Dervan zgłosili się na ochotnika. Eileen nie wyobrażała sobie nikogo innego u swojego boku.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie uruchomić aktywnego rozpoznania, ale ubiegł ją klucz numer dwa, prowadzony przez dowódcę osłony myśliwskiej „Westmorelanda”. Holografia rozbłysła dziesiątkami szczegółowych informacji. Rozmowsky cmoknęła z uznaniem. Miny kierunkowe, kilkanaście platform raketowych, wreszcie dokładny skan budowli powierzchniowych.

- Ma fantazję, gnojek - mruknęła pod nosem. Chińczycy, jak gdyby ocknęli się z letargu. W stronę klucza pomknęły pociski. Wyglądało to tak, jak gdyby dowódca osłony rozbił gniazdo os. Cała trójka odpaliła automatyczne wabie. Drony pomknęły wprost na pole minowe. Eileen aż zmrużyła oczy, gdy przestrzeń przed nimi rozbłysła kilkunastoma eksplozjami nuklearnymi.

Pod ich osłoną przemknęli wprost ku bezpiecznej ścieżce wlotowej. Widząc na ekranie kolejne ikony oznaczające myśliwce przeciwnika, startujące gdzieś z powierzchni planetoidy, Rozmowsky rozchyliła usta w drapieżnym uśmiechu. Choć raz przyłapali Chińczyków bez spodni. Nawet jeśli gdzieś w mroku przestrzeni czaiła się osłona myśliwska, spóźniła się. Kilkadziesiąt sekund należało do Rozmowsky i jej ludzi. Zamierzała wykorzystać każdą z nich do cna. Odbezpieczyła ciężki pocisk manewrujący, umieszczony centralnie pod kadłubem myśliwca.

- Ostrzelajcie ich przy końcu tunelu - mruknęła na kanale łączności bezpośredniej. Nie chciała odrywać dłoni od konsol sterujących. Mrugnęło potwierdzenie na ekranie i w rogu trójwymiarowego obrazu widzianego przez Eileen. „Czy zdołali się przedostać przez kanał wejściowy?” błyskawica niepokoju przemknęła jej przez głowę. Nie miała już czasu zastanawiać się. Widziała wyraźnie efekty trafień impulsów laserowych Locknara. Teraz nadszedł jej czas. „Wasp” pani kapitan zakołysał się uwolniony od masy ciężkiego pocisku. Rozmowsky dostrzegła go przez moment, gdy uruchamiał się główny silnik raketowy. Ciemny, wydłużony kształt znikł, nabierając prędkości. Eileen natychmiast zmieniła kurs, wiedząc, że start został zarejestrowany na wszystkich możliwych skanerach w okolicy.

Moment później, rozpętało się piekło... .

\* \* \*

*Kontener transportowy C-XX-23 W.  
Godz. 4.28*

Lovat poprawił się w fotelu, dociskając mocniej pasy. Ku swojemu zdumieniu dostrzegł drżenie lewej dłoni opartej na dźwigni sterującej napędem. „Starzeję się” - pokręcił przecząco głową. Od niechcenia musnął przyciski uruchamiające pironaboje przedniej części kontenera. Bezgłośnie zabłyśły, rozrzucając blachy na boki. Na wprost widniała planetoida. Tuż przed nim, w szalonym pędzie przemknęła chińska maszyna. Porucznikowi wydawało się nawet, że dostrzegł przez moment zdziwioną twarz pilota. Niewielki glob potężniał z całą siłą. Nim zdążył zareagować, komputer nawigacyjny uruchomił silniki hamujące. Czuł jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Plat-



forma wpadła w lekki ruch wirowy, rozrzucający resztę metalowych szczątków byle dalej. Jedna z blach lecących równoległe do Lovata wyparowała trafiona potężnym impulsem laserowym. Nagle całą okolicę zalało jasne światło nuklearnej eksplozji. Osłona kokpitu M.A.V.E Lovata natychmiast przybrała czarną, nieprzepuszczalną barwę. Pilot nie zdążył się nawet przestraszyć. Zabłysł alarm o promieniowaniu, ale natychmiast zgasł. Porucznik wy dostał się poza zasięg eksplozji. Świadczyła o tym wyraźnie osłona, rozjaśniająca się z każdą chwilą. W samą porę, bowiem pokryta kraterami, szara powierzchnia planetoidy była już blisko. Kontener automatycznie uruchomił ostatni stopień hamujący, zmniejszając prędkość do minimum. Trzasnęły blokady przytrzymujące dotąd „Hellhouna” w miejscu.

- Czas na skok - mruknął do siebie Lovat i postąpił krok naprzód. Maszyna zsunęła się z platformy. Chwilę później przyziemiła, wznosząc ogromny tuman pyłu. Obok, z minimalnym opóźnieniem, bezgłośnie gruchnęły resztki kontenera. Porucznik nie tracąc czasu, ruszył. M.A.V.E ocieźale, majestatycznie kroczył naprzód, powoli wychodząc poza obszar lądowania. Systemy kontroli ruchu pilnowały, by maszyna nie oderwała się od podłoża, balansując pomiędzy prędkością, a siłą przyczepności. Ze zmechanizowanych łap wysunęły się dodatkowe haki, krusząc zwietrzałe skały.

Na ekranie taktycznym pojawiły się trzy zgłoszenia zespołów, dowodzonych przez Feretti. Oznaczało to jedynie, że w całości dotarli do powierzchni. Natychmiast oznaczył kierunek marszu. Chciał jak najszybciej przejść na drugą stronę planetoidy, by uniknąć ostrzału z myśliwców. Szedł o zakład, że przeciwnik, przelatując mu przed dziobem, doskonale widział, co mija. Zacisnął zęby, spoglądając na odczyt prędkości. Niespełna dwadzieścia

kilometrów na godzinę było wszystkim, na co pozwalały urządzenia M.A.V.E. Przez chwilę czuł pokusę, by wyłączyć ograniczenia. Zacisnął zęby i porzucił straceńczą myśl. Utrata kontaktu z powierzchnią byłaby wyrokiem śmierci. Szary pejzaż urywał się ostrą linią tuż przed nim. Świadczyło to aż nadto wyraźnie, że dotarł do górnej krawędzi niewielkiego globu. Dostrzegł z prawej strony ruch. Systemy celownicze natychmiast oznakowały ten punkt. Romb przez chwilę był szary, by rozbłysnąć uspokajającą zielenią.

- Spokojnie nerwusie - na kanale łączności bezpośredniej rozbrzmiał odległy głos porucznik Feretti. Za nią pojawili się kolejni. Lovat z zadowoleniem obserwował następne ikony pojawiające się na ekranie taktycznym. W tym czasie M.A.V.E. zdążył przekroczyć linię światła i zanurzył się w mrok rzucany przez obłę, popielate szczyty przypominające głowy cukru. Znikła gdzieś odległa, rozpalona kula Alfa Centauri A. Lovat podniósł wzrok znad ekranu i zamarł. Otworzył usta, nie zdając sobie z tego sprawy. Daleko przed sobą widział dwa potężne kable nadprzewodnika. Biegły wprost w przestrzeń, ku ażurowej konstrukcji, przypominającej szkolny model walca. Gdyby w tej chwili zaatakował przeciwnik, zniszczyłby cały desant. Żaden z Amerykanów nie spodziewał się bowiem takiego monumentalnego widoku. Kosmos mylił wzrok, ale odczyty urządzeń wskazywały wyraźnie, że rozpiętość urządzenia przekraczała sto kilometrów.

- Rany boskie, co to takiego? - porucznik usłyszał czyjś nabożny szept. Istotnie, w dziedzinie wielkich konstrukcji, państwo Środka nie miało sobie równych.

Nagły alarm zbliżeniowy otrzeźwił Lovata. Wróg dopiero teraz reagował na desant. Pomędzy odległymi głazami pojawiły się sylwetki w lekkich skafandrach bojowych. Jeden z kinetycznych pocisków uderzył w przedni

pancerz „Hellhouna”, natychmiast wywołując alarm nadmiernego przeciążenia kadłuba. Każde trafienie mogło spowodować, że ciężka maszyna oderwie się od powierzchni. Pilot nie tracąc czasu nacisnął spust, zasypując przeciwnika gradem impulsów laserowych.

- Feretti, do przodu! - warknął przez zaciśnięte zęby, nie tracąc czasu na ekran taktyczny - osłonię wasz atak!  
- Nim skończył mówić, zmechanizowane panczerze w szerokiej linii ruszyły naprzód. Na wpeł zgięci, starali się ominąć miejsce starcia, korzystając z tego, że przeciwnik skupił się na unieszkodliwieniu „Hellhouna”.

Kilka starannie wycelowanych pocisków przeszło pancierz nóg. Lovat zerknął na raport uszkodzeń. Gdzieś z przodu musiał zacząć się snajper. Próbował go unieruchomić. System raportował spadek ciśnienia w układach hydraulicznych. Nie mając już nic do stracenia, porucznik uruchomił aktywny skan okolicy. Ryzykował ściągnięcie na siebie ognia, ale opłaciło się. Na ekranie taktycznym, niczym króliki z kapelusza, zaczęły pojawiać się kolejne punkty. Każdy z nich oznaczał wroga. Kolejny strzał zatrzęsł M.A.V.E. Osłona kokpitu pękła. W jednej części natychmiast ściemniała, gdy ciecz uwięziona pomiędzy taflami zablokowała dziurę po pocisku. Strzał minął pilota o włos, robiąc potężną dziurę w tylnej ścianie. System rozpoznania natychmiast wyznaczył trajektorię i oznaczył prawdopodobne miejsca ukrycia strzelca.

- To sobie teraz zatańczymy - ponuro mruknął Lonny Lovat, naciskając spust wyrzutni raketowej. Pocisk pomknął naprzód, zostawiając za sobą nikłą smugę szybko rozpraszającego się dymu. Bezgłośnie eksplozja rozrzuciła całą grupę głazów. Kilka z nich zaczęło oddalać się od powierzchni planetoidy. Wśród nich dostrzegł bezładnie miotającego się człowieka. Jeden impuls laserowy wystarczył, by spalić go na popiół.

- I zapamiętaj to sobie... - warknął pilot. Widok dziury w kokpicie, zamiast przstraszyć, rozjuszył go. Dostrzegłszy na ekranie, że zespół Feretti wyszedł na tyły improwizowanej chińskiej pozycji obronnej, ruszył na przód.

Powolna szarża M.A.V.E, a nade wszystko rykoszetujące od niego pociski, wzbudziły wśród chińskich żołnierzy panikę. Zaczęli się cofać, padając pod ostrzałem broni zmechanizowanych panczerzy. Ginęli nie wiedząc, kto ich zabił.

Nagle, dwa skafandry bojowe, idące na samym skraju szyku zniknęły z ekranu.

- Straciłam dwóch ludzi - krótki meldunek Ferreti potwierdził to, co Lonny widział na ekranie. Chwilę później, na samej krawędzi hologramu pojawiły się dwie ikony z opisem „Pu-Ren”.

- Czyli jednak mają tu coś cięższego - mruknął pod nosem porucznik. Feretti uznała, że słowa były skierowane do niej i odpowiedziała.

- Nie sądziłeś chyba, że będziemy walczyć tylko z lekką piechotą...

- To nie do ciebie - zachnął się Lovat, wykonując powolny skręt - nic tu po was - dodał, odbezpieczając taktyczne głowice nuklearne małej mocy.

- Zamierzam im pokazać, jak wygląda armagedon...

\* \* \*

*Czwarta eskadra myśliwska.*

*Godz. 04.57*

Zza odległej sfery pola minowego, otaczającego planetoidę wysunęło się siedem chińskich maszyn bojowych.

Lufy dział laserowych raz po raz pulsowały krwistą czerwienią, wysyłając w przestrzeń niewidoczne dla oka, mordercze impulsy energii. Jeden z nich okazał się celny. Ciemności wiecznej nocy kosmosu rozjaśnił krótki spazm termonuklearnego wybuchu, oznaczającego zagładę napastnika.

Rozmowsky zacisnęła zęby, widząc śmierć jednego z podwładnych. Sam był sobie winien, nie trzymając się ustalonego wcześniej planu. Jego niesubordynacja miała jednak niespodziewany finał. Cały chiński zespół był widoczny dla klucza Eileen jak na dłoni.

Nieświadomi, powoli wchodzili wprost w paszczę śmierci. Skanowali przestrzeń gdzieś daleko za szczątkami zniszczonej maszyny, rozpraszającymi się w próżni. Rozmowsky błyskawicznie oznaczyła cele.

Gdy tylko na ekranie taktycznym pojawiło się ostrzeżenie o rosnącej sile sygnałów detekcyjnych, nacisnęła spust. Skrzydłowi spóźnili się tylko o ułamek sekundy. Lawina ognia zaskoczyła chińskich pilotów. Pierwszych trzech zamieniło się w obłoki pary, zanim zdążyli się zorientować, że znaleźli się w zasadzce. Drugi klucz, osłonięty przed bezpośrednim ogniem, zareagował błyskawicznie, uciekając w wariackich zwrotach byle dalej. Dla detektorów „Wasp”, dysze silników były niczym jasne reflektory pośrodku nocy. Eileen przeniosła ogień na jednego z uciekających. Pierwszych dwóch serii laserowych Chińczyk zdołał uniknąć. Trafił go jedynie pojedynczy pocisk z działa Gaussa. Uszkodzenie spowodowało przeciek. Systemy rozpoznania zasygnalizowały rozszerzającą się chmurę wodoru. Na twarzy Rozmowsky wykwitł zły uśmiech. Przełączyła broń pokładową na pełną salwę. Skondensowane uderzenie energii zniszczyło pojazd przeciwnika.

- Uwaga, odgryzają się! - usłyszała ostrzeżenie Derwan, rzucone wysokim, tętniącym emocją głosem. Myśliwiec Eileen szarpnął się gwałtownie do góry. Komputer zareagował niemal w ostatniej chwili, schodząc z linii strzału. Jej boczna nie miała tyle szczęścia. Skoncentrowana seria mikrorakiet przeszła środkową część kadłuba Anny. Pociski rozerwały jedną z baterii neutronowych. Nagła eksplozja odrzuciła maszyny Locknara i Rozmowsky w przeciwnych kierunkach.

Spocona kapitan, z zaciśniętymi ustami, usiłowała opanować wirującą maszynę. Kokpit rozjaśniły wszystkie możliwe alarmy. Gdzieś w tyle głowy kołatała jej myśl, że trajektoria ataku z góry świadczyła o niewykrytym przeciwniku, który zrobił sobie na nich polowanie.

„Zasadzka na zasadzkę” - pomyślała z przekąsem. Powoli stabilizowała lot. Dopiero teraz pozwoliła sobie na szybkie skontrolowanie stanu technicznego myśliwca. Najpoważniej wyglądał spód pojazdu, który przyjął na siebie cały impet eksplozji. Temperatura poszycia przekraczała grubo tysiąc stopni Celsjusza, mimo tego, że systemy chłodzące zużywały litry wodoru, by zniwelować piekielne ciepło. Zdawała sobie sprawę, że jest niczym latarnia na tle ciemnego brzegu. Można ją było dostrzec nawet przez lornetkę. Nie mając wiele do stracenia, uruchomiła wyrzutnie celów pozornych. Przestrzeń dookoła zarośla się od aluminiowych reflektorów, pułapek termicznych i generatorów gazowych. Rozmowsky zmieniła rozdzielczość ekranu taktycznego, tak, by mogła obserwować przestrzeń bezpośrednio otaczającą myśliwiec. Z zaciśniętymi pięściami oczekiwała na uderzenie wrogich pocisków. Nic takiego nie następowało. Dolne powierzchnie płatowca zaczęły się schładzać. Liczniki temperatury biegły w dół coraz szybciej. Nie czekała dłużej. Zainicjowała pojedyncze uruchomienie rufowych silni-

ków korekcyjnych. Myśliwiec powoli wypłynął poza obszar rozrzuconych pułapek. Minutę później w miejscu, z którego startowała, eksplodowała seria mikrorakiet, a zaraz później głowica większego kalibru. Widząc to, w pierwszej chwili chciała przesunąć dźwignię mocy do końca, by uciekać, ratować się. Tak krzyczała jedna część umysłu, widząc błyski eksplozji za rufą. Opanowała się w ostatniej chwili, zdając sobie sprawę, że cały obszar jest skanowany przez przeciwnika. Uruchamiając główne silniki, nawet na minimalnej mocy, podawała siebie na tacy...

\* \* \*

*Oddział uderzeniowy por. Ferreti.  
Godz. 05.05*

Czternaście postaci w ciężkich, zmechanizowanych skafandrach, w groteskowej pozie, na czworakach przesuwano się w stronę zabudowań chińskiej kolonii. Były one ledwie widocznych spod zwałów szarego pyłu, Porucznik nie mogła się oprzeć, by od czasu do czasu nie spoglądać za siebie. Przez pancerną szybę cały czas można było dostrzec instalację kosmicznej bramy. Gdzieś poniżej rozbłysły dwa wybuchy. Kilka leżących w pobliżu głazów oderwało się od powierzchni. Zespół Ferreti również odczuł tąpnięcie.

- Oho, dyrektor sięgnął po mocne argumenty - rzucił z przekazem Herna, gdy daleko z tyłu, za pośrednictwem soczewki kontaktowej, dostrzegł pole promieniowania oznaczone przez komputer pokładowy.

- Wyrażajcie się - zimno odpowiedziała Rita, obserwując zminimalizowaną mapę. Na hologramie widziała wyraźnie pojazd dowodzącego operacją Lovata.

- HERNs, twoja sekcja zabezpiecza teren do wejścia. Dwójka wchodzi. Czwórka i ósemka po niej, jedenastka razem ze mną na końcu - na potwierdzenie słów porucznik, ekrany taktyczne żołnierzy rozbłysły rozkazami. Bez zbędnych pytań, natychmiast przyjęli odpowiedni szyk. HERNs wraz z dwójką swoich ludzi znikł gdzieś z przodu. Zajęli pozycje, umożliwiające swobodny ostrzał we wszystkich kierunkach. Gdzieś w środku Rity zadrgała ludzka nuta. Oddziałowy pyskacz jako żywo przypominał jej Johsa, który zginął podczas szturm na „Mao”. Potrząsnęła głową. Rozczulanie się nad sobą i straconymi ludźmi nie było teraz najlepszym pomysłem.

Ze złością spojrzała na ekran. Brakowało jej dwunastu osób. O pozostałe dwa M.A.V.E nie zwracała sobie głowy. To było zmartwienie Lovata.

Kolejna nuklearna eksplozja zerwała z powierzchni planetoidy pryzmę gładów przed którą leżeli. Ferreti poderwała się na równe nogi. To był ostrzał przeciwnika. Nie mogąc powstrzymać desantu, zamierzał go po prostu wypalić, nie bacząc na ewentualne straty wśród swoich.

- Pani porucznik... - zaczął nieśmiało HERNs, ukryty gdzieś pośród niewielkich kraterów uderzeniowych.

- Tak, wiem... - sapnęła, idąc naprzód - ... zespół, zmiana planów. Atakujemy frontalnie wejście do środka. I szybko wyciągać nogi. Żółci zaczęli rzucać dużymi pigułkami... - jakby na potwierdzenie tych słów, wypowiedzianych jadowitym tonem, po obu stronach zespołu wykwitły błyski nuklearnych eksplozji małej mocy. Jeden z żołnierzy nie zdołał utrzymać się przy powierzchni. Jego słaby okrzyk znikł, gdy kolejny wybuch objął go swoim zasięgiem. Nikt się nie odwrócił, wszyscy parli naprzód, świadomi, że są dla przeciwnika niczym tarcza strzelnicza. Gdzieś w przestrzeni tkwiła chińska maszyna szturmowa, sprawiająca im taką gorącą łaźnię.



- Cholerne wsparcie myśliwców - mruzczała do siebie Ferreti, zbliżając się do niewielkiej, betonowej kopuły, wystającej ponad powierzchnię planetoidy. Włączony kanał łączności sprawił, że wszyscy słyszeli jej narzekania.

- I kto tu powinien uważać na słowa... - wtrącił z przekąsem HERNs. Jego głos drżał ze zdenerwowania, choć starał się tego nie okazywać - ... więcej zaufania pani porucznik, do naszych skrzydlatych przyjaciół...

Nic nie odpowiedziała, bowiem pokonali już ostatnie metry, stając przy chińskim posterunku obserwacyjnym. Dwójka saperów umieściła na szerokim wizjerze ładunek plazmowy. Słabo zabłysło zielonkawe światło, gdy ostrze o potwornej temperaturze zostało uwolnione z pułapki magnetycznej. Wypalony otwór jarzył się przez chwilę czerwonym blaskiem na krawędziach stopionych stalowych ram. Żołnierze Ferreti w porządku, bez paniki, kolejno wchodziłi do środka z nastawioną do boju bronią.

Zdemolowane wnętrze było puste. Operatorzy bez wątpienia wycofali się stąd znacznie wcześniej, nim Amerykanie zdołali podejść do kopuły.

- Naprzód, wszyscy naprzód. Nie chcecie chyba, żeby chińska głowica przypaliła nam tyłki, jak już wbiliśmy się na imprezę... - porucznik ukrywała strach opryskliwością. Obawiała się, że wróg zdecyduje się odparować kopułę. Żołnierze ruszyli kupą w głąb szerokiego korytarza. Za nimi pozostał namiot powietrzny. Automat wypełnił nim całą kopułę, blokując otwór wyjściowy.

Ferreti stała przez chwilę, czekając aż ciemna powłoka wypełni szczelnie wyjście z korytarza. Rozważała z kamiennym spokojem, co czuje człowiek, gotujący się w blasku nuklearnej pożogi.

- Przebiliśmy pancerne drzwi - zameldował HERNs. Dostrzegła lekkie ugięcie powłoki namiotu. Wskaźniki ciśnienia skoczyły w górę. Gdzieś w oddali rozległy się

strzały z broni palnej. Chińska załoga bezskutecznie usiłowała walczyć z potężnie uzbrojonym przeciwnikiem. Ferreti podeszła do dziury wypalanej w ciężkich drzwiach ciśnieniowych. Przed sobą widziała plecy trzech najbliższych żołnierzy.

Nagle pomiędzy nimi przemknął pojedynczy pocisk przeciwpancerny, przeszywając drzwi i grzęznąc gdzieś w stropie korytarza.

- Uwaga, mają karabiny Gaussa! - rozległo się czyjeś ostrzeżenie. Jak za dotknięciem magicznej różdżki, zator się rozładował. Żołnierze, stojący dotąd cierpliwie w miejscu, rozbiegli się. Rita, chcąc nie chcąc, jako ostatnia przeszła przez rozbite wrota. Systemy celownicze wychwyciły gdzieś w przodzie ruchomy cel. Nim zdążyła nacisnąć spust, w pojedynczego snajpera uderzyły trzy plazmowe pociski, zamieniając go w parę.

Minęła na wpół spalone zwłoki kilku obrońców. Na wprost stał też jeden z pancerzy zmechanizowanych. W plecach widniała szeroka, idealnie okrągła dziura, przez którą można było dostrzec barykadę na końcu tunelu. Wychyliła się zza zabitego. W tej samej chwili na obudowie zagrzechotały serie pocisków. Rozległ się charakterystyczny gwizd wystrzału z karabinu Gaussa i Ferreti poczuła szarpnięcie. Miała więcej szczęścia, niż rozumu. Wąski pocisk ledwie zahaczył o ramię, niszcząc kilka płyt pancerza. Nie naruszył skafandra pod spodem.

- Pani schowa głowę, pani porucznik - rozległ się flegmatyczny głos jednego z żołnierzy, ukrytych z przodu, w rozgałęzieniu tunelu - byłoby przykro, gdyby oberwała pani takim kalafiolem... - przeklinając własną nierozwagę, cofnęła się za unieruchomiony pancerz.

Widząc oznaczenie zabitego, podłączyła się do jego systemów celowniczych. Na wyświetlaczu soczewki kontaktowej natychmiast pojawiły się sylwetki przeciwnika.

Wychyliła ramię uzbrojone w ciężki karabin plazmowy. Kolejne lance rozprężającego się gazu pomknęły w stronę przeciwnika. Ten nie spodziewał się otwarcia ognia ze strony zabitego. I chociaż na uszkodzony pancerz spadła lawina ognia, było zbyt późno na reakcję. Skoncentrowany ostrzał Rity zniszczył barykadę i unicestwił jej obrońców.

- Dość tego pełzania - prychnęła nie bez nutki dumy.

- Dobrze zrobione szefowo - z ust Hernsa płynęły słowa pełne uznania. Mężczyzna nie zamierzał dać się komukolwiek wyprzedzić w drodze do sławy. Widziała, jak pierwszy przekracza szczątki barykady. Za nim szli inni...

\*\*\*

*Czwarta eskadra myśliwska.*

*Godz. 05.12*

Samotny „Wasp” przemknął tuż ponad linią bezpieczeństwa, poza którą czaiły się miny kierunkowe. Wygasłe silniki i zaciemniony kokpit sprawiały wrażenie, że oto w przestrzeni dryfuje wrak myśliwca. Krótkie skrzydła, przebite w kilku miejscach, okopcony kadłub z wyżłobionymi trafieniami dopełniał tego obrazu. Jedynie z bliska można było dostrzec błękitne oczy kobiety, z uporem wpatrujące się w powierzchnię planetoidy. Czekwała na najmniejszy sygnał z powierzchni. Ale poza trzema zaobserwowanymi eksplozjami nuklearnymi, nie była w stanie dostrzec nic więcej. Obawiała się przesunąć dziób pojazdu w dół. To umożliwiłoby wykorzystanie optyki obserwacyjnej, ale jakikolwiek ruch mógłby ją zdradzić przed przeciwnikiem. To zaś oznaczało śmierć.

- Melduje się Locknar – usłyszała naraz podwładnego na otwartym kanale. Zmełała w ustach przekleństwo. Skrzydłowy, jak sztubak, mógł zgubić ich oboje.

- Na powierzchni planetoidy otworzyły się dwa silosy. Coś szykują... – spojrzała na holograficzną mapę. Locknar ryzykując życiem, oznaczył powierzchnię. Był po przeciwnej stronie planetoidy. Nagle całą okolicę rozjaśnił jasny blask. Jak gdyby po drugiej stronie pojawiło się słońce. Osłona kokpitu Eileen ściemniała, zabezpieczając wzrok pilota przed uszkodzeniem.

- Uciekaj stamtąd! – nie panując nad sobą, rzuciła w eter Rozmowsky. Wisząca osiemset kilometrów dalej, chińska maszyna szturmowa, szarpnęła się niczym pies na smyczy. Bez wątpienia namierzyła transmisję samotnego myśliwca. Eileen wiedziała, że nie ma już nic do stracenia. Jednym ruchem ręki ustawiła pojazd w pozycji do strzału i nacisnęła spust, nie czekając nawet na synchronizację linii celowniczych. Na tę odległość nie miało to większego znaczenia. Chińczyk zdołał wypuścić zaledwie kilka niecelnych pocisków z działa Gaussa, gdy salwy impulsów laserowych rozszarpały krępy kadłub szturmowca.

Nagły rozbłysk oślepił wszystkich w okolicy planetoidy. Sensory oszalały, wskazując nagły wzrost promieniowania i temperatury. Przez krótki moment, Eileen sądziła, że przeciwnik zdecydował się na samozniszczenie, by zabrać ich ze sobą. Myśliwiec zakołysał się, gdy dotarła doń fala uderzeniowa. Brak atmosfery sprawił jednak, że kadłub wytrzymał ją bez problemu. Ruch wsteczny został automatycznie skompensowany przez ciąg silników korekcyjnych. Rozmowsky zaryzykowała, uruchamiając aktywny skan. Holograficzna mapa została uzupełniona o szczegóły, wychwycone przez systemy rozpoznawcze. Ku swojemu zdumieniu dostrzegła ogromną wyrwę w polu

minowym. Rozbłysk odparował znaczną część ładunków kierunkowych. Desant na powierzchni musiał odnieść sukces, skoro zmusił Chińczyków do tak desperackiego kroku. Siła wybuchu nie pozostawiała złudzeń, co do jego źródła. Wróg odrzucił rdzenie plazmowe dostarczające energię planetoidzie. Zaseąpiła się. Szła o zakład, że na pokładzie „Westmorelanda” nie było zapasowych. Wyglądało na to, że zamiast przesłać wiadomość na Ziemię, pozostało im jedynie wysadzić całą konstrukcję. W ten sposób wykonaliby przynajmniej część rozkazu.

Jej uwagę przykuło pojedyncze zgłoszenie. Niepoprawny Locknar zgłaszał swoje istnienie. W jakiś sposób, po raz kolejny umknął spod kosa śmierci.

- Ty cholerny szczęściarzu... - mruknęła pod nosem w stronę ikony, oznaczającej myśliwiec swojego skrzydłowego. Ruszyła mu na spotkanie, bacząc, by nie zdradzić się żadnym nieostrożnym manewrem... .

\* \* \*

*Oddział uderzeniowy por. Ferreti.*

*Godz. 05.18*

Gwałtowne wstrząsy, przewracające zmechanizowane pancerze niczym kręgle, wygasły. Szeroka, niska kawerna, w której zasadzono ziemskie rośliny, wyglądała jak po przejściu tornada. Gałęzie, krzaki i lekkie słupki wzmacniające posypały się na głowy żołnierzy Ferreti, przykrywając ich barwnym stosem śmieci. Żaden z elementów nie był na tyle ciężki, by czymkolwiek zagrozić ukrytym w egzozkieletach ludziom.

- Co to było do diaska - zapytał drżącym jeszcze głosem Hens. Gdy rozpętało się to piekło, sądził, że wróg postanowił wysadzić planetoidę.

- Już się szykowałem do wjazdu, na autostradę do nieba - rzucił któryś z oddziałowych żartownisiów.

- Obrona określona - warknęła krótko Ferreti, ucinając pogawędkę - zakładam, że wysadzili istotną część kolonii, byśmy jej nie zdobyli... - przerwała na chwilę, oznaczając miejsca dla sekcji rozpoznawczych.

- ... to zaś oznacza, że mamy już blisko. Skupić się! - Potwierdzenia pojawiły się na mapie taktycznej błyskawicznie. Ferreti obróciła się z pleców na brzuch. Jednym ruchem, jak na ćwiczeniach, odbiła się od podłoża, używając siłowników rąk. Niewielka siła grawitacji nie była żadną przeszkodą. Wzrok porucznik pobiegł do góry. Na szklanym suficie dostrzegła głębokie pęknięcia. Bez wątpienia, kopuła oddzielająca kawernę od próżni zniosła eksplozję o wiele gorzej od nich.

- Ruszamy natychmiast! - Sensory rejestrowały, powiększający się z każdą chwilą, spadek ciśnienia w pomieszczeniu. Nie zamierzała sprawdzać, czy zdoła się utrzymać przy podłożu, gdy uszkodzona kopuła trzaśnie.

Wbiegali parami, wprost w szeroki, niski korytarz, którym wycofała się tylna straż przeciwnika. Posuwali się naprzód skokami. Rita z niepokojem obserwowała światło tunelu. Nie było żadnych odgałęzień, widocznych duków wentylacyjnych. Nic, gdzie można byłoby się ukryć.

Nagle za plecami grupy rozległ się metaliczny huk. Ferreti, idąca jako ostatnia, obróciła się błyskawicznie, usiłując namierzyć przeciwnika. Nic nie dostrzegła. Poza tym, że otwór wyjściowy zniknął. Komputery kolonii musiały zareagować na spadek ciśnienia w ogrodzie, uruchamiając zapory, zapobiegające dekompresji w innych pomieszczeniach.

- Pani porucznik... - usłyszała niepewny głos sierżanta. Zdziwiona tym tonem, mruknęła bardziej do siebie, niż do podwładnego.

- Nie do wiary, HERNS onieśmielony. To wygląda, jak podpis obrazka ze świętym... - nie skończyła mówić, gdy z przodu tunelu zabłysło światło. W nienaturalnym, ostrym blasku dostrzegła kilkanaście postaci. Wszystkie miały wysoko podniesione ręce. W dłoni pierwszej z nich widniała biała flaga...

### Rozdział 9

## NÓŻ W PLECY

Ciało przypominało o swoim istnieniu dziesiątkami bolesnych impulsów. Jak gdyby jakiś szalony znachor próbował wykonać akupunkturę przy użyciu stu tysięcy igieł. Otworzyła oczy, z przerażeniem dostrzegając oślepiający blask. Wzrok zareagował bólem, sięgającym do głębi czaszki. Krzyknęła, zaciskając z całej siły powieki.

- Spokojnie dziewczyno - cichy, opanowany głos Lovata przywrócił jej równowagę. To muszą być efekty przejścia. Zaraz wszystko wróci do normy. - Powiedział to z ogromną pewnością siebie. Uspokoila się. Powoli podniosła jedną powiekę, blask zmniejszył się o połowę.

- Skąd wiedziałeś? - wciąż drżąc ze zdenerwowania, zdobyła się na pytanie.

- Zgadywałem - przyznał szczerze i dodał nonszalancko - ja już widzę sufit... - rzeczywiście, z każdą chwilą wzrok sprawował się coraz lepiej. Już nie zamykała powiek. Zaczęła dostrzegać pulpity sterownicze, wąskie okno, trójwymiarowy interfejs nawigacyjny. Ból ciała mijał, rozmywał się. Opanowała ją trudna do opisania błogość. Jej dłonie swobodnie pływały w stanie nieważkości. Nawet nie starała się nad nimi panować.

- No no, nie odpływaj mi dziewczyno - Lovat przywrócił jej zdolność do działania. Zogniskowała wzrok na przyrządach. Siedzący obok Lonny z rozbawieniem przyglądał się jej reakcjom.

- O co chodzi? - prychnęła, sprawdzając stan urządzeń pokładowych. Zdjęta nagłym strachem przerwała to i włączyła trójwymiarową mapę okolicy.

- Jesteśmy w samym centrum gniazda żmij - beztroško rzucił Lovat, obserwując pojawiające się ikony pojazdów, krążących wokół konstrukcji bramy międzywymiarowej.

- Zdryfowaliśmy poza obszar startu - mruknęła pod nosem Rozmowsky, jak gdyby przekazywała dane na pokład „Westmorelanda” - na razie są zaskoczeni. No to do dzieła! - przesunęła zintegrowaną dźwignię sterującą, uruchamiając pełną moc silników wahadłowca. Przeciężenie wcisnęło oboje w głębokie fotele.

Nagły przyrost prędkości nieznanymi pojazdami jeszcze bardziej zdezorientował chińską obsługę. Nim ktokolwiek podjął decyzję, cała trójka zniknęła w mroku przestrzeni. Kilka starannie wymierzonych manewrów pozwoliło strząsnąć z siebie obserwację optyczną.

\* \* \*

Rozmowsky trzymała przy ustach syntetyczną torebkę, zwracając po raz drugi resztki posiłku. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego akurat w tej chwili organizm zbuntował się.

- No z tej strony cię nie znałem - mruknął pod nosem Lovat, uważnie obserwując holograficzną mapę. Zmniejszył skalę, z zadowoleniem dostrzegając dwie ikony, oznaczające pozostałe zespoły. Eileen spojrzała na niego złym wzrokiem, ale nie odpowiedziała, czując następną



falę nudności, pędzącą niczym przyptyw. Nagłe przekleństwo Lovata sprawiło, że zapomniała o wszystkim.

- Strzelają - warknął, obserwując jak jedna z ikon szarżeje i rozmywa się. Nagle, zupełnie niespodziewanie, poczuli ogromne szarpnięcie. Rozległo się przeraźliwe darcie metalowych powierzchni. Wahadłowiec wpadł w niekontrolowane obroty. Pulpit rozjarzyły wszystkie możliwe alarmy. Rozmowsky jednym ruchem zamknęła torebkę i chwyciła za stery. Walczyła przez chwilę, starając się opanować beznadziejną sytuację, w jakiej się znaleźli.

- Ależ to krowa - sapnęła spocona, walcząc z manetką. Mimo jej wysiłków, wirowali nadal.

- Mamy prawdziwą chmurę wodoru wokół siebie, ale nie tracimy paliwa - rzucił Lovat, monitorując najbliższe otoczenie. Nie mógł w żadnym sposób pomóc dziewczynie. Pani komandor musiała samodzielnie zażegnać kryzys.

- Trafili nasz ładunek... - zaczęła Eileen. Podjęła szybką decyzję - ... zwalniam zaczepy, odrzucamy myśliwiec!. - Zdziwiony Lovat automatycznie położył dłonie na konsoli. Spojrzał jeszcze pytająco na swoją towarzyszkę, ale ta, nie odwracając wzroku od pulpitu sterowniczego, skinęła potakująco głową. Chwycił za dźwignię zwalnającą i energicznie szarpnął.

Zaczepy magnetyczne, trzymające dotąd pokieroszony kadłub myśliwca, schowały się. Wirujące razem maszyny oddzieliły się od siebie. Falcon, pchnięty nowym przeciekiem ze zbiorników paliwa, zahaczył dziobem o kadłub maszyny macierzystej. Wygiął krótkie stateczniki transportowca, używane do lotu w atmosferze i zaczął się oddalać. Wahadłowiec, pozbawiony ciężaru, natychmiast wyrównał lot. W samą porę, bowiem od strony chińskich instalacji nadleciała cała kiść mikroraket, zamieniając

wrak myśliwca w termojądrowy rozbłysk bezgłosego wybuchu...

\* \* \*

- Jesteś tego pewny? - Komandor Sereda z kamienną miną słuchała raportu zespołu techników. Spode łba spoglądała na zdenerwowanego Chińczyka. Dong pocił się coraz bardziej. Nie wiedział, co począc z dłońmi. To kładł je na klawiaturze, bezgłose poruszając palcami, to chował je do kieszeni spodni. Sereda, po raz pierwszy w życiu straciła panowanie nad sobą. Zerwała z głowy lekkie słuchawki interkomu i z całej siły roztrzaskała je o ścianę. Dong aż się wzdrygnął. Kroki kobiety odbijały się echem po kopule. Była świadoma wzroku zaskoczonych operatorów. Nawet główny mechanik był zdziwiony jej reakcją. Sereda stanęła przed jeńcem i obróciła go przodem do siebie. Obrotowy fotel zatrzeszczał. Komandor pochyliła się nad Chińczykiem.

- Zapytaj naszego „drogiego” pana Donga, czy wie coś na temat urządzenia z kondensatem Bosego-Einsteina, znalezionego na dolnym poziomie? - każde słowo cedziła powoli. Niczym lwica, spięta do skoku, wpatrywała się w przerażone oblicze chińskiego technika. Tłumacz, zaskoczony reakcją przełożonej, zbierał się w sobie, by przetłumaczyć pytanie.

- Patrick, bo uznam, że trzymasz jego stronę... - nieprzyjemne tony w głosie Seredy podziały. Tłumacz wydusił z siebie szczekliwe pytanie. Reakcja, jaką wzbudził w więźniu, zaskoczyła większość. Chińczyk ochryple coś odpowiedział, starając się nerwowo zaśmiać. Zamiast tego, wyszedł mu urywany szloch. Komandor bez znajomości kantońskiego dialektu, bezbłędnie odczytała mimikę twarzy chińskiego technika. Na moment opanowała ją

nieopisana wściekłość. Stało się to, czego się obawiała. Sabotaż ze strony jeńca. Szarpnęła fotelem, więzień, mając skrepowane nogi, przewrócił się razem z nim. Dzięki niewielkiej grawitacji, nie odniósł najmniejszych obrażeń. Kiedy podniósł wzrok, zbierając się na odwagę, by rzucić kobiecie jakieś obelgi, zamarł. Tak zimnej, bezwzględnej twarzy, jeszcze nie widział. W tym chudym obliczu dostrzegł zapowiedź własnej śmierci.

- Łączność - warknęła, wyciągając dłoń za siebie. Nie spuszczała wzroku z leżącego Chińczyka. Jeden z operatorów pośpiesznie wręczył jej własny hełmofon. Założyła go.

- Bosman Hoveson natychmiast zgłosi się do kopuły kontroli bramy... - słuchała chwilę raportu, składanego przez któregoś z podoficerów.

- Natychmiast! - jej głos nabrał mocy. Niecałe trzy minuty później olbrzymia sylweta bosmana pojawiła się w przejściu. Komandor Sereda z ponurą miną odebrała honory.

- Na rozkaz - zadudnił gdzieś z głębi potężnego cieliska. Nie zwracał uwagi na leżącego, kręcącego przecząco głową. Skóra na twarzy jeńca zbladła tak bardzo, że przypominała pergamin.

- Zabierz to coś stąd. Nie będzie już więcej potrzebny - lodowaty ton komandor zapowiadał przyszły los Donga. Bosman skinął głową. Postąpił krok naprzód i nie zwracając uwagi na nieporadne próby obrony, chwycił go za kołnierz. Obrócił się na pięcie i pociągnął miotające się ciało za sobą. Zwierzęce ryki ciągniętego na śmierć człowieka nie poruszyły nikogo. Sereda spoglądała za nimi, dopóki nie zatrzasnęły się drzwi ciśnieniowe.

- Roland znalazł ich nadajnik, umożliwiający przesłanie informacji do Układu Słonecznego o otwarciu bra-

my. My nic takiego nie zrobiliśmy... – wyjaśniła cichym głosem, jak gdyby opadło z niej całe napięcie.

– ..a więc... – zaczął główny mechanik. Przerwał, widząc, jak komandor obraca się na pięcie. Nawet na niego nie spojrziała. Jej wzrok spoczął na przestrzeni kosmicznej, widocznej za oknem.

–..tak...wysłaliśmy ich na śmierć...

\* \* \*

Osmalony kadłub wahadłowca transportowego dryfował bezwładnie w przestrzeni. Górną część, zawierającą zawory i zaczepy magnetyczne zniszczył wybuch. Cały zapas wodoru z głównych zbiorników, widocznych częściowo poprzez dziury w poszyciu, ulotnił się w próżnię. Przyciemnione od wybuchu, wąskie szyby kokpitu, prawie nie przepuszczały światła. Bliska eksplozja termojądrowa uszkodziła mechanizm fotochromowy. Dysze manewrowe milczały.

Ciemności zalegały kokpit. Lovat siedział w fotelu nawigatora i tępo patrzył w gwiazdy, ledwie widoczne poprzez przyciemnioną szybę. Rozpoznawał dobrze znane mu konstelacje. Wydawały się emanować ciepłem, jakąś dawną, znaną nutą. Staromodną, optyczną astronomia od zawsze była „konikiem” Lonnego. Już jako dziesięcioletek potrafił odnaleźć wszystkie najważniejsze gwiazdozbiory. Ich widok przypominał mu szczęśliwe dzieciństwo. Nigdy nie sądził, że okażą się też zwiastunem śmierci. Nie w walce, ot po prostu, z braku powietrza... .

Cichy szcęk wjazdu oderwał go na moment od ponurych myśli. Obrócił głowę, zachłannie wpatrując się w apetyczne kształty Eileen. Umorusana, wsunęła się do niewielkiego wnętrza, starannie zamykając za sobą prze-

ście. Dostrzegła jego wzrok, utkwiony w dolnych częściach ciała.

- Co innego powinno ci być teraz w głowie - nerwowo się uśmiechnęła. W błękitnych oczach dziewczyny nie dostrzegał wesołości. Mężczyzna odpowiedział wzruszeniem ramion i odparł z melancholijną rezygnacją.

- Ponoć w sytuacji beznadziejnej, człowiek myśli o prokreacji. Taki atawistyczny instynkt, wymuszający przedłużenie gatunku - żadne z nich nie powiedziało na głos tego, co było oczywiste. Wyglądało na to, że Lovat zamierzał zerwać tę niepisaną znowę milczenia.

- Przejrzałam nasze pudło - Rozmowsky łagodnie opadła na fotel, zapinając pasy. Uruchomiła małą, awaryjną konsolę sterowania, bazującą na ciekłokrystalicznym ekranie. Pobierał zaledwie dziesiątą część energii, wymaganej przez interfejsy holograficzne. Zielona poświata rozjaśniła kokpit, nadając mu upiornego wyglądu. Nie patrząc na swojego towarzysza, Eileen kontynuowała, starając się panować nad głosem.

- Wyrwane kotwy zaczepów, w ładowni pełna dekompresja, okablowanie zerwane. Nie wiadomo co z rufą - w miarę, jak wymieniała kolejne awarie, mówiła coraz ciszej - główne zbiorniki napędu puste, zapas tlenu tylko w przednich sekcjach. Na całe szczęście bateria neutronowa nieuszkodzona... .

- Znakomicie - Lovat popadł w poprzedni, fatalistyczny nastrój. Wtulił się głębiej w fotel - myślisz, że to ma jakieś znaczenie? - nie dostrzegła ukrytej nuty ironii. Energicznie zapewniła.

- Ależ oczywiście. Już uruchomiłam filtry membranowe. Przy tej ilości energii, możemy oczyszczać powietrze wielokrotnie... - ponieważ zorientowała się w charakterze pytania Lovata.

- Oczywiście ty wolałbyś się udusić - prychnęła, po raz pierwszy okazując złość - Mamy jeszcze do dyspozycji dziobowe silniki manewrowe. Czerpią paliwo z wyrównawczego zbiornika. Ten odciął komputer pokładowy i uratował część... - przerwała, widząc, że Lonny odpina pas. W milczeniu patrzyła, jak przesuwa się w jej stronę. Natychmiast dostrzegła nieregulaminowo rozpięty skafander i koszulę. Nagi, owłosiony tors lśnił potem. Przeniosła wzrok na twarz mężczyzny. Zawisł naprzeciwko niej, zbliżając twarz na odległość kilku centymetrów.

- Jesteśmy pośrodku czarnej pustki, bez możliwości ruchu. Jeśli wystarczy tlenu, zabraknie żywności. Albo wody - wzruszył ramionami - Nasza wyprawa nie przewiduje wysłania sygnału do chińskich towarzyszy... - zaczęła zbliżać twarz ku niej. Przymknęła oczy.

Głębokie pocałunki, jakim się poddawała, były buntem. Przeciwno tej sytuacji, przeciwno skazaniu ich na śmierć. Arbitralnie, bez najmniejszej szansy.

Nagłe kołysanie pojazdu nie zwróciło uwagi pary, zrzucającej na wyścigi swe odzienie. Dopiero trzask wyładowania za włazem oderwał ich od siebie.

- Co to było? - zapytała półnaga Eileen. Dopiero, gdy powtórzyła pytanie, Lovat przestał wpijać się ustami w jej szyję.

- O co chodzi? - ochryply ton wskazywał na oderwanie mężczyzny od rzeczywistości. Feromony sprawowały teraz całkowitą władzę nad Lovatem. Gdzieś za ścianą rozległo się metaliczne stuknięcie. Zaraz po nim drugie. Zaniepokojona Rozmowsky sięgnęła po swobodnie unoszącą się koszulkę i założyła ją, nie kłopotząc się o bieliznę, przepływając gdzieś za głową mężczyzny. Dopiero widok ubierającej się Eileen otrzeźwił Lonnego. Oboje podskoczyli ze strachu, gdy trzasnął właz, odepchnięty nieznaną siłą.

- Uwaga piloci - rozległ się cyfrowo przetworzony, bezosobowy głos - żadnych wrogich zachowań!. Mówi pułkownik Lee Malicky z Konfederacji Kolonii Marsjańskich. Przejmujemy wasz pojazd.

Oczy obojga skupiły się na niewielkim przedmiocie, majestatycznie wpływającym przez właz. Nagle znikł w rozbłysku, a kokpit wypełnił gęsty, duszący dym....

\* \* \*

Niskie pomieszczenie o regularnym kształcie prostopadłościanu, z pewnością nie było przewidziane na celę więzienną. Gładkie, śliskie ściany, dziesiątki znormalizowanych zaczepów przywozły na myśl pospiesznie opróżniony magazyn. Eileen przesunęła smukłą dłoń po powierzchni, pomiędzy tytanowymi śrubami. Obudziła się jakiś czas temu, ale pomimo jej okrzyków, nikt się nie pojawił. Przestrzeni wystarczyło akurat tyle, by mogła się położyć. Nigdzie nie widać było drzwi. Jedyne, co udało się jej odkryć, okazało się być siatką wentylacyjną. Na tyle wytrzymałą, by jakiegokolwiek zabiegi z jej strony, nic nie dały. Zrezygnowana usiadła i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, tknięta impulsem, drgnęła ze strachu. Ściana przed nią zniknęła. W powstałym otworze dostrzegła niską sylwetkę krótko ostrzyżonego, barczystego mężczyzny. Za nim widniał długi korytarz wypełniony dziesiątkami przewodów. Spięta się do skoku, ale zamarła, słysząc basowy głos nieznanego.

- Nie radzę - na ruch jego potężnej dłoni, w polu widzenia Eileen pojawiło się dwóch ludzi w lekkich pancierzach. W dłoniach dzierżyli krótką broń automatyczną. Zrezygnowana, opuściła głowę.

- Teraz lepiej - pochwalił mężczyzna. Ku jej zdumieniu, usiadł naprzeciwko niej. Słabe światło srebrzyło się na krótkiej, szpakowatej fryzurze mężczyzny.

- Jestem pułkownik Lee Malicky z osiemnastej eskadry zwiadu głębokiej przestrzeni Konfederacji Kolonii Marsjańskich. Muszę przyznać, że wasza obecność tutaj jest dla nas kłopotem. Sama widzisz, że nie mamy ani karceru, ani prawdziwych przesłuchujących - słychać było w głosie mężczyzny filozoficzne tony.

- Gdzie mój towarzysz? - mruknęła ponuro, nie podnosząc głowy.

- Bezpieczny - zapewnił pułkownik. Po chwili wahania ciągnął dalej - w sumie powinniśmy się cieszyć, że nie okazaliście się Chińczykami. Takie spotkanie mogłoby się skończyć dla nas źle...

- Śledzicie ich... - zaczęła Rozmowsky i ugryzła się ponieważ w język.

- Zainteresowało nas, czego żółci szukają tak daleko w pasie Kuipera - wyjaśnił pułkownik rozkładając szeroko ręce. Uśmiechnął się z przekąsem.

- W sumie, to należą wam się podziękowania. Kwitujemy tu od pół roku, a nie mieliśmy dotąd szansy zobaczyć transferu zwrotnego. Muszę przyznać, że widok był niezgorszy... - podczas rozmowy, Eileen wracała do siebie. Czuła jak znika apatia i ból głowy. Efekty działania gazu ustępowały powoli.

- Rozumiem, że zakłóciliśmy wam operację - zaczęła formalnym tonem - ale nie sądzę, by wasz rząd narzekał, gdy dostarczycie nas na Ziemię... - uważnie spojrzała na swego rozmówcę. Z kwadratowej twarzy pułkownika nie była w stanie niczego wyczytać. Wydawało się jej, że widzi zachęcające spojrzenie wojskowego, dlatego ciągnęła dalej.



- Zapewniam, że wam się to sownie opłaci. Wystarczy, że podacie nazwisko Eileen Rozmowsky w dowolnej placówce Federacji Ameryki Północnej... - przerwała, widząc ironiczny uśmieszek Malickiego. Nie zapanował nad swoją mimiką. O sekundę spóźnił się z reakcją. Spojrzała wprost w jego ciemne oczy. Dostrzegła w nich lód profesjonalisty. Nie patrzył na nią jak na kobietę. Ten wzrok napawał ją rosnącym przerażeniem.

- Oczywiście pani major, oczywiście - głos pułkownika był chłodny, pozbawiony emocji - pogwarzyliśmy sobie trochę z pani kolegą... .

- Żyje? - Zapytała z nadzieją, chociaż za wszelką cenę starała się ukryć uczucia.

- O tak, czeka go tylko kac stulecia... - mężczyzna zamyślił się na moment, po czym dodał.

- Opowiedział nam to i owo, ale w narkotycznym zwidzie mógł coś pominąć, dlatego postanowiliśmy skonfrontować zeznania... - zakończył z naciskiem na ostatnie słowo. Była w tym niema zapowiedź przesłuchania. Ni stąd, ni zowąd, Rozmowsky pomyślała, że z tych ścian łatwo im będzie zmywać krew.

- Tłuczecie się z żółtymi na Alfa Centauri, co?! - wrzasnął nagle, płosząc ją całkowicie. Na chwilę zapomniała się. Zrobiła minę jak mała dziewczynka, przyłapaną na podkradaniu czekoladek. Ułamek sekundy później opanowała się, ale było już za późno. O całe eony za późno. Dostrzegła to w triumfalnej minie Malickiego. Postanowiła wykorzystać jego taktykę, chociaż czuła, że przegrała.

- Oba nasze kraje obowiązuje traktat pokojowy i umowa o wzajemnej pomocy w przestrzeni kosmicznej... - zaczęła gwałtownie, ale pułkownik wszedł jej w słowo.

- Wy naprawdę się tam pierzecie... - stwierdził z widocznym zadowoleniem. Wydawało się, że Malicky nie przyjął do wiadomości ostatnich zdań dziewczyny.

- Traktat mówi pani? - pogodny nastrój mężczyzny ulotnił się w jednej chwili - umowa? - szyderstwo biło z każdego słowa.

- Każde słowo w tych przekętym dokumencie podpisane jest krwią naszych ludzi. Czy naprawdę sądzisz, że nie skorzystamy z takiej okazji? - wstał, prostując swą postać.

- Dwa razy próbowaliście narzucić nam swoją zwierzchność, tego samego próbowali żółci - wydawało się, że na moment opanowała go niepoohamowana wściekłość.

- Słyszałaś o masakrze w Olimpic? Tam zginęła cała moja rodzina. Nie ma ich, bo jeden z waszych admirałów stwierdził, że głowice nuklearne są dobrą metodą pacyfikacji kolonistów.

Zapadła cisza. Pułkownik, jak gdyby nigdy nic, usiadł ponownie. Po jego wybuchu nie pozostał jeden ślad.

- Zdradzisz szczegóły... - obróciła głowę na bok. Malicky uśmiechnął się szeroko.

- Tak myślałem. Ale nie będziemy tu przesłuchiwać tak pięknej kobiety. Zajmą się tobą na Marsie. Póki co, ciesz się oddechem... - dał znać dłonią. Niemal jednocześnie, gdzieś z dołu, wysunęła się ściana, zamykając ją ponownie w wąskim pomieszczeniu.

- Nie jesteśmy aż tak okrutni pani major, by skazywać panią na samotność... - gdzieś z góry dobiegł ją głos pułkownika. Część bocznej ściany ustąpiła, ukazując drugi fragment magazynu. Na podłodze, bezwładnie, leżał nieprzytomny Lovat...

### EPILOG

Drżenie ścian niewielkiego więzienia, obudziło Eileen. Wynurzyła głowę, pozostawiając resztę ciała ukrytą w lekkim, szarym śpiworze. Ku swojemu zdziwieniu zorientowała się, że zdryfowała na drzwi do ich celi. Trochę niżej smacznie chrapał Lovat. Te zmiany świadczyły wyraźnie o tym, że ruszyli w podróż. Rozmowsky wykrzywiła twarz w bezsilnej wściekłości. Konfederaci z pewnością wieźli ich na Marsa. Para amerykańskich pilotów i wiedza o tym, co się dzieje w układzie Alfa Centauri, były dla marsjańskich kolonii prawdziwym darem losu. Dwukrotnie walczyli o niepodległość, za drugim razem przegrywając z kretesem. W głębi ducha miała ogromną nadzieję, że się myli w swoich przewidywaniach. Wszystko świadczyło jednak o tym, że ma rację. Choćby to, że wciąż byli uwięzieni, chociaż zgodnie z traktatem o wzajemnej pomocy, pułkownik miał obowiązek odstawić rozbitków do najbliższej placówki amerykańskiej federacji. Czyżby zamierzał przy chińsko - amerykańskim konflikcie upiec własną pieczeń?. O zaciętych walkach na Marsie czytała wiele. Ostatni konflikt z dwa tysiące setnego roku pamiętała z przekazów wizyjnych. Oczywiście, kibicowała federacji. Nieprzemyślany bunt kolonistów został zdławiony w ciągu niespełna trzech lat. Czyżby tamto starcie niczego ich nie nauczyło?

- O czym myślisz? - usłyszała ciche pytanie Lonnego. Jednym ruchem dłoni wprowadziła się w powolny ruch wirowy, tak by obrócić się przodem do mężczyzny. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok ściśniętego kapta. Widziała tylko zaczerwieniony nos Lovata.

- Tylko nie kichnij. Możesz wystartować niczym rakietą... .

- Jasne - burknął. W polu widzenia kobiety pojawiła się para kościstych palców, luzujących rant kaptura. Wreszcie pojawiła się cała twarz Lonnego. Ku jej zdumieniu, malował się na niej wyraz znudzenia. Jak gdyby całe życie siedział w takiej celi.

- ...nie w smak ci ten apartament? - rzucił z przekąsem. Chociaż wyglądał na rozluźnionego, jego oczy pozostały uważne, lustrując towarzyszkę czujnym spojrzeniem. Nic nie odpowiedziała, przyciągając go do siebie. Wtulała się w niego na tyle, na ile pozwalał śpiwór. Wreszcie westchnęła i zaczęła szeptać.

- Boję się. Pierwszy raz w życiu boję się Lonny... - poczuła jak otacza ją ramieniem, które wyswobodził nie wiadomo jak i kiedy. Przez chwilę milczał.

- Wiem - odpowiedział wreszcie. Pozbył się lekceważącego, zrelaksowanego tonu głosu.

- Wycisnęli mnie jak cytrynę - ukryte ognie gniewu targały nim, ale nie pozwolił im wydostać się na zewnątrz.

- Wiedzą już wszystko. Nawet to, że walczyłem z nimi w dwa tysiące sto drugim. Teraz wykorzystają Alfa Centauri. Znam ich. Są zawzięci. Nigdy się nie poddadzą. My jesteśmy ich prezentem gwiazdkowym. Czymś, na co czekali od dwudziestu lat...

Eileen zacisnęła zęby. Obojgu po głowie kołatała ta sama myśl.

Byli niczym puszka Pandory. Cały straceńczy lot miał polegać na dostarczeniu informacji dla Federacji Ameryki Północnej.

A wyglądało na to, że dzięki nim, w Układzie Słonecznym rozpęta się prawdziwe piekło. Wojenna zawie-

**rucha, przy której starcia na Alfa Centauri wydadzą się niewinną zabawą w podchody...**

**KONIEC**